

JEAN BARRETT

# **Czy masz alibi?**

## PROLOG

*Zakład Karny East Moline  
Illinois*

Była skończoną pięknnością, bez najmniejszej choćby skazy. Delikatne rysy twarzy, ogromne fiołkowe oczy i smukła sylwetka składały się na podobiznę kobiety, jakby zrodzoną z marzeń milionów mężczyzn. Miała na sobie jedwabny zielony szlafroczek.

Mówiła do niego fałsetem, z głową lekko przechyloną na bok. Nie zapomniał uwzględnić tej szczególnej manier, była naprawdę perfekcyjną imitacją swojej imienniczki. To nieprawdopodobne.

- Teraz, gdy już tu przyszedłem, Victorze, powiedz, czego ode mnie chcesz?

- Bądź mi posłuszna.

- Będę, jak zawsze. Ale co mam robić?

- Mam zamiar obsadzić cię w nowatorskiej inscenizacji „Śpiącej królowny”, którą sam wymyśliłem.

Nie odpowiedziała od razu, tylko dużymi krokami zaczęła przemierzać stół, każdym swym starannie wyważonym ruchem ukazując miotające nią obawy i wątpliwości. Patrzył na to zafascynowany.

Znów stanęła przed nim.

- Czy dam sobie radę? To trudna rola, Victorze.

Zaśmiał się cicho.

- Jesteś wręcz do niej stworzona, księżniczko. Spójrz, pokażę ci.

Zwinnymi palcami zaczął poruszać sznurkami, doczepionymi do rąk i nóg marionetki. Lalka, w takt nuconej przez niego melodii, z nieopisanym wdziękiem zawirowała w walcu. Zaiste, była to magiczna, czarowna chwila.

- Sama widzisz - zachęcał ją. - To łatwe i ekscytujące, prawda?

- Cudowne! - przytaknęła. - Czuję, że żyję.

- Bo żyjesz.

- Kiedy spotkam królewicza?

- Niebawem - odparł wymijająco.

- Mam nadzieję, że będzie piękny i dzielny. Czy on...

- Nie zaprzataj sobie tym głowy. Już ja się o to zatroszczę. Czyż nie opiekuję się tobą od samego początku?

- Tak, Victorze. Wszystko zawdzięczam tobie, ale cały czas się martwię, że ona się dowie. Ta, która jest mną.

- To teraz nie ma znaczenia - uspokoił ją - przecież będziesz spała. Pamiętaj tę bajkę. Śpiąca królewna zapada w długi, głęboki sen.

Nie miał serca wyznać, że w jego inscenizacji nie zjawia się piękny królewicz, by pocałunkiem miłości obudzić z letargu królewnę. Nie będzie dzielnego wybawcy, jako że Victor miał zupełnie inne plany. On, wielki artysta, stworzył najwspanialsze dzieło w swym życiu po to, by je zniszczyć. No cóż, nie miał innego wyjścia, bowiem tylko w ten sposób będzie mógł ukarać imienniczkę cudownej marionetki. Zdobędzie się na to, by tę niezwykłą, ożywio-

na mocą jego geniuszu lalkę, złożyć w ofierze. Udowodnił to już w prawdziwym życiu.

W East Moline środki bezpieczeństwa były ograniczone do minimum i poza specjalistami od resocjalizacji, pracowało tu zaledwie kilku umundurowanych strażników. Prawie nigdy nie przychodzili do warsztatów, a Bill Jerome znalazł się tam tylko dlatego, że polecono mu, by przyjrzał się jednemu z młodych więźniów, z którym były pewne kłopoty.

Moim zdaniem źle wybrali, pomyślał Bill, gdy dość barczysta sylwetka pojawiła się w drzwiach olbrzymiego pomieszczenia. To raczej tego gościa powinni się obawiać, dodał w duchu, mierząc wzrokiem chudą, mroczną postać, stojącą samotnie w rogu stołu.

Obserwując Victora Lassitera, prowadzącego po stole tę cholerną marionetkę, poczuł nagle niemiły dreszcz. Usłyszał, jak coś do niej mruczał, a ona odpowiadała mu słodkim, dziewczęcym głosikiem. No cóż, Lassiter znał się na swojej robocie.

Przed aresztowaniem był lalkarzem, prawdziwym artystą w tym fachu. Wśród publiczności wzbudzał prawdziwy zachwyty, wręcz ją hipnotyzował, a u niektórych wywoływał graniczące z grozą niedowierzanie, gdy marionetki z niesłychaną precyzją odtwarzały ruchy aktorów.

Bill podejrzewał, że Lassiter wprost uwielbiał, gdy owe małe figurki spełniały każde jego życzenie, a poczucie absolutnej władzy nad nimi napawało go perwersyjną wręcz rozkoszą. W porządku, gdy chodziło tylko o lalki, pomyślał strażnik, ale wszystko się zmieniało, gdy na sce-

nie pojawiali się prawdziwi ludzie. To dlatego ten budzący zarówno podziw, jak i lęk artysta wylądował w więzieniu.

Jednak personel zakładu inaczej oceniał Victora Lassitera, wskutek czego uznano go za zdolnego do resocjalizacji. Z dobrą opinią został tu przeniesiony z Joliet, więzienia o zastrzonym rygorze, i właśnie kończył odsiadanie dziesięcioletniego wyroku. Wkrótce miał wyjść na wolność.

Natomiast Bill, gdyby tylko mógł, dożywotnio trzymałby go za kratkami, widział bowiem w oczach Lassitera to, czego nie dostrzegali eksperci: dziwny, wręcz nieludzki chłód. Gdy spoglądał na chytrą, chudą twarz więźnia, instynktownie czuł, że ten facet jest zdolny do wszystkiego.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Las wyglądał jak z ponurej bajki i Gillian wcale by się nie zdziwiła, gdyby na końcu wąskiej dróżki, którą wytrwale podążała, znajdował się ponury zamek zamieszka-ny przez złego czarownika, tym bardziej że mężczyzna, którego szukała, świetnie nadawał się na bohatera jakiejś mrocznej legendy. Z drugiej jednak strony, ponieważ był to Półwysep Górny w stanie Michigan, szlak ten najpewniej prowadził do chaty z drewnianych bali, a nie do zczarowanego zamku.

Nieprzenikniony las nużył swą monotonią i Gillian wiele by dała za jakąś polankę, która ożywiłaby krajobraz. Ile kilometrów już przeszła po opuszczeniu samochodu przy zamykanej na kłódkę bramie, za którą zaczynała się ta leśna dróżka?

Mimo że było zaledwie wczesne popołudnie, wokół panował półmrok, ponieważ słońce kryło się za chmurami, a niesamowita cisza zwiększała jeszcze atmosferę grozy. Nawet ptaki umilkły, jakby wyczuwając zbliżającą się niekorzystną zmianę pogody.

Gdy od jeziora dobiegł głuchy łoskot nadchodzącej burzy, Gillian zatrzymała się na chwilę i naciągnęła na rudozłote włosy kaptur swej lekkiej, zielonej kurtki, wierząc, że w ten sposób uchroni się przed ulewą.

Wiedziała, że postępuje nierozważnie. Była sama na odludziu i zbliżała się burza, a człowiek, który zaszył się w tej głuszy, z całą pewnością nie powita jej z radością. Powinna natychmiast zawrócić do samochodu, póki jeszcze był na to czas.

Jednak nie po to przyjeżdżała tu aż z Chicago, nie po to poświęciła tyle cennego czasu, by teraz, niemal u samego celu, poddawać się. Musiała, po prostu musiała odnaleźć tego mężczyznę.

„Jeżeli potrzebujesz pomocy prywatnego detektywa, by odnaleźć ciotkę Tillie, zajrzyj do książki telefonicznej, jeśli jednak znajdziesz się w prawdziwych tarapatkach, wynajmij Clevelanda McBride'a”.

Gdy przed wielu laty świętej pamięci ojciec Gillian wypowiedział te słowa, dobrze wiedział, co mówił, a teraz z kolei ona tak bardzo potrzebowała pomocy. McBride może uratować ją z poważnych kłopotów. Był skuteczny, działał w niekonwencjonalny sposób i znany był z niezależności.

Niestety, kilka miesięcy temu nagle zamknął swoją agencję i wyjechał z Chicago. Nikt nie wiedział, dlaczego tak postąpił. Po prostu znikł. Jakim więc cudem miała go teraz wynająć?

Istniała jeszcze jedna, i to dużo poważniejsza przeszkoda. Otóż kiedyś Gillian i Cleveland na krótko złączyli swe losy, a koniec tego związku był naprawdę fatalny. Od tamtego czasu minęło jednak sporo czasu i jest bardzo prawdopodobne, że McBride nie czuje już w sercu urazy. A może tak naprawdę nigdy mu na mnie nie zależało? - zastanawiała się. No cóż, jeśli jednak o nią chodzi, bardzo chciałaby zobaczyć Clevelanda.

Gdyby jednak nie to, że tak desperacko potrzebowała jego pomocy, na pewno nie odważyłaby się złożyć mu wizyty.

Gillian z ulgą spostrzegła, że las zaczyna rzednąć, a po chwili ujrzała niezmierzone wody Jeziora Górnego, które w świetle nadciągającej letniej burzy nabrały niesamowitej barwy ciemnej cyny.

Wreszcie więc doszła do celu, bo oto na małej polance stał wprawdzie nie średniowieczny zamek, lecz mały i zaniedbany domek kryty gontami. Przeszła przez zachwaszczony podwórko i wspięła się na ganek. Nagle ogarnęły ją złe przecucia. To miejsce wyglądało na opuszczone, jakby nikt od lat tu nie mieszkał. Może przybyła na próżno?

Zastukała do frontowych drzwi. Nikt nie odpowiadał. Spróbowała raz jeszcze, z tym samym skutkiem. Co teraz?

Z boku domu stał garaż. Co prawda również był w opłakanym stanie, ale ślady opon na żwirze musiały powstać całkiem niedawno. Była to dobra wiadomość.

Ruszyła w stronę garażu, gdy nagle przejmującą ciszę przeszył przeraźliwy krzyk mewy. Nie ma się czego bać, to tylko ptak, pomyślała, i ujrzała olbrzymiego czarnego labradora. Pies pojawił się nie wiadomo skąd i zastygł w bezruchu, a jego czujne ślepia wcale nie patrzyły przyjaźnie. Nie warczał, nie szczeekał, nie machał ogonem, tylko wpatrywał się w Gillian. Najpewniej szykował się do skoku. Wiedziała, że w starciu z tą bestią nie miałyby żadnych szans. Przestała prawie oddychać, by nawet najdrobniejszym ruchem nie sprowokować psa do ataku.

Nagle kątem oka dostrzegła wysoką postać okrążającą dom, a po chwili usłyszała:



- Mike, do nogi!

Dobrze znała ten ochrypły głos. Wciąż działał na jej zmysły.

Jednak pies nawet nie drgnął, tylko wciąż mierzył ją złym okiem.

Potrąfisz zachować spokój i rozsądek, nakazała sobie. Nie jesteś histeryczną panienką, tylko dojrzałą kobietą stojącą u szczytu kariery. Umiesz poradzić sobie w każdej sytuacji.

- Mike, do nogi! - rozległ się powtórny rozkaz.

Zwierzę przypadło do boku swego pana i usiadło na zadzie z przeproszającym skowytom, natomiast mężczyzna, ściskając w ręku wędkę, wcale nie zamierzał przeproszać ukrytego pod kapturem intruza, który naruszył jego prywatny teren i przeszkodził w ulubionym łowieniu ryb.

- Cześć, Cleve. - Gillian odwróciła się i cicho pozdrowiła gospodarza, zanim ten zdążył zrobić jej wymówkę za najście.

W jego niezwykłych brązowych oczach pojawił się wyraz zdumienia, a potem ogarnął je płomień. Szybko omiótł wzrokiem sylwetkę Gillian, jak zwykle wychytując każdy najdrobniejszy szczegół.

- Wyrosłaś - zauważył. Nie była pewna, czy słyszy w jego głosie aprobatę, czy też cyniczne rozbawienie. Zawsze był zdolny do jednego i drugiego.

On także się zmienił. Gęste brązowe jak grzywa lwa włosy były poprzetykane siwizną. Twarz miał jak dawniej pociągająca, nieprzystępna, z wydatnymi wargami i kwadratowymi szczękami, ale zmarszczki w kącikach

oczu pogłębiły się. No cóż, minęło prawie czternaście lat i Cleve zbliżał się już do swych czterdziestych drugich urodzin...

Ciało nadal miał prężne i masywne, wciąż imponował wojskową postawą, ale jego wygląd nie był już tak nieskazitelny, jak niegdyś. Gęste włosy domagały się fryzjera, koszula była poplamiona, a dżinsy dziurawe. Dlaczego przestał o siebie dbać?

- Jak mnie tu znalazłaś, Gillian?

- Jestem adwokatem.

- Tak, słyszałem o tym.

- I to dobrym. Nie rezygnuję, dopóki nie otrzymam odpowiedzi.

- To znaczy, że dostałaś adres od mojego gospodarza w Chicago, u którego ostatnio mieszkałem.

- Mniej więcej. Zatrzymałam się w wiosce, żeby zapytać o drogę i zadzwonić do ciebie, by zapowiedzieć moją wizytę, ale nikt nie znał twojego numeru.

- Lubię prywatność.

Spodziewała się, że zapyta ją, dlaczego postanowiła zakłócić jego spokój, lecz Cleve, spojrzawszy na jezioro, powiedział z ociąganiem:

- Zbliża się burza, lepiej wejdźmy do środka.

Poprowadził ją w stronę domu, pies szedł w ślad za nim. Zostawił wędkę na ganku i weszli do środka. Salon był mały i oszczędnie, wręcz biednie umeblowany, jednak kamienny kominek zachęcał do odpoczynku, a z okien roztaczał się wspaniały widok na jezioro, gdzie fale rozbiły się o skalisty brzeg.

- Jak znalazłeś to miejsce? - zapytała.

- To ono mnie znalazło. Należało do mego wuja, kawalera, który zmarł kilka lat temu i zostawił mi je w spadku.

Nie starał się wyjaśnić, dlaczego odizolował się od świata i wybrał pustelniczy żywot. Czuła, że nie ma prawa o to pytać.

- Chcesz piwa? Niestety, nic innego nie mam.

Potrząsnęła głową.

Wskazał jej wiklinowy, wygodny fotel. Usiadła. Mike, który nagle postanowił się z nią zaprzyjaźnić, klapnął u jej stóp i zaczął lizać tenisówki.

Cleve oparł się o kominek i patrzył, jak Gillian ściąga kaptur.

- Dlaczego to zrobiłaś? - W jego głosie zabrzmiała wyraźna dezaprobata. - Po co obcięłaś włosy? One i twoje fiołkowe oczy stanowiły niezwykle połączenie, zawsze tak uważałem. Widocznie jednak twój były, skoro pozwolili ci odejść, nie doceniał tego.

Alan. Mówi o Alanie. Słyszał o ich rozwodzie, który nastąpił przed trzema laty. Co jeszcze wiedział o niej i dlaczego zadawał sobie trud, by zdobyć te informacje? Bała się dociekać.

- To było przyjazne rozstanie, a wygląd nie miał żadnego znaczenia.

- Może konflikt na tle zawodowym? Jesteś adwokatem, powiadasz? O ile dobrze pamiętam, twój ojciec zawsze chciał, żebyś poszła w jego ślady, prawda?

Dawniej nie był taki uszczypliwy. Co go tak zmieniło? Nie miała odwagi zapytać... No cóż, powinna utrzymać spotkanie na oficjalnej stopie i dlatego, by ukryć miotające ją uczucia, powiedziała żywo:

- Może pozwolisz mi wyjaśnić, jaki mam do ciebie interes.

- Interes? - Uniósł szyderczo brew. - Do diabła, Gillian, miałem nadzieję, że zjawiłaś się tu, bo stęskniłaś się za mną i postanowiłaś sprawdzić, czy uda nam się ożywić starą magię.

Czy nadal ją obwinia za to, że bez słowa wyjaśnienia znikła z jego życia? Może ją nienawidzi? Czy dlatego jego słowa są pełne goryczy?

Przykrość, jaką sprawił Gillian swym sarkazmem, musiała się odbić na jej twarzy.

- Zapomnij o tym - mruknął przepraszająco. - Dobre maniere nie są moją mocną stroną, a życie w odosobnieniu jeszcze mi zaszkodziło. Widzisz, stary Mike już się uodpornił na moje grubiaństwo. - Usiadł na obmurowaniu kominka i pochylił się ku niej. - Wszystko w porządku - rzekł szorstko. - Słucham cię, choć musisz wiedzieć, że jeśli zjawiłaś się tu w sprawie prywatnego dochodzenia, to marnujesz czas. Nie prowadzę już interesów.

Jednak Gillian liczyła na to, że Cleve zmieni zdanie po wysłuchaniu tego, co miała mu do powiedzenia. Występując od wielu lat przed sądem i ławą przysięgłych, nabrała zaufania do siebie. Jednak teraz jej myśli rozpraszały przez odgłosy burzy. Na jeziorze podnosiły się grzywiaste fale, na horyzoncie widać było rozwidłone błyskawice, deszcz bębnił o szyby, miotany nasilającym się wiatrem. Widowisko było naprawdę dramatyczne, ale to, co Gillian miała do powiedzenia, było dużo bardziej wstrząsające. Dlatego za wszelką cenę musiała się skupić, bo od tej rozmowy zależało tak wiele.

- Victor Lassiter - rzuciła nagle. - Czy mówi ci coś to nazwisko?

Pokiwał głową.

- Wydaje mi się znajome. Jakaś prasowa wzmianka sprzed lat?

- Dokładnie sprzed dziesięciu. Victor był utalentowanym lalkarzem.

- Co takiego?

- No wiesz, marionetki, takie lalki na sznurkach. On i jego żona, Molly, prowadzili swój własny mały teatrzyk na Przystani Marynarki Wojennej, gdy to miejsce po przebudowie stało się modne.

- Przyjemne życie.

- Niestety, nie, ponieważ Victor był obsesyjnie zazdrosny o Molly. Nie umiał pogodzić się z myślą, że mógłby się nią dzielić z kimś innym. Kontrolował ją tak jak swoje marionetki i w rezultacie zamienił jej życie w piekło.

Cleve pokiwał głową.

- Wyobrażam sobie. Do licha, miałem takich spraw pod dostatkiem. Ta Molly... to twoja klientka?

- Niezupełnie. To była moja kuzynka.

Uniósł brew w wyrazie zdziwienia. Jak mógł w przeszłości przeoczyć związek Gillian z Molly? Nic jednak nie powiedział.

- Namawiałam ją, by w legalny sposób zakończyć ten związek - mówiła dalej. - Sugerowałam, że w ostateczności możemy spróbować doprowadzić do ubezwłasnowolnienia Victora.

- A ona pozostała nieugięta - domyślił się Cleve.

- Nie, ona... - Gillian zawahała się. Chciała dotrzymać starej obietnicy, ale Cleve był bystry i patrzył na nią podejrzliwie. - Molly nie wierzyła w to wszystko - kontynuowała. - Pomogłam jej zrobić to, co chciała. Przeniosła się do innego miasta i zmieniła tożsamość.

- A Victor?

- Oczywiście był wściekły i próbował wszystkiego, by ją odnaleźć.

- Udało mu się?

- Nie od razu, dopiero po kilku latach. Molly poznała kogoś, kogo chciała poślubić, i właśnie wtedy popełniła fatalną omyłkę. Uznała, że Victorowi przestało już na niej zależeć i skontaktowała się z nim, by omówić sprawy rozwodu, którego desperacko pragnęła. Spotkali się w neutralnym, publicznym miejscu. Nic o tym nie wiedziałam. Nikt nie wiedział... a potem było już za późno.

- Chcesz powiedzieć, że on... - Urwał. Po twarzy Gillian widać było, jak bardzo kochała Molly i nawet teraz, po tylu latach, uważała to wydarzenie za cios nie do zniesienia.

- Victor postanowił, że skoro Molly nie może być jego, nie będzie niczyja. Zabił ją. Uznano, że dokonał tego w napadzie furii, choć według mnie sprawa nie jest taka prosta.

- Udało mu się zbiec?

- Myślę, że próbował. Gdyby mu to udowodniono, pewnie dostałby dożywocie. Ale tak wszystko zagmatwał, przekreślił...

- Nie działał więc pod wpływem klasycznego afektu, tylko na zimno zaplanował zbrodnię. Nie był już opęta-

nym zazdrością mężem, jakich tysiące, lecz wyrachowanym zabójcą.

- Victor jest niegodziwy, ale także przebiegły. Rozsądza go nienawiść do tych, którzy sprzeciwiają się jego woli, i myślę, że to jest jedyna jego prawdziwa namiętność, poza chorobliwą miłością do Molly, ale w postępowaniu wykazuje się dużym sprytem. Planując zbrodnię, dobrze wiedział, że gdy zostanie uznany za chwilowo niepoczytalnego, wykpi się niskim wyrokiem. I tak też się stało. - Przerwała, by zaczerpnąć głęboko tchu. - Odsiedział karę. Wychodzi za niecałe dwa tygodnie.

- A ty się martwisz - zauważył. - Dlaczego?

- Bo on chce się zemścić. To człowiek szalony i jestem pewna, że zniszczenie mnie stało się dla niego jedynym celem w życiu. Uważa, że to z powodu mojej interwencji żona go opuściła, w konsekwencji czego zabił ją. Obwinia mnie o tę zbrodnię i przysiągł sobie, że będę cierpiała tak samo, jak on.

- Kiedy wypowiedział tę groźbę?

- Przed pójściem do więzienia.

Cleve lekceważąco machnął ręką.

- Minęło dziesięć lat, Gillian. Naprawdę sądzisz, że ten facet przez tak długi czas pielęgnował w sobie mordercze zamiary? I uważasz, że teraz, po wyjściu na wolność, nie będzie miał nic innego do roboty, jak tylko uganiać się za tobą i planować następną zbrodnię?

- Tak.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Dlatego. - Otworzyła torebkę i wyjęła z niej duże zdję-

cie, które podała Cleve'owi. - Dostałam to pocztą przed kilku dniami.

Spojrzał na fotografię i przeciągle gwizdnął ze zdziwienia.

- Przecież to ty... to znaczy jakaś kretyńska lalka, ale ładząco podobna do ciebie. Uchwycił wszystkie najistotniejsze cechy.

- Mówiłam ci, że ma talent. Na odwrocie jest napis.

Czuła dziwny spokój, gdy patrzyła, jak odwraca zdjęcie i czyta nagryzmołone słowa:

*Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona tym ładzącym podobieństwem. Jest piękna, prawda? Zamierzam wykorzystać ją do swoich celów po wyjściu z więzienia. Błogosławię cię.*

Cleve podniósł oczy znad zdjęcia.

- Skąd ci przyszło do głowy, że to jest coś więcej niż niewinny komplement?

- Pozornie na to wygląda, ale w głębi duszy czuję, że tak nie jest. W ten przebiegły, bezpieczny sposób przekazał mi mniej więcej tyle: „Wciąż pamiętam o tobie i niczego ci nie wybaczyłem”.

- Nie masz pewności.

- Niestety, mam. Zanim zamordował Molly, również wykonał jej sobowtóra. On jest szalony, ale wszystko dokładnie planuje.

Zapadła cisza, słychać było tylko odgłosy burzy. Cleve długo wpatrywał się w fotografię, a potem badawczo spojrział na Gillian.

- Czy to wszystko?

- Tak - skłamała.



- Na pewno?

Wahała się przez chwilę.

- Na pewno.

- Gillian, załóżmy, że masz rację. Lassiter, przed przystąpieniem do właściwego ataku, postanowił cię psychicznie zastraszyć. Rozpoczął kampanię terroru, a policja...

- Nic nie może zrobić - dopowiedziała za niego.

Tak w istocie było. Dopóki prześladowca w oczywisty sposób nie złamie prawa, na przykład nie zabije, policja jest bezsilna...

- Dlatego przyszedł z tym do mnie - mruknął. - Przykro mi, Gillian, ale w tej chwili nie czuję się na siłach pełnić roli ochroniarza.

- Gdybym potrzebowała tylko tego, zadzwoniłabym do agencji detektywistycznej, jakich w mieście jest pełno,

- Czego więc chcesz?

Ciężko jej było naciskać na Cleve'a, tym bardziej że dotąd zawsze sama potrafiła o siebie zadbać, z czego była dumna. Teraz jednak groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, i by ocalić swą głowę, rozpaczliwie potrzebowała pomocy.

- Potrzebuję kogoś, kto będzie śledził każdy krok Victora i jeżeli to tylko możliwe, zbierał dowody wystarczające do tego, by posłać go z powrotem do więzienia.

- W Chicago jest dużo prywatnych detektywów, sama o tym powiedziałaś przed chwilą.

- Żaden z nich nie podoła takiemu zadaniu.

Odłożył zdjęcie na kominek.

- Nie jestem zainteresowany. Dobrze mi tutaj. Życie jest piękne.

Unikał jej wzroku.

- Czy tak bardzo mnie nienawidzisz za to lato, kiedy byliśmy razem? - spytała cicho. - O to chodzi?

Zerwał się gwałtownie na równe nogi i spojrzał na nią z wściekłością.

- Nie potrafię ci pomóc, Gillian. Zostawmy to tak.

Lecz ona nie mogła tego tak zostawić. Patrzyła na Cleve'a, jak przeszedł przez pokój, stanął przy oknie i zapatrzył się w burzę. Zawsze był samotnikiem, ale teraz wyglądał na kogoś, kto całkowicie zamknął się sobie, by zwalczyć miotające nim demony.

- Cleve, co się stało? - zapytała z przejęciem. - Dlaczego zaszyłeś się w takim miejscu? Zawsze byłeś...

- Bardziej światowy? - zaśmiał się nieszczerze. - Cóż, zdarza się - rzekł wymijająco. - Ludzie się po prostu zmieniają. - Odszedł od okna. - Gillian, weź sobie długi urlop i wyjedź gdzieś daleko, bardzo daleko, gdzie Lassiter cię nie znajdzie. Jak tylko wyjdzie i będzie miał szansę zrealizować...

Przerwała mu, oświadczając z naciskiem:

- Nie mogę tego zrobić, nawet gdybym chciała uciec. Mam zobowiązania wobec klientki, która bardzo na mnie liczy. Szykuję się do wystąpienia w jej imieniu na procesie. W grę wchodzi olbrzymie pieniądze.

- Pieniądze - warknął. - Domyślam się, że o to tu chodzi. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Teraz rozłościła się Gillian. Nie chciał jej słuchać. Czyż nie rozumiał, że dla takiej kobiety, jaką dzięki wyętej pracy się stała, praca stanowi istotę życia? No cóż, ta rozmowa po prostu nie ma sensu.

- Co robisz? - zapytał, gdy Gillian podniosła się, zapięła kurtkę i naciągnęła kaptur na głowę.

- Wracam do samochodu, dopóki jest jeszcze dość widno.

- Czy ty zwariowałaś? Nie możesz wyjść w taką okropną pogodę.

- Ściga mnie morderca, a ty sądzisz, że się złękne małego deszczyku?

- Gillian...

Ona jednak już pomknęła w burzę. Zaczął za nią wołać, lecz Gillian myślała tylko o tym, by jak najprędzej przebiec przez polanę i skryć się między drzewami przed siekącym deszczem.

Gdy dobiegała do lasu, oślepiająca błyskawica rozdarła zmrok. W chwilę potem rozległ się trzask rozłupanego drzewa i potężna sosna runęła tuż przed nią. Gillian dosłownie otarła się o śmierć.

W tym momencie Cleve dopadł do niej.

- Nic ci się nie stało?

Oszołomiona, zdołała tylko wykrztusić:

- Nie, w porządku.

- Gdzie ty masz rozum? - warknął. - Nie wiesz, że w czasie burzy nie wolno chodzić pod drzewami?

Miał całkowitą rację, a ona zachowała się jak idiotka. Nie opierała się, kiedy ujął ją za ramię i pociągnął z powrotem do domu. Nim tam dotarli, ich ubrania prześlaskły deszczem. Mike podniósł łeb i popatrzył na nich z powagą, dając do zrozumienia, że akurat on miał tyle rozumu, by w taką pogodę nie wychodzić na zewnątrz.

Ze spodni i kurtki Gillian kapała woda na wycieraczkę. Cleve obszedł pokój, zapalając lampy.

- Gdybyś zaczekała parę sekund - zgryźliwie kontynuował swój wykład - zawiózłbym cię do bramy samochodem. Teraz jest to niemożliwe, bo zwalone drzewo zablokowało podjazd. Będę mógł je usunąć dopiero za dnia, ale jeśli nadal będzie padać...

- Czy mogłabym cię prosić, żebyś przestał na mnie wrzeszczeć? - powiedziała cicho, jakby zaraz miała zemdleć.

Podszedł do niej.

- Spójrz tylko na siebie - ględził dalej. - Dlaczego nie ściągniesz tej mokrej kurtki?

Nie mogła poradzić sobie z zamkiem, palce jej drżały, ledwie trzymała się na nogach. Wspomnienie tego, co stało się na podjeździe, wręcz ją paraliżowało.

- Pomogę ci - rzekł niecierpliwie.

Rozsunął suwak i zaczął zdejmować z niej kurtkę, gdy nagle, pod wpływem impulsu, wywołanego wzajemnym dotykiem, wpadli sobie w ramiona. Działo się to poza ich myślą i wolą, poza świadomością.

- Dobrze, że wróciłaś - szepnął, namiętnie tuląc ją do siebie, jakby powracał do tego czasu, kiedy Gillian miała osiemnaście lat. - Jesteś jeszcze cudowniejsza, niż przed laty. Myślałem, że wtedy byłaś skończoną pięknoscią, ale się myliłem. Dojrzałaś i z dziewczyny przemieniłaś się w najwspanialszą kobietę.

Powróciła magia, która zniewoliła ich przed czterema laty. Gillian przed pójściem do college'u pracowała w firmie swojego ojca, gdzie pisała na maszynie i wypełniała nudne

tabele. Tam właśnie poznała Clevelanda McBride'a, który prowadził trudniejsze dochodzenia dla firmy jej ojca, a także innych agencji.

Gillian nie zapomniała jego zmysłowej energii, która tak nią wstrząsnęła owego popołudnia, gdy wkroczył do biura. Pochylił się nad jej biurkiem i na powitanie posłał , ironiczny uśmiezek. Namiętność, jaka ich połączyła, była intensywna i cudowna, lecz również wielce nierozsądna. Powinni byli unikać się jak ognia, ona, niepewna siebie dziewczyna, nie mająca pojęcia o życiu, i on, dojrzały i doświadczony mężczyzna, zbliżający się do trzydziestki. Ich związek był krótki i w efekcie niezwykle bolesny.

Gdy teraz trzymał ją w objęciach, przypomniała sobie ów straszliwy ból rozstania, dojmujące poczucie straty. Wówczas obiecała sobie, że to się więcej nie powtórzy.

- Nie - powiedziała, odpychając go od siebie.

Przez chwilę próbował zatrzymać ją w objęciach. Potem rozluźnił uścisk i cofnął się o krok. Jego brązowe oczy spoglądały na nią z góry, z namysłem.

- Nie możemy się posunąć za daleko, Cleve - zaprote stowała stanowczo. Tym razem nie.

- Spróbuję o tym pamiętać, ale zapowiada się bardzo długa noc - powiedział jakby z przymusem.

I wtedy w pełni zdała sobie sprawę ze swego położenia. Nie będzie mogła się stąd ruszyć aż do rana. Była wraz z Cleve'em uwięziona w małym myśliwskim domku.

Po pierwszej burzy, która przycichła przed zmrokiem, przyszła następna w środku nocy. Choć tym razem nie

było błyskawic i grzmotów, wiatr był bardziej zacięty, a deszcz jeszcze ulewniejszy.

Gillian leżała, nie śpiąc, w wąskim łóżku, w gościnnym pokoiku, wsłuchując się w ryk wód jeziora i łomotanie burzy w podwójne okna.

Była niespokojna, lecz nie z powodu szalejącej wichury. Starła się nie myśleć o Clevie, lecz było to zadanie ponad jej siły.

Wreszcie udało jej się zasnąć, niestety dom był stary i gwałtownie domagał się remontu. W chwilę później uporczywy wiatr zatriumfował.

Gillian zerwała się z krzykiem, gdy podwójne okna z potwornym hukiem ustąpiły pod naporem wichru. Półprzymnna, wyobraziła sobie Victora Lassitera z dymiącym rewolwerem w ręku, szczęśliwie był to tylko deszcz i zimny wiatr, nie zaś morderca-psychopata. Wygrzebawszy się z łóżka, pospieszyła do okna, które głośno waliło o ścianę. Jak przez mgłę usłyszała krzyk dobiegający z sąsiedniego pokoju i tupot bosych stóp.

Gdy Gillian bezradnie zмагаła się z oknem, nagle z pomocą pojawiła się para silnych rąk.

Wreszcie w pokoju zapanowała cisza. Kiedy odwróciła się do Cleve'a, wprost zaparło jej dech w piersiach. Słabe światło z holu, wpadające przez otwarte drzwi, wystarczyło, by jej uprzytomnić, że znalazła się w dużym kłopotcie.

Miał na sobie tylko slipki, a jego nagie ciało wprost emanowało nieodpartą siłą.

Co gorsza, mogła się tylko domyślać, jak sama musiała wyglądać, ubrana tylko w majtki i pożyczoną od Cleve'a

koszulę. Leniwym, ciężkim wzrokiem pieścił jej piersi, nagie pod cienkim materiałem.

Była całkiem bezbronna, a on był gotów to wykorzystać w każdej chwili.

- Czy coś ci obiecywałem wcześniej? - mruknął chrapliwie. - Jeśli tak, to do diabła z tym.

Zanim zdołała zaprotestować, objął ją i mocno przycisnął do piersi.

Jego głodne wargi opadły na jej usta, a ona na moment zupełnie straciła głowę. Podświadomie wyczuwała jednak, że coś jest nie tak. I nagle zrozumiała, o co chodzi. To była ukryta złość, której intensywność zaszokowała Gillian, a zarazem ostrzegła, że popełnia wielki błąd.

Kiedy wyrwała mu się z objęć, spojrzał na nią zranionym wzrokiem.

- Tak, pamiętam - powiedział oskarżycielsko. - Nie jesteśmy już razem.

- Cleve...

- Czy wiesz, co czułem tamtego lata? Dlaczego mnie porzuciłaś? Czułem się jak w niebie każdego dnia, gdy byliśmy razem, i jak w piekle, kiedy to się skończyło. Dlaczego odeszłaś bez słowa, bez jednego cholernego słowa wyjaśnienia...

- Przykro mi - szepnęła. Nie wiedziała, jak ułagodzić jego gniew.

- No cóż, to już prehistoria, prawda? Zapomnij o tym.

Odwrócił się, kierując ku drzwiom. Nie mogła pozwolić, by tak po prostu odszedł.

- Cleve, zaczekaj.

Zatrzymał się i odwrócił głowę.

- Tak?

- Tamtego lata... Chciałabym ci to wyjaśnić.

- Dlaczego?

- Ponieważ nigdy mi nie wybaczyłeś. Z tego też powodu, jak sądzę, odmówiłeś mi pomocy...

- Rozumiem - przerwał jej drwiąco. - Chcesz ubić interes. Tak właśnie postępują prawnicy, prawda? Wszystko mi wyjaśnisz, może nawet zaoferujesz coś słodsze, a ja zgodzę się za to złapać Lassitera.

- Nie zasłużyłam na to - powiedziała z bólem.

- Nie? A ja myślę, że tak. Bo jesteś gotowa w każdy sposób okazać mi wdzięczność, bylebym tylko przyjął twoją propozycję. Twoja desperacja nie zna granic, Gillian, i myślisz tylko o jednym, a mianowicie, jak mnie przekabacić na swoją stronę.

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Nie sądzisz, że musi być jakiś istotny powód, dla którego przyszłam właśnie do ciebie? Może dlatego, że pamiętam, co o tobie mówiono? „Cleveland McBride to facet, który kocha swoją robotę. Został prywatnym detektywem, bo uwielbia dreszczyk emocji, ale również dlatego, że lubi pomagać ludziom, którym już nikt inny pomóc nie może. I to jest najważniejsza przyczyna, choć za nic się do tego nie przyzna”.

Cleve wzruszył ramionami.

- Po prostu nie wiedzieli, co mówili.

Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Gillian patrzyła w ślad za nim, nerwy miała napięte.

Była zaszokowana odkryciem, że mimo tylu lat ich



namiętność nie wygasła. Zapewne Cleve był równie mocno tym poruszony.

Jeszcze z nim nie skończyła, ale teraz ma inne sprawy na głowie. Z samego rana opuści to miejsce i natychmiast przystąpi do działania. Bo teraz, bez pomocy Cleve'a, zdana tylko na siebie, musi się przygotować do śmiertelnej walki z Victorem Lassiterem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

To było to!

Cleve od wielu tygodni bezskutecznie próbował namierzyć faceta i wreszcie tej nocy miał go przyskrzynić. Wyobrażał sobie radość klientki, kiedy znów weźmie swoją córkę w ramiona.

Jednak musiał zachować ostrożność, bo nigdy nie wiadomo, co tacy dranie mogą wymyślić. Do diabła, jeśli ktoś porywa własne dziecko tylko po to, by dokuczyć swojej eksmałżonce, znaczy to, że zdolny jest do wszystkiego.

Cleve ze znudzoną miną, niczym zapóźniony przechodzień, szedł po schodach na stacji metra Addison. Facet był zbyt roztargniony, by go zauważyć. Starał się uspokoić małą, którą trzymał w ramionach. Było już dobrze po północy i dziecko cicho popłakiwało. Nie miało jeszcze trzech lat i już od dawna powinno być w łóżku, a nie na ulicach Chicago.

Dobry tatuś, pomyślał Cleve gniewnie. Czego można się jednak spodziewać po człowieku, który sam prawie był dzieckiem. Cholerny punk! Jeden z informatorów Cleve'a dał mu cynk, że facet właśnie wyszedł z sali bilardowej.

Nie mógł go teraz zgubić, ale na wszelki wypadek zachowywał odpowiednią odległość, gdy czekali na pociąg jadący na południe. Na peronie stało tylko troje ludzi.

Cleve dobrze wiedział, że nie może w tym miejscu ryzykować odebrania dziecka, bo takie heroiczne wyczyny często kończą się fatalnie. Musi namierzyć aktualny adres punka, wezwać policję i czekać na szczęśliwe zakończenie.

Jadący na północ pociąg wjechał właśnie na inny tor. Cleve rzucił okiem w tamtą stronę, i wtedy stało się najgorsze.

Nie docenił przeciwnika. Punk coś wyniuchał i wpadł w panikę. Skoczył na tory i zaczął biec w kierunku Belmontu. Dziecko wciąż trzymał w ramionach.

Cleve nie wahał się ani chwili. Skoczył w dół i puścił się w pogoń. Musi ocalić dziewczynkę. Kretyński gówniarz! Przecież powinien zdawać sobie sprawę, że jeśli zahaczy o tak zwaną trzecią szynę, czyli zasilający przewód, usmażą się oboje!

Biegając, nasłuchiwał przeraźliwego ryku pędzącego z tyłu pociągu, ale słyszał jedynie ruch uliczny i tętnienie krwi w uszach. Nie chciał się zastanawiać, co owo tętnienie oznacza.

Punk obejrzał się przez ramię i dostrzegł, że jest ścigany. Wówczas porzucił swój ciężar, sadzając dziewczynkę pomiędzy szynami, jakby była stertą ubrań, a sam zniknął w mroku nocy.

Mała piszczała ze strachu, kiedy Cleve do niej dobiegł. Przykucnął i wziął ją w ramiona. W owym rozstrzygającym momencie tętnienie w uszach nagle przeszło w przeszywający ból.

Nie teraz, modlił się, gdy zachwiał się na nogach z dzieckiem na ręku. Błagam, tylko nie teraz!

Wciąż obejmował dziewczynkę obronnym gestem, gdy nagle pochłoneła go obmierzła ciemność. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, padając na kolana, był łoskot nadjeżdżającego pociągu...

Cleve obudził się. Przez chwilę leżał w szarym świetle brzasku, odzyskując przytomność, podczas gdy jego serce powoli się uspokajało.

Od kiedy opuścił Chicago, ten nocny koszmar aż do dzisiaj go nie nawiedzał. Miał nadzieję, że uwolnił się od tej sceny, jednak widocznie się mylił. I nie miało znaczenia to, że w rzeczywistości ruch na stacji Addison został zatrzymany, co zapobiegło nieszczęściu.

Bo cała reszta zgadzała się z tym upiornym snem. To wszystko miało miejsce naprawdę i taki był koniec jego kariery zawodowej.

Opuścił nogi na podłogę, ale nie wstawał. Siedział na brzegu łóżka i zastanawiał się, co spowodowało, że koszmar znów powrócił. Wizyta Gillian? Bardzo możliwe.

Nie mógł o niej zapomnieć od czasu, gdy opuściła go tak nagle. Jej wspomnienie prześladowało go od lat.

A teraz, u diabła, przybywa tu i niszczy jego spokój. Lecz kogo on próbuje oszukiwać? Przecież to tylko iluzja. Okłamywał siebie, że jest mu dobrze, żyjąc w tak jałowy sposób.

Przeczesał palcami potargane włosy, stanął na nogi i wciągnął dzinsy. Nie zwracał sobie głowy koszulą ani butami. Wszedł do maleńkiej kuchenki, zaparzył kawę i napełnił nią kubek. Ruszył w stronę drzwi wejściowych, labrador powlókł się za nim.

Z nagim torsem i boso poszedł nad brzeg jeziora, gdzie usadowił się na płaskim okrąglaku. Nie zwracał uwagi na chłodny powiew znad jeziora. Pił kawę i patrzył na wschód słońca. Pies obwąchiwał pień drzewa wyrzucony przez wodę na brzeg, a potem ułożył się na piasku.

- Co o tym sądzisz, Mike? Czy mam jej wyjaśnić, dlaczego tu jesteście i dlaczego muszę jej odmówić?

Po diabła, pomyślał Cleve. On jest pewnie sprytniejszy niż ja. Wie, że nie mam odwagi powiedzieć jej prawdy. Duma. Nie zniósłbym litości. Nie od Gillian.

- Wiesz co, Mike? Coś mi się wydaje, że nie tylko ja ukrywam jakiś sekret.

W swojej wieloletniej praktyce prywatnego detektywa często spotykał się z sytuacją, gdy klienci ukrywali przed nim najważniejsze fakty. Robili tak z poczucia lojalności wobec innych osób, ze strachu, ze wstydu lub też ze zwyczajnej głupoty. Nie wiedział, czym kierowała się Gillian, ale był pewien, że zataiła przed nim najważniejszą część swojej historii.

- Hmm, wiem, Mike. Gdybym dał jej szansę, może by mi wszystko opowiedziała, ale ja byłem zbyt pochłonięty odgrywaniem roli łajdaka. Nawet bym jej nie pozwolił wyjaśnić, dlaczego tamtego lata odeszła ode mnie bez jednego słowa.

Dlaczego tak nagle wyjechała do Europy?

- Czy sądzisz, że jej stary się w to wmieszał? Nie, to niemożliwe.

Gillian była pełnoletnia i samodzielna, a jej ojciec cenił i lubił Cleve'a. Harmon Randolph okazywał mu przyjaźń

i korzystał z jego usług jeszcze długo po tym, jak się rozstali z Gillian.

Labrador usiadł i trącał nosem jego udo. Słońce wzniosło się w górę, kąpiąc jezioro w złotym blasku. Powietrze było wonne, wypełnione zapachem sosen. Cleve'owi nie dawały spokoju słowa, które Gillian wypowiedziała poprzedniej nocy: „Nie sądzisz, że musi być jakiś istotny powód, dla którego przyszłam właśnie do ciebie? Może dlatego, że pamiętam, co o tobie mówiono?”.

No właśnie, a mówiono o nim tak: „Cleveland McBride to facet, który kocha swoją robotę. Został prywatnym detektywem, bo uwielbia dreszczyk emocji, ale również dlatego, że lubi pomagać ludziom, którym już nikt inny pomóc nie może. I to jest najważniejsza przyczyna, choć za nic się do tego nie przyzna”.

Te słowa brzmiały jak oskarżenie. To przykre.

- Ona nie rozumie, Mike. Myśli, że jestem tutaj z własnego wyboru.

Lekarze nalegali, by zmienił tryb życia. Miał unikać wszelkich stresów oraz nie eksploatować nadmiernie organizmu. Nie słuchał ich, aż wreszcie doszło do dramatycznych wydarzeń w metrze. Tylko cudem on i małe dziecko ocalili. Wtedy zrozumiał, że specjaliści mieli rację. Cleve zaszył się na tym odludziu, by prowadzić nudną i nikomu niepotrzebną egzystencję. Wprawdzie skończyły się oślepiające bóle głowy i przerażające chwile utraty przytomności, lecz w zamian nastała nuda, pustka i świadomość przegranego życia.

- Dłużej tego nie zniosę - powiedział, z furią odsta

wiając kubek, który rozpadł się na drobne kawałki. - Ja tu nie żyję. Jakbym zakopał się w grobie!

Jeszcze jedno zlecenie. Gdyby je dostał, mógłby się przekonać, czy wciąż jest tym samym facetem, jakim był przez długie lata i jakim chciałby umrzeć.

W grę wchodziło tylko zlecenie Gillian.

Czy jednak zdoła jej pomóc? Może nie jest z nim tak źle, przecież od miesięcy nie miał ani jednego ataku. Czyżby miesiące bezczynności okazały się skuteczną kuracją? Albo przynajmniej jest na tyle zaleczony, że starczy mu sił, by zdemaskować Lassitera?

To prawdziwe szaleństwo znów pakować się w cały ten młyn, ale po prostu musi się sprawdzić. Zobaczyć, czy znów jest coś wart.

- Zrobię to, Mike. Dłużej nie wytrzymam w tym cholernym letargu.

Lecz pies miał już dosyć filozoficznych rozważań i jednoznacznie dał do zrozumienia, że w tej chwili interesuje go tylko miska. Cleve uśmiechnął się na ten objaw zdrowego rozsądku.

- Masz rację, Mike, czas na śniadanie.

Najpierw w kuchni nakarmił psa, a potem poszedł do swojej sypialni i z kasetki wyjął colta 38. Nie dotykał go od czasu wyjazdu z Chicago. Najpierw go oczyści, a potem zacznie strzelecki trening. Cleve miał niecałe dwa tygodnie, by wrócić do formy, bo właśnie wtedy Lassiter wyjdzie na wolność.

Licencja i ubezpieczenie wystawione na nazwisko Cleve-landa McBride'a nadal były ważne, natomiast by przystąpić do pracy, musiał wyjaśnić Gillian, dlaczego zmienił zdanie.

Zatai przed nią swoją chorobę, bo z troski o jego zdrowie mogłaby się nie zgodzić, by dla niej pracował.

Coś wymyśli, na przykład to, że sprawa ogromnie go zaintrygowała i dlatego postanowił podjąć wyzwanie, co zresztą wcale nie będzie kłamstwem. Ukryć, i to nawet przed samym sobą, musi jednak nie tylko swoją dolegliwość, ale również obezwładniającą wręcz słabość do Gillian.

Na ulicy, przy której mieściła się kancelaria Gillian, prowadzono roboty drogowe, dlatego taksówka musiała zatrzymać się na rogu. Po długim popołudniu spędzonym w sądzie przymusowy spacer przez rozpaloną słonecznym żarem betonową pustynię był prawdziwą torturą.

W dodatku Gillian w torebce i skórzanej teczce miała pełno papierów, a jej strój też wiele pozostawiał do życzenia. Jasnożółty kostium i pantofle na wysokich obcasach, które założyła, by patrzeć sędziemu, znanemu z lekceważenia kobiet, prosto w oczy, oraz upięte w kok rudozłote włosy, wszystko to świetnie prezentowało się w klimatyzowanej, nobliwej sali sądowej, ale teraz pani adwokat wyglądała jak zwiędły żonkil.

Gdy podeszła do budynku, ciężkie oszklone drzwi były zamknięte. No cóż, było już późno, a poza tym w piątki kto tylko mógł, jak najprędzej urywał się do domu.

Nocny portier wyszedł ze swego stanowiska w holu, by ją wpuścić.

- Czekałem na panią, pani Randolph. Pani asystentka uprzedziła mnie, że pani wróci. Znowu przeciągnęło się w sądzie?



- Przez pewnego bardzo gadatliwego polityka, Hank.  
- Westchnęła z ulgą, gdy owionęło ją chłodne powietrze w budynku.

- Gorąco, że można się usmażyć, prawda? - zauważył przyjaźnie portier, starannie zamykając za nią drzwi. - Nikogo już nie ma oprócz pani. Wszyscy inni siedzą w domach i popijają zimne drinki.

Gdy była już w windzie, Hank ją zatrzymał.

- Omal nie zapomniałem. Przed chwilą dostarczono dla pani paczkę.

Gillian kiwnęła głową.

- Od jednej z klientek. Mówiła, że wyśle ją dzisiaj.

- Mac położył paczkę na pani biurku tuż przed końcem dyżuru - powiedział portier.

- Nie ma pan dzisiaj partnera?

Jego okrągła pocziwa twarz zmarszczyła się w przyjaznym śmiechu.

- Proszę mi wierzyć, potrafię upilnować ten budynek sam jeden. W weekend nikt tu się nie będzie kręcił prócz nas dwojga. Dobrego wieczoru, pani Randolph.

Gillian uświadomiła sobie absolutną ciszę, gdy wyszła z windy na szóstym piętrze i przeszła przez opustoszały korytarz obok rzędu gabinetów zajmowanych przez jej firmę. Była tu już sama zbyt wiele razy, by jej to miało przeszkadzać. Poza tym zabezpieczenie budynku zawsze było pewne i solidne. Teraz szczególnie to doceniała.

Natychmiast, gdy tylko weszła do gabinetu, zrzuciła buty i zdjęła żakiet. Wreszcie poczuła się dobrze. Otworzyła wielki termos i nalała sobie dużą porcję mrożonej herbaty, a następnie sprawdziła fax. Nie było żadnych wia-

domości. Znalazła dwie napisane ołówkiem notatki od swej asystentki Gail, lecz żadna nie była pilna.

Paczka przyniesiona przez portiera leżała na brzegu biurka. Owinięte brązowym papierem i zaklejone taśmą pudełko było nieco większych rozmiarów niż karton na buty. Gillian wiedziała, że zawiera fotografie rodzinne, zaświadczenia, odznaczenia służbowe i inne materiały, służące przybliżeniu sylwetki zmarłego męża klientki.

Zdecydowawszy, że paczka i jej zawartość mogą poczekać, usiadła za biurkiem, założyła okulary do czytania i zaczęła studiować rozwlekłe zeznania, dotyczące pewnej bardzo trudnej sprawy.

Gillian była wdzięczna za to wyzwanie. Musiała zająć czymś umysł, nawet jeśli w głębi ducha nie mogła zapomnieć o swych obawach. Victor Lassiter został wypuszczony z więzienia dwa dni temu.

Żyła w stresie, wiedziała bowiem, że obsesyjnie nienawidzący ją szaleniec z całą pewnością przygotowuje dla niej niespodziankę. Nie mogła jednak dopuścić, by strach ją sparaliżował. Oczywiście musiała zachować ostrożność oraz ufać, że prywatny detektyw, którego wynajęła zamiast McBride'a, okaże się skuteczny. Niestety, nie pokładała zbyt wiele wiary w tym człowieku. No cóż, gdyby Cleve się zgodził pomóc...

Nie ma jednak sensu rozwódzić się nad jego odmowę i bolesnym epizodem w domku myśliwskim. Po prostu trzeba zapomnieć, co oboje czuli, gdy spontanicznie padli sobie w ramiona. Uczucie nie wygasło, ale co z tego? Sytuacja jest beznadziejna, zawsze taka była, po co więc się zadrećzać?

Termos był już pusty i zmrok gęstniał nad miastem, kiedy Gillian skończyła czytać ostatnie zeznanie. Zdjęła okulary, zakładając z powrotem buty i żakiet. Czuła się zmęczona. Pora wracać do domu.

Wówczas przypomniała sobie o paczce. No cóż, rzuci tylko okiem, by wiedzieć, czym dysponuje.

Rozdarła papier, podniosła pokrywą pudełka i zaczęła rozwijać bibułkę, w którą starannie zapakowano zawartość. Nagle cofnęła się, zasłaniając usta z przerażenia.

O Boże!

Paczka nie pochodziła od owdowiałej klientki. To nie były dokumenty.

W środku leżała marionetka. Paranoiczny hołd Victora Lassitera dla Gillian. Fiołkowe oczy, dokładnie takie jak jej własne, były wytrzeszczone i martwe.

Lalka została potraktowana okrutnie. Jej jedwabny szlafrok w wielu miejscach był poprzecinany i pokrwaszony, rączki i nóżki odrąbane, a mała siekierka-zabawka tkwiła w czaszce. Całość wyglądała przerażająco realnie. Gillian czuła się, jakby patrzyła na szczątki prawdziwej ofiary, którą przed śmiercią nieludzko torturowano.

Przesłanie było szokująco oczywiste.

Gdy zdołała się opanować, zbadała opakowanie paczki. Przeczytała swoje imię i nazwisko, ale z oczywistych powodów nie było personaliów nadawcy. Brakowało też jakiegokolwiek nalepki pocztowej.

Może Hank coś zauważył. Szybko wykręciła numer. Tak chciała usłyszeć życzliwy i spokojny głos portiera. Niestety, nikt nie podnosił słuchawki.

Zatrzasnęła torebkę i skierowała się do windy. Choć

długi korytarz był jasno oświetlony, poczuła się bardzo nieswojo. Dlaczego była na tyle głupia, by zostawać tak długo w pustym budynku?

Walcząc z tym, co podpowiadała jej wyobraźnia, zjechała windą do holu. Modliła się, żeby Hank był tam, gdzie zawsze, pogrążony w lekturze gazet. Niestety, nie dostrzegła nikogo.

Nerwowo rozejrzała się wokół... na pulpicie, na którym stał monitor, zobaczyła małą czerwoną plamkę. To nie była farba, jak na marionetce, tylko prawdziwa krew! Gillian już wiedziała: Victor Lassiter przystąpił do działania.

Nie poddała się panice, tylko zanalizowała sytuację. Nie może wymknąć się na ulicę, bo ciężkie frontowe drzwi były zamknięte na klucz, a klucze miał portier. Może zadzwonić na policję? Ale zanim przyjadą, może być za późno. Musi poradzić sobie sama, a także pomóc Hankowi... o ile nie jest już za późno. Musi zdobyć broń i skontaktować się ze światem zewnętrznym.

Jej samochód był zaparkowany w podziemnym garażu. Był tam telefon, a w zamkniętej przegródce na rękawiczki znajdował się rewolwer. Nabyła go zaraz następnego dnia, gdy Cleve odmówił jej pomocy, i choć nienawidziła broni palnej, regularnie chodziła na strzelnicę.

Musi więc dostać się do samochodu.

Podbiegła do windy, nacisnęła guzik „P”, zjechała na dół... i zawahała się. Rozciągała się przed nią ogromna podziemna pieczara, wprost wymarzone miejsce dla zbrodniarza, który zamierza zabić swoją ofiarę.

Gillian wzdrygnęła się i ruszyła do przodu, a stukot jej obcasów brzmiał nienaturalnie głośno. O tej porze stało tu

tylko kilka pojazdów, a jej samochód był zaparkowany na samym końcu.

Oddychała ciężko w stęchłym, wilgotnym powietrzu. Wreszcie dotarła do swojego volvo. Jej ulga zmieniła się w rozpacz, gdy przypomniała sobie, że kluczyki schowała do skórzanej teczki, którą zostawiła w biurze na szóstym piętrze.

Co teraz?

Nie mogła wejść po schodach. Automatyczne stalowe drzwi na górze otwierały się przy użyciu kodowanej karty, którą również zostawiła na górze.

Niepewnie ruszyła w stronę windy, niestety jej drzwi były zamknięte. Ktoś zabrał ją na wyższe piętro!

Usłyszała szum windy, która znów jechała w dół, a oświetlona strzałka wskazywała, że celem jest garaż. Pułapka! Gdzie się schować?! Gillian zdjęła pantofle i w pończochach przebiegła do najbliższego auta.

Czterodrzwiowa limuzyna miała przebitą oponę, dlatego ktoś ją tu zostawił. Zaparkowana była w kącie pod ścianką działową i między nią i ścianą powstał ciemny ką. Gillian zdołała tam się ukryć, w chwili gdy drzwi windy się otwierały.

Skulona za wielkim kołem limuzyny, słyszała zbliżające się kroki. Jeśli ten ktoś zada sobie trochę trudu, na pewno ją znajdzie. Czyżby tak miało zakończyć się moje życie? - pomyślała z rozpaczą. Boże, mam zaledwie trzydzieści dwa lata i tyle jeszcze przede mną...

Napastnik zatrzymał się tuż przed limuzyną. Gillian szykowała się do desperackiej obrony. Najpierw kopnąć w czułe miejsce, a potem paznokciami do oczu...

Zapadła śmiertelna cisza. Gillian wstrzymała oddech, a przez głowę przebiegały jej strzępy błagalnej modlitwy.

- Hej, Gillian! Jesteś tu?

Głos był tubalny i pełen zniecierpliwienia. Najcudowniejszy głos na świecie.

Roztrzęsiona, z mocno bijącym sercem, wstała i ruszyła w kierunku światła.

- Jestem tutaj - wychrypiła.

Powitał ją niedbałym uśmiechem, zupełnie jakby byli umówieni. Jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego, że on, Cleveland McBride, jest tutaj.

- Co ty robisz w podziemiach? - zdziwił się. - Zmieniasz koło? Przykro mi to mówić, ale to z tyłu nadaje się do wymiany.

Zupełnie bez sensu, ale i z pewnym żalem pomyślała, że tak właśnie musi wyglądać, jakby zabawiała się w mechanika. Była zgrzana i spocona, włosy zwisały w wilgotnych strąkach, a żółty żakiet był paskudnie poplamiony. Na dodatek stała bez butów, w podartych i brudnych pończochach.

Jakby tego było mało, Cleve wyglądał wprost fantastycznie. Miał świeżo ostrzyżone włosy, ubrany był w letnie spodnie i dobraną do nich koszulę. Poza tym emanował energią, a na kimś, kto znałby go słabiej niż Gillian, mógłby nawet wyrzucić wrażenie osoby obdarzonej pogodą ducha. Co się stało? Skąd taka zmiana?

- Na pewno chcesz wiedzieć, co robię w Chicago?

To na razie mogło poczekać.

- Zacznij od tego, co robisz w tym budynku? Jak się tu dostałeś?

Wskazał kciukiem hol na górze.

- Portier wpuścił mnie, gdy się wylegitymowałem i wyjaśniłem, że szukam ciebie. Próbował się dodzwonić do twojego gabinetu, ale już wyszłaś. Powiedział, że może zdążę złapać cię na dole.

- To Hankowi nic się nie stało?!

- Tak, nie licząc palca, który rozciął sobie o puszkę z wodą sodową. Ale dlaczego interesujesz się zdrowiem portiera? Lepiej powiedz, jak ty się czujesz, bo nie wyglądasz najlepiej.

- Zauważyłeś to - odparła oschle. - Faktycznie nie czuję się dobrze. I nie jestem tu po to, żeby zmieniać koło. Schowałam się.

- Możesz to wyjaśnić, Gillian?

- Mogę.

Gdy skończyła swą relację, natychmiast wciągnęła ją do windy, a gdy zatrzymali się w holu, Cleve poprosił przestraszonego Hanka o zawiadomienie policji, po czym pojechali na szóste piętro.

Już po chwili Cleve oglądał okaleczoną lalkę.

- Ten facet jest chory psychicznie - stwierdził ponuro.

- On igra ze mną. Tak samo musiał się bawić marionetką, zanim... - Głos się jej załamał.

Cleve położył rękę na jej ramieniu.

- Nie przejmuj się. Taka przesyłka to naruszenie prawa, a tym samym złamanie warunków zwolnienia warunkowego. To dobra okazja, by znów zamknąć Lassitera, zanim posunie się za daleko.

Niestety, oficer policji, który niebawem się pojawił, nie mógł im tego zagwarantować, obiecał jedynie zbadanie

sprawy. Pokręcił się po budynku, zadał kilka pytań, a na koniec obiecał Gillian, że gdy tylko czegoś się dowie, skontaktuje się z nią, i szybko się ulotnił.

- Myślę, że masz na dzisiaj dosyć - powiedział Cleve, kiedy zostali sami.

- Zgadza się.

- Mój samochód stoi za rogiem. Zabieram cię do domu, zgoda?

- Moje volvo jest w garażu. To dlatego byłam na dole, pamiętasz?

- Do poniedziałku nie będzie ci potrzebne, ja będę cię woził wszędzie, gdzie tylko zechcesz.

- Chwileczkę. Dopiero co ustaliliśmy...

- Nigdzie nie ruszysz się sama. Zajmę się tą sprawą. Nie stój tak i nie gap się na mnie. Idziemy.

Znów nie dał jej wyboru, a ona była zbyt zmęczona, by się z nim sprzeczać. Cleve poprowadził ją energicznie w stronę windy. Był teraz zupełnie innym człowiekiem. Co go tak odmieniło?

W podziemnym garażu zapadła niczym nie zmacona cisza. Ci dwoje, Gillian i jej towarzysz, odeszli. Teraz Victor mógł bezpiecznie wychylić się zza grubego filara, gdzie się ukrywał.

Był tam cały czas. Obserwował paniczną ucieczkę Gillian do auta, potem jej komiczne wysiłki, gdy próbowała schować się za innym wozem. Napawał się jej przerażeniem, wiedząc, że to on jest tego przyczyną, cieszył się jej cierpieniem.

Mógłby ją zabić, mógłby bez trudu ją zniszczyć, ale to



stałoby się za szybko i za łatwo. Miał inne plany związane z tą kobietą.

Okradła go i musi zostać ukarana. Zabrała mu coś, co miał najważniejszego i najcenniejszego w życiu. To z jej powodu Molly uciekła od niego. A kiedy ją odnalazł, odmówiła powrotu i dlatego musiał ją zabić. Temu wszystkiemu była winna Gillian. Ona nastawiła Molly przeciwko niemu i teraz musi za to zapłacić.

Jego ponura postać sunęła niczym widmo w kierunku volvo. Lassiter miał na sobie kombinezon roboczy i niósł skrzynkę z narzędziami. W takim przebraniu tu się dostał, a teraz wyjdzie na zewnątrz.

Ochrona budynku była tutaj mniej rygorystyczna niż w sąsiednim gmachu. Wszedł w godzinie szczytu. W tłumie wylęgającym z biur strażnicy nawet nie zwrócili uwagi na mechanika, który szedł coś naprawić.

Kiedy znalazł się przy aucie Gillian, odstawił skrzynkę z narzędziami na podłogę, założył plastikowe rękawice i dokładnie sprawdził drzwiczki samochodu.

W więzieniu nauczył się kilku praktycznych rzeczy, między innymi tego, jak włamać się do samochodu i pozostawić go w takim stanie, żeby właściciel niczego się nie domyślił.

Użyteczne, pomyślał, śmiejąc się cicho, jeśli chcesz podłożyć bombę. Ale to nie w jego stylu.

Wsiadł do auta i starannie rozejrzał się po wnętrzu. Jeśli nie znajdzie tu niczego godnego uwagi, będzie musiał dostać się do gabinetu Gillian na szóstym piętrze.

Nie było to konieczne. Nie mogło być nic bardziej interesującego od tego, co znalazł w schowku na rękawiczki.

Ostrożnie, by nie zostawić odcisków palców na rękojeści, wyjął rewolwer, owinął go w plastik i wsadził do kieszeni.

- Myślę, że będziemy mieli z tego pociechę, droga Gillian - szepnął w półmroku. - Obiecuję ci, będziesz zachwycona.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Był to sportowy samochód i podobnie jak jego właściciel, świetnie się prezentował. Ze swobodną pewnością prowadzony przez Cleve'a, niecierpliwie rwał do przodu, bezceremonialnie wymuszając pierwszeństwo.

- Nie wolno ci otwierać żadnych paczek, ani w domu, ani w pracy. Nieważne, kto je wysłał i jak bardzo mu ufasz, wszystkie będę rozpakowywał ja, oczywiście po dokładnym sprawdzeniu. Następnym razem może to być bomba.

- A ja właśnie się zgodziłam, żebyś mógł... Uważaj, światło się zmienia!

- Przecież widzę.

Jednak dla niego nie miało to żadnego znaczenia, bo tylko śmignął przez skrzyżowanie, ignorując wściekłe klaksony innych kierowców. Gillian już zapomniała, z jaką brawurą jeździł Cleve. Było to dla niej podniecające przeżycie, gdy miała osiemnaście lat, lecz dzisiaj, gdy przekroczyła trzydziestkę, po prostu modliła się o przeżycie.

- Teraz, kiedy zajmuję się twoją sprawą - ciągnął Cleve, - musimy sobie wyjaśnić parę rzeczy.

- Z przykrością muszę zepsuć twoją pewność siebie, którą odzyskałeś w niecałe dwa tygodnie, ale nie zajmujesz się moją sprawą. Wynajęłam już innego detektywa.

- Kogo?
- Otisa Johnsona.

Cleve skrzywił się z morderczą pogardą.

- Ten facet to pośmiewisko. Wylej go.

Przed nimi znów pojawiły się światła, tym razem czerwone. Samochód stanął jak wryty, a Gillian, gdyby nie pasy, walnęłaby w przednią szybę.

- Jazda w Chicago - mruknął Cleve. - Już zapomniałem, jak to wygląda.

- Dlatego zostawiam swój samochód w podziemiach i korzystam z taksówki, kiedy jadę do śródmieścia. Nie rozumiem, dlaczego mam zwolnić Otisa Johnsona. Tylko dlatego, że...

Nagle poczuła zimny, wilgotny dotyk na karku i zamarała z przerażenia.

- Spokojnie - powiedział Cleve. Zmiana świateł, samochód wyrwał do przodu. - To Mike.

Odwróciła się. W ciemności nie zauważyła labradora śpiącego na tylnym siedzeniu. Teraz obudził się i postanowił włączyć się do rozmowy, trącając nosem Gillian, a gdy próbowała delikatnie go odepchnąć, zaczęła lizać jej rękę.

- Sama nie wiem, który z was jest bardziej uparty, ty czy twój pies?

- Sprawa jest poważna, a z takim próżniakiem, jak Otis Johnson, niczego nie osiągniesz.

- Ma bardzo dobre rekomendacje, no i już dałam mu zaliczkę.

- Więc teraz poprosisz o jej zwrot. - Trzymał kierownicę jedną ręką, a drugą podkręcał klimatyzację. - Upał

w tym mieście jest równie cholerny, jak ruch uliczny. Na północy jest zupełnie inaczej.

- Skoro tak bardzo kochasz to swoje odludzie - zakpiła Gillian - dlaczego je opuściłeś?

- Nie martw się o mnie. Wrócę, jak tylko uwolnię cię od Victora Lassitera. O, teraz nadrobimy czas!

Samochód ze zrywem pomknął Lake Shore Drive i skierował się na północ.

- Wciąż mi nie wyjaśniłeś - powiedziała sucho - dlaczego zmieniłeś zamiar i zdecydowałeś się zająć moją sprawą.

Przez chwilę nie odpowiadał. Był zbyt zajęty śmiganiem z zawrotną szybkością pomiędzy szpalerem aut.

- Musiałem - odpowiedział pogodnie. - Pamiętasz tamtą burzę, kiedy u mnie byłaś? Pewnie zauważyłaś, jak kapało z sufitu. Potrzebuję nowego dachu.

- Aha, więc chodzi o zapłatę za twoje usługi.

- Właśnie, kupisz mi nowy dach.

Nie uwierzyła mu, ale na razie odpuściła Cleve'owi. Brawurowa jazda i wiercący się u jej boku pies wprawiły Gillian w stan takiego napięcia, że nie potrafiła prowadzić normalnej rozmowy.

Nie dziwiła się też, że nie spytał, jak ma dojechać do jej domu, tylko bez wahania mknął właściwą trasą. Cleveland McBride nigdy nie podejmował się prowadzenia sprawy bez sprawdzenia zasadniczych szczegółów.

Jako detektyw znany był nie tylko z inteligencji, ale również z wytrwałości, i odnosił naprawdę duże sukcesy, lecz tylko wówczas, gdy klienci potrafili ścierpieć jego arbitralność i despotyczny charakter. Tak jak teraz Gillian.

Cleve wprawdzie ją przytłaczał, lecz w głębi serca poczuła ogromną ulgę.

Jak przed laty emanował energią i stanowczością. Cały oddawał się pracy... i miłości. Był niezmordowanym, czułym kochankiem, a ona wprost płonęła w jego objęciach. Nigdy tego nie zapomni.

Jednak gdy odwiedziła go w domu nad jeziorem, był zupełnie inny, postarzały i zamknięty w sobie, pozbawiony życiowej energii. Jakby toczył jakąś wyniszczającą walkę z trawiącymi jego duszę demonami. Lecz wystarczyło kilkanaście dni, by wrócił do dawnej formy psychicznej... i fizycznej. Wygląda wprost rewelacyjnie, pomyślała, zerkając na niego, i zaniepokoiła się. Powstał bowiem problem, i to niemały.

Jej apartament znajdował się w północnej części miasta, o kilka bloków od jeziora. Była to jedna z tych wąskich, cichych uliczek, stanowiących prawdziwe oazy w mieście.

Cleve zaparkował na wprost jej domu, potem wysiadł z samochodu i uważnie obejrzał budynek. Był to solidny trzypiętrowy gmach z cegły, z angielską suteroną i kwadratowym wykuszem od ulicy.

- Przyjemny. Czy obowiązują jakieś zakazy dotyczące zwierząt?

- Nic o tym nie słyszałam, ale...

- To dobrze. Nie będę musiał oddawać Mike'a do schroniska.

- Spodziewasz się po mnie, że będę się zajmowała twoim psem?

- Zarówno nim, jak i mną.

- Chyba nie mówisz tego poważnie?
- Przeprowadzając się na północ, zrezygnowałem z mieszkania w Chicago, i teraz nie mam się gdzie podziąć.
- Chyba słyszałeś o hotelach, prawda?
- To nie jest dobry pomysł. Skoro Lassiter jest na wolności i śledzi cię, muszę być pod ręką. Chodźmy, dlaczego jesteś taka przeczulona? Jest chyba u ciebie jakaś wolna sypialnia?

- Mam pokój gościnny - poddała się.
- Nie ma więc żadnego problemu.

Owszem, był, i to bardzo konkretny. Przez całą drogę Gillian zwalczała pokusę, by jak przed laty przytulić się do Cleve'a... co tam przytulić... Boże, jak ten facet na nią działał!

- Cleve, nie uważam tego za dobry pomysł.
- Zrozum, to po prostu praca. Zamieszkamy razem, bo tego wymaga twoje bezpieczeństwo, za które jestem odpowiedzialny. Dobrze pamiętam, co wydarzyło się w moim domu i dlaczego tak się stało, ale teraz zapomnijmy o tym. Mamy bowiem tylko jedno do zrobienia: musimy schwytąć Lassitera.

Gillian wciąż nie mogła się zdecydować, gdyż jeśli nawet była w stanie zaufać Cleve'owi, to niezbyt dowierzała sobie.

- Będziemy tak stać pod tą latarnią, czy zaprosisz mnie na górę? - spytał, i już maszerował na drugie piętro, taszcząc podniszczoną walizkę. Za nim posłusznie podążył Mike, a pochod zamykała Gillian.

Zanim zapaliła światła i włączyła klimatyzację, Cleve zdążył skontrolować wszystkie pomieszczenia.

Pokoje były przestronne, wygodnie umeblowane w tradycyjnym stylu z nowoczesnymi elementami. Na podłogę był parkiet, a ściany wyłożone były boazerią.

- Co to takiego? - Stał przed kolekcją pamiątek baseballowych. - Wciąż jesteś zakochana w drużynie Szczeniaków?

- Ktoś musi być - odparła poważnie.

Wykrzywił się z obrzydzeniem. Pamiętała, że Cleve jako przedstawiciel klasy średniej, był lojalnym fanem Białyh Skarpet.

- Te relikwie po Szczeniakach powinny mi odebrać apetyt, ale jestem głodny. A tyjadłaś coś?

Gillian potrzęsnęła głową.

- Nie zdążyłam niczego przygotować.

- Co ty na to, gdybym zrobił kolację?

Popatrzyła na niego sceptycznie.

- Mam dobrą pamięć. Ostatnim razem, gdy szykowałeś dla mnie romantyczny obiad przy świecach na Halsted, podpaliłeś kuchnię i gospodarz groził, że cię wyeksmituje.

- Od tego czasu zrobiłem postępy, kuchnie oszczędzam i przypalam tylko potrawy. Zaufaj mi. Marzysz przecież, żeby wreszcie zrzucić ten prawniczy uniform.

- Gaśnica jest na ścianie, obok piecyka - poinformowała go i znikła w sypialni.

Kiedy wyszła po dwudziestu minutach, odświeżona prysznicem, ubrana w dżinsy i wygodną bluzkę, Cleve ubijał jajka na omlet.

- Pomóc ci? - zaoferowała się.

- Siadaj i wypoczywaj. - Pociągnął łyk z puszki diety-



tycznej wody sodowej. - Twój zimny napój czeka na ciebie na stole.

Gillian była zbyt zmęczona, by oponować. Usiadła przy kuchennym stole, sięgając po szklankę. Nalał jej mrożonej herbaty ziołowej, którą zawsze miała w lodówce. Po tylu latach pamiętał o jej upodobaniach.

- Jesteś wyczerpana, Gillian. To dlatego wydaje ci się, że nagle coś stanęło ci w gardle.

By uciec od analizowania swoich prawdziwych uczuć, skoncentrowała uwagę na Mike'u. Pies niezmordowanie przechadzał się z pokoju do kuchni i z powrotem.

- Co mu się stało?
- Nic, po prostu oswaja się z nowym miejscem.
- On dyszy. Dałeś mu wody?
- Wcale mu się nie chce pić.
- Jak możesz! Na pewno jest spragniony.
- Rób jak uważasz, ale się mylisz.

Gillian znalazła płytką miseczkę w kredensie, nalała do niej wody z kranu i postawiła na podłodze. Labrador wychęptał ją łapczywie.

- Sam widzisz! - powiedziała karcąco.
- Usiadła znów przy stole, kiedy zadzwonił telefon.
- Siedź - rozkazał Cleve. - Ja odbiorę.

Nim zdążyła zaprotestować, podniósł słuchawkę. Szybko zorientowała się, że rozmawia z policją. Po chwili odwiesił słuchawkę i wrócił do robienia omletu.

- I co? - spytała, zaniepokojona jego milczeniem.
- Gliniarze sprawdzili Lassitera i przesyłkę - odparł z ociąganiem. - No cóż, ten spryciarz zgłosił dziś około południa kradzież marionetki. To jest odnotowane. Był

w szoku, gdy mu powiedzieli, co się stało z jego ulubionym dziełem.

Gillian, doceniając wagę tej wiadomości, popadła w przygnębienie.

- Tak więc nie ma żadnego dowodu, że to on wysłał paczkę. Formalnie rzecz biorąc, mógł to zrobić każdy, czyli nikt...

- Sprawdzają, jak to zostało doręczone.

- Daj spokój, niczego nie ustalą, Victor jest zbyt przebiegły. Obmyślił wszystko ze szczegółami.

- Już ja go dopadnę - mruknął z furią w głosie.

Gillian zaśmiała się z przymusem.

- Obyś zrobił to wcześniej, zanim on dopadnie mnie...

Nie uda mu się, dopóki jestem przy tobie, pomyślał Cleve ponuro. Próbował skoncentrować się na omlecie, skwierczącym na patelni, nie było to jednak łatwe, bowiem jego wzrok wciąż umykał ku Gillian.

Miała bosc stopy, rozpuszczone włosy i była bez maki-  
jażu. Wyglądała dużo młodziej i bardziej bezbrinnie.

Kłopot polegał na tym, że podniecenie górowało w nim nad impulsem, by ją chronić. A ta piekielna bluzka, którą włożyła, odsłaniała cały urok jej bujnych piersi. Dobrze pamiętał, ile słodczy i dzikiej miłości kryło się w tej kobiecie. Gillian doprowadzała go do szaleństwa i jeśli teraz nie weźmie się w garść, znów ogarnie go gorączka.

Skup myśli na gotowaniu, McBride. Trzymaj ręce przy sobie. Coś jej obiecałeś, zanim tu wszedłeś, pamiętasz?

Tak, ale drogo to go będzie kosztowało.

Gillian nie miała apetytu, gdy Cleve wreszcie podał do stołu. Omlet i sałata przyrządzone były całkiem niezłe,

lecz ledwie je spróbowała. Cleve starał się odwracać jej myśli od Lassitera, wypytując o rzeczy, które wcale go nie obchodziły.

- Więc twoja matka wciąż mieszka w Winnetka, w tym starym domu, gdzie dorastałaś?

Potrząsnęła głową.

- Dwa lata po śmierci ojca mama wyszła powtórnie za mąż i przenieśli się na wschód.

- Mhm. A co słyhać u twojego byłego męża? Gdzie poniosły wiatry starego Alana?

- Ma praktykę prawniczą w Indianie. W porządku, Cleve, nie musisz mnie trzymać za rękę. Myślę, że powinniśmy porozmawiać o istotnych sprawach. Co zrobimy w związku z Victorem?

Cleve połknął całą porcję sałaty.

- Musimy czekać na jego ruch. Tymczasem dowiem się o nim wszystkiego, co tylko będę mógł. Gdzie mieszka, pracuje. Zacznę w poniedziałek. Niewiele jest źródeł informacji dostępnych w weekend.

Wolno pokiwała głową. Widać było, że myśli o czymś innym.

- Cleve, to będzie dla nas trudne, tak razem mieszkać i pracować, ale jeśli dodatkowo będziemy wciąż się potykać o przeszłość...

- Aha, rozumiem. Chcesz mi wyjaśnić, dlaczego odeszłaś tamtego lata. Czy nie próbowaliśmy już tej sceny u mnie w domu?

- Cleve, jestem ci to winna.

- Nie. - Pokręcił stanowczo głową. - Zostawmy przeszłość. Bądźmy przyjaciółmi, ale nie przekraczajmy pew-

nych granic. Łączy nas umowa prawna, ja jestem detektywem, a ty moją klientką. I niech tak zostanie. Tak będzie bezpieczniej... i mądrzej.

Oczywiście miał rację... skoro nie był nią już zainteresowany. Nie tyle chciała wyjaśnić mu swoje postępowanie, ile uwolnić się od poczucia winy, lecz w takiej sytuacji był to już tylko jej problem. Najwyraźniej przeszłość nie miała dla niego tak dużego znaczenia, jak to było w jej przypadku. No cóż, musi się z tym pogodzić.

Gdy milczała przez dłuższą chwilę, spojrzął na nią uważnie.

- Jeśli jesteś w nastroju do zwierzeń - powiedział - mogłabyś mi powiedzieć coś, co ma znaczenie dla naszej sprawy.

- Powiedziałam ci wszystko, co chciałeś wiedzieć.

- Nie wydaje mi się. Wyczułem, że coś trzymasz w tajemnicy i nadal tak uważam. Wiem, że nie masz powodu chronić Lassitera, ale tu chodzi o coś innego.

- Mylisz się.

Odwrociła głowę, żeby nie dojrzał paniki w jej oczach. Obawiała się, że mógłby ją pytać natarczywiej. Była wdzięczna psu za to, że rozluźnił atmosferę w kuchni. Mike podszedł do drzwi i zaczął cicho skowyczeć.

- Czego on chce? - spytała.

- Musi wyjść na dwór. Tyle się opił wody, że pewnie będzie wychodził przez całą noc. Dlatego nigdy nie daję mu pić po siódmej wieczorem.

- Mogłeś mi to powiedzieć.

- Próbowałem, ale nie słuchałaś.

Mierząc go wzrokiem, Gillian cisnęła serwetkę na stół i wstała.

- Mike, jak ten facet cię traktuje? Naprawdę wytrzymujesz z tym gburem? Chodź, pokażę ci miłe podwórko.

Gdy tylko otworzyła drzwi na klatkę schodową, labrador pomknął jak strzała. Gillian poszła za nim, wypuściła go na podwórko i wróciła do kuchni, gdzie pomogła Cleve'owi włożyć brudne naczynia do zmywarki.

- Chcesz to włączyć teraz? - zapytał - czy jutro po śniadaniu?

Nie odpowiadała.

- Hej, Gillian, teraz czy rano?

Kiedy cisza przedłużała się, obejrzał się przez ramię. Gillian stała, przywierając plecami do ściany tuż obok drzwi, a na jej twarzy malowały się szok i udręka.

Wpatrywała się w dolną część otwartych drzwi. Na ich zewnętrznej powierzchni znajdował się wypisany krwawoczerwonym sprayem napis: „Jak ci się podobała moja niespodzianka?”.

Cleve przemierzył kuchnię trzema szybkimi krokami i schwycił Gillian w ramiona.

Zmuszał się, by pamiętać, że ta kobieta szuka w jego objęciach wyłącznie bezpieczeństwa, lecz pamięć robiła swoje. Wróciły wspomnienia sprzed lat, owe długie cudowne noce, spędzone w jego mieszkaniu. Kochał ją do szaleństwa, a ona była taka namiętna...

Spokojnie, McBride, panuj nad sobą, do cholery!

- Już dobrze - uspokajał Gillian.

Odsunęła się i popatrzyła na niego. Na jej twarzy malował się gniew.

- Nie, wcale nie jest dobrze. Victor dostał się do biura, a teraz udało mu się wtargnąć do domu. Naigrawa się ze mnie, bawi się moim strachem. Wiadomo, o czym jest ten napis. O zamordowanej marionetce. A jest to tylko uwertura przed...

Cleve zdjął rękę z ramienia Gillian i zamknął drzwi, by ukryć upiorne graffiti. Próbowwała oponować.

- Mike jest na zewnątrz. On...

- Nie martw się o psa. Da nam znać, kiedy będzie chciał wracać. - Znów ją objął. - Zmyję ten napis albo zamaluję. Zaraz z samego rana, jak tylko gliniarze go obejrzą.

- A co oni mogą pomóc? Nie ma dowodu, że Victor tu był i to zrobił, tak jak nie ma dowodu, że to on przysłał mi marionetkę.

Uwolniła się z jego objęć. Puścił ją niechętnie. Rozprostowała ramiona, starając się dodać sobie odwagi, ale głos miała drżący:

- Co robi następnym razem?

- Cokolwiek wymyśli - obiecał Cleve z zapałem - nie będziesz sama. Gdziekolwiek pójdziesz, ja pójdę z tobą. Bez żadnych wyjątków. Jeśli ten drań chce dostać ciebie, najpierw będzie musiał zmierzyć się ze mną.

- Jesteś tego pewien?

Wjej fiołkowych oczach coś mu się nie podobało.

- O co chodzi? - spytał niepewnie.

- W hotelu „Hutton” jutro wieczorem odbędzie się wielka gala na cele dobroczynne. Cleve, nie patrz tak na mnie. Nie mogę z tego zrezygnować, bo mam wygłosić przemówienie. Nie pozwolę, by Lassiter zamienił mnie w pustelnicę.

- Gillian... - powiedział błagalnie.
- Wiem, nie zapomniałam. Wolałbyś oczyścić największy kanał ściekowy w Chicago, niż uczestniczyć w uroczystości bardziej oficjalnej niż pogrzeb. Niestety, z uwagi na twoje obowiązki, które z własnej woli wzięłeś na swoje barki, a także mając na względzie uroczystą deklarację, jaką przed chwilą wygłosiłeś... No cóż, wypożyczymy dla ciebie smoking. I bardzo cię proszę, Cleve, natychmiast przestań jęczeć. Naprawdę mogło być gorzej. Zdarza się, że centralnym punktem takich uroczystości jest dwugodzinny występ baletu klasycznego...

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Bal na cele dobroczynne w hotelu „Hutton” na Michigan Avenue już się rozpoczął. Gillian stała przed mikrofonem na oświetlonym podium w ogromnej sali balowej, skupiając na sobie całą uwagę obecnych.

- Panie i panowie, pozwólcie, że powiem kilka słów o Chicago - zaczęła mocnym, pełnym zapału głosem, podczas gdy na wielkim ekranie nad nią pojawił się obraz Instytutu Sztuki. - To nie tylko miasto najpiękniejszej w świecie kolekcji sztuki impresjonistów.

Cleve podziwiał Gillian, potrafiła zainteresować znużony tłum, natomiast bardzo mu się nie podobały pożądliwe spojrzenia mężczyzn.

- Chicago to nie tylko skupisko domów, które biją rekordy swą wysokością - ciągnęła Gillian.

Wszyscy faceci, łącznie z Cleve'em, zignorowali pokazywany na monitorze fotogram Sears Tower, całą swą uwagę skupiając na Gillian, która w obcistej, zielonej w morskim odcieniu sukni, wyglądała nieprawdopodobnie wprost pięknie i szalenie seksownie, mimo że zapięta

**Sears Tower - jeden z najwyższych budynków świata, liczący 110 pięter i 443 m wysokości. Zbudowany w Chicago w 1974 r. (przyp. red.).**



była pod samą szyją, rękawy miała długie, a kreacja sięgała aż do kostek.

Takie stroje powinny być prawnie zabronione, pomyślał Cleve, żałując, że nie może szybkimi ciosami zgasić uśmieszków, jakie pojawiły się na gębach otaczających go facetów.

- Oto co stanowi największy majątek Chicago, panie i panowie. - Na ekranie pojawiły się twarze reprezentujące rozmaite typy etniczne. - To my, jego mieszkańcy, a przyszłością naszego miasta są nasze dzieci. Jestem przekonana, że osiedlowe kluby młodzieżowe odegrają żywotną rolę w kształtowaniu tej przyszłości, by jednak tak się stało, powinniśmy je wesprzeć!

Gdy Gillian zakończyła swe wystąpienie, rozległ się entuzjastyczny aplauz. Widać było, że zdobyła wielu zwolenników dla idei, o którą walczyła. Gdy zeszła z podium, otoczył ją tłum. Gratulowano jej wystąpienia i deklarowano kwoty, mające służyć osiedlowej działalności edukacyjno - wychowawczej.

Wreszcie udało jej się docisnąć do Cleve'a. Wyglądała na zmęczoną.

- Dobrze się czujesz? - mruknął.  
- Przydałoby się coś zimnego i mokrego.  
- Chcesz, żebym gwizdnął jakąś szklanekę? - Po sali krążyli kelnerzy z tacami pełnymi przekąsek i szampana.

Spojrzała na niego tęsknie. Zrozumiawszy milczącą wymówkę, przewrócił oczami.

- Gillian, tutaj nie dostaniesz swojego eliksiru.  
- Boże, toż to tylko zwyczajna mrożona herbata w najzwyczajszej szklance. Poszłabym sama, ale...

- Rozumiem, nie możesz się stąd ruszyć. Okay, zostań tutaj i zbieraj pieniądze na te kluby młodzieżowe, a ja zobaczę na zapleczu baru, co się da zrobić. A przy okazji, dobrze się spisałaś.

Zadowolona z jego niedbałego komplementu, obserwowała go, jak przeciska się przez tłum. Cleve wprawdzie gardził smokiem, ale wyglądał w nim wspaniale, o czym świadczyły spojrzenia licznych kobiet.

Odwróciła się do gości, którzy gratulowali jej wystąpienia. W chwilę później, gdy z emfazą mówiła o potrzebie zakładania młodzieżowych klubów, ktoś warknął za jej plecami:

- Może i dalibyśmy coś na cele charytatywne, gdyby chciwi prawnicy nie ograbiali nas na procesach.

Powstała konsternacja. Zmuszając się do miłego uśmiechu, Gillian powoli obejrzała się za siebie. Mężczyzna, który stał za nią, był chudy, miał rzadkie, źle ufarbowane włosy i nadętą twarz o ostrych rysach. Znała Charlesa Reardona, starli się już nieraz, choć nigdy dotąd poza salą sądową.

- Miło mi pana widzieć, panie Reardon.

- Czyżby? Wynika z tego, że to z sympatii wszelkimi sposobami próbuje mnie pani zniszczyć.

Reardon miał reputację aroganta i prostaka, lecz jako szef wielkiego przedsiębiorstwa zobligowany był do przestrzegania odpowiednich manier, a publiczny atak na Gillian był po prostu skandaliczny. Zresztą, ponieważ reprezentowała osobę, która wytoczyła sprawę jego firmie, w ogóle nie powinien się do niej zbliżać.

Gillian w pierwszej chwili chciała ostro zareagować,

ale ponieważ nie było wątpliwości, że Reardon jest pijany, pozostawało jej tylko jedno wyjście.

- Proszę mi wybaczyć - mruknęła ze wzgardliwą uprzejmością.

Gdy odwróciła się od niego i zaczęła się oddalać, Reardon ją zatrzymał.

- Hej, nie udawaj takiej chłodnej i obojętnej. Wiem, że gotujesz się w środku, bo nie wydobędziesz ode mnie ani grosza dla tej dziwki. Wszyscy wiedzą, że Maureen Novak nie ma racji, a ty wzięłaś tę sprawę tylko dlatego, że mnie nienawidzisz. Nie, tym razem nie uda ci się wygrać, ale naraziłaś mnie na koszty.

- Proszę się z tym zwrócić do swojego adwokata, panie Reardon - ostrzegła go spokojnie. - A ponieważ pańska sprawa toczy się aktualnie w sądzie, uważam tę rozmowę za wysoce niewłaściwą.

Zaśmiał się.

- Co? Nie mogę porozmawiać z kimś, kto chce mi zaszkodzić?

Ponieważ ta żenująca scena rozgrywała się na oczach licznych gapiów, Gillian chciała jak najprędzej ją zakończyć. Próbowała znowu się wycofać, ale Reardon stanął jej na drodze.

- Powiedz mi tylko - nalegał - co ci takiego zrobiłem, że mnie tak nienawidzisz?

Gdyby Charles Reardon był trzeźwy albo znał ją lepiej, rozpoznałby oznaki gniewu. Kiedy przechyliła głowę na bok i patrzyła nań z leciutkim uśmiechem, jej sądowi adwersarze powiedzieliby mu, że szykuje się do ciosu, niczym cofający się szermierz.

- Dobrze, a więc coś ci powiem - rzuciła z groźną zjadliwością w głosie. - I usłyszysz to ode mnie tylko jeden raz. Jeśli nie będziesz się trzymał z daleka ode mnie i od mojej klientki, podejmę działania, by mieć pewność, że już nigdy więcej nie będziesz nam się naprzykrzał.

- Co to ma znaczyć?!

- To znaczy...

Nie dał jej skończyć.

- Grozisz mi! - wykrzyknął. - Słuchajcie wszyscy! Ona mi grozi!

Wokół dał się słyszeć pomruk zakłopotania, lecz Gillian tego nie słyszała. W jednej sekundzie zapomniała o Reardonie, bowiem doznała prawdziwego szoku na widok twarzy, która nagle pojawiła się tuż nad ramieniem jej adwersarza. Płonące oczy ogarnęły jej sylwetkę i na moment wpiły się w jej twarz, a potem mężczyzna wmieszał się w tłum.

W chwilę później dotarło do niej, że Cleve już powrócił ze szklanką mrożonej herbaty. Po jego minie było widać, że słyszał przynajmniej końcową część jej rozmowy z Reardonem i jest gotów zmierzyć się z nim. Gillian była zbyt wstrząśnięta, by czuć cokolwiek innego prócz wdzięczności.

- Jesteś pospolitą szują - rzucił Cleve morderczym tonem. - Proponuję ci małą przechadzkę.

- A kim ty, u diabła, jesteś? - postawił się Reardon.

- Kimś, kto może cię wpędzić w kłopoty. Wyjdiesz z własnej woli, czy mam ci pomóc?

- Pożałujesz tego. - Reardon skierował swą złość na Gillian, zanim odwrócił się i nadęty udał się w stronę baru.

Po jego odejściu gapie rozplłynęli się we wszystkich kierunkach, pozostawiając Gillian i Cleve'a samych.

- O co poszło? - zapytał.

Nie odpowiedziała. Na jej twarzy malował się smutek. Wyglądała tak, jak po odkryciu napisu na drzwiach.

- Gillian, wszystko w porządku, ten pijaczyna już sobie poszedł.

Potrząsnęła głową.

- Ten pijaczyna to Charles Reardon i nie pierwszy raz miałam z nim do czynienia. To nie z jego powodu...

- O co więc chodzi?

- Victor Lassiter - odparła, chwytając go za rękaw.

- Jest w tej sali. Przed chwilą stał zaledwie kilka kroków ode mnie.

- Gdzie jest teraz? - Odwrócił się, badając wzrokiem tłum.

- Tam, po drugiej stronie - odparła. - Ten wysoki i chudy, trzyma tacę.

- Kelner?

- Tak. Nie wiem, jak udało mu się tu zatrudnić.

W brązowych, zwężonych oczach Cleve'a pojawił się zimny błysk.

- Zostań tutaj - rozkazał, podając jej szklanekę z mrożoną herbatą.

- Cleve, co chcesz zrobić?

- Uciąć sobie pogawędkę z tym draniem.

- Nie! On mógłby...

Lecz Cleve już przemierzał wielkimi krokami salę, kierując się wprost na Victora, który ruszył w kierunku drzwi wahadłowych, wiodących do pomieszczeń dla personelu.

Victor zniknął w pomieszczeniach dla służby hotelowej, zanim zdążył go dopaść, ale to nie powstrzymało Cleve'a. Wpadł przez wahadłowe drzwi, niemal zderzając się z jakąś kelnerką.

Zanim ta zdołała coś powiedzieć, szybko zapytał:

- Przepraszam, szukam kelnera, który przed chwilą tędy przechodził.

- Poszedł tam, ale...

Cleve nie czekał na jej sprzeciw, tylko ruszył we wskazanym kierunku i wszedł do pomieszczenia, które wyglądało na świetlicę dla personelu.

Lassiter, który stał obok rzędu metalowych szafek, odwrócił się, gdy usłyszał kroki Cleve'a. Głos miał słodki jak miód:

- Tutaj nie wolno wchodzić gościom, proszę pana.

- Ale nie wtedy, gdy mają interes do kogoś z personelu. - Przeszedł przez pokój, stając na wprost ponurej postaci w białym kitlu. - O ile jest tu legalnie zatrudniony. Czy pan Lassiter?

Beznamiętny wyraz chudej, bladej twarzy nie zmienił się. Oznaka zdziwienia pojawiła się tylko w jego oczach, które bacznie przyglądały się Cleve'owi. To były najczarniejsze oczy, jakie widział w życiu.

- Kim pan jest? - zapytał rozwlekłym, monotonnym głosem.

- Nazywam się McBride. Cleveland McBride.

- Nie znam pana.

- Ale mnie poznasz. - Spojrzał zimno na Victora. - I nie sądzę, by ci się to spodobało, chyba że będziesz się trzymał z daleka od mojej klientki. Gwarantuję ci to.

Lassiter wzruszył ramionami.

- A niby o co chodzi?

- Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem, a Gillian Randolph wynajęła mnie ze względu na swoje bezpieczeństwo. Rozumiemy się?

W czarnych oczach nie było żadnego zainteresowania.

- Nie kręcę się w pobliżu pańskiej klientki.

- A jak byś nazwał fakt, że jesteś tu dzisiaj? Zwyczajny zbieg okoliczności?

- Jestem kelnerem w służbie hotelowej. Czy tak trudno w to uwierzyć? - Po raz pierwszy jego głos stracił swą bezbarwność, zakradła się bowiem do niego lekka nuta goryczy. - Jaką inną pracę mógłby dostać były więzień?

- Sprawdź to, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Może i mam. Może uważam, że to nie pański interes, żeby tu przychodzić i grozić mi tylko dlatego, że próbuję zarobić na życie. Byli więźniowie też mają swoje prawa.

- Ale nie wówczas, gdy wysyłają paskudne przesyłki i wypisują sprayem złośliwe napisy.

Czarne oczy w bladej twarzy znów się ożywiły.

- Niech pan lepiej wraca do swojej pani mecenas i zapyta ją, jak w świetle prawa wyglądają pańskie fałszywe oskarżenia.

Cleve spojrział na niego złym okiem.

- Jasne, Lassiter, jesteś niewinny jak aniołek. Ale dziękuję za radę i odwdzięczę ci się tym samym. Otóż radzę ci, nigdy nie zapominaj o naszej milej pogawędce. Trzymaj się z daleka od Gillian.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Victor zamyślił się. Ten prywatny detektyw stanowił

przeszkodę, której nie przewidział, chociaż powinien był się domyślić, że Gillian wynajmie sobie ochronę. Ale to nie ma znaczenia. Nic go nie powstrzyma przed wymierzeniem kary.

Musi teraz strzec się McBride'a. Może uda mu się odkryć jakieś jego słabe strony? Nikt nie jest od nich wolny, a mogą okazać się przydatne, gdyby detektyw stał się zbyt kłopotliwy. A tymczasem...

Victor otworzył szafkę i wyjął z niej tekturową teczkę-aktówkę, z którą nigdy się nie rozstawał. Były w niej prasowe wycinki, które kolekcjonował od pierwszych dni pobytu w więzieniu.

Bez ładu i składu gromadził w niej materiały dotyczące różnych wydarzeń w życiu publicznym, lecz była to tylko zasłona dymna, mająca przekonać służby więzienne, że Lassiter zabija czas nieszkodliwym hobby. Po wyjściu na wolność Victor wyrzucił prawie wszystkie wycinki, lecz to, co pozostało, było naprawdę interesujące, zawierało bowiem informacje dotyczące różnych, choćby najbliższych, wydarzeń z życia Gillian.

Te wycinki były jego zbawieniem. Pomogły mu przetrwać długie lata uwięzienia, podsycając nienawiść do Gillian, ale przede wszystkim miały posłużyć do jej ukarania.

To właśnie dzięki notatce z „Tribune” dowiedział się, że na dzisiejszym balu dobroczynnym przemawiać będzie Gillian. Victor wykorzystał swoje stare znajomości i został zatrudniony jako kelner w tutejszym hotelu. Nie było to łatwe, musiał przyrzec, że nie piśnie słowem o swej przeszłości, ale się udało. Spełnił w ten sposób podstawowy



obowiązek więźnia zwolnionego warunkowo, to znaczy podjął pracę zarobkową, ale przede wszystkim wziął udział w tej imprezie.

Spojrzał na najnowszy wycinek, dotyczący sprawy Novak kontra Reardon. To, co usłyszał podczas kłótni Gillian z pozwanym przedsiębiorcą, dało mu wiele do myślenia. Był przekonany, że złapał właściwy trop, musi tylko dokładnie poznać wszystkie szczegóły. No cóż, naprawdę wspaniale się składa, że właśnie Gillian reprezentuje Maureen Novak.

Gillian odczuła ogromną ulgę, gdy Cleve powrócił na salę balową.

- Martwiłam się o ciebie. Victor jest niebezpieczny. To człowiek niepoczytalny.

- Świetnie się maskuje, żadnej emocji na twarzy ani w głosie.

Cleve zwięźle wyjaśnił, co zaszło między nimi.

- Czy sądzisz, że jego zatrudnienie w tym hotelu jest zwyczajnym zbiegiem okoliczności?

- Kto wie. W każdym razie został ostrzeżony. Jak na razie to wszystko, co możemy zrobić.

Cleve przeczesał palcami włosy. W jego ruchach i spojrzeniu, jakim obrzucił salę balową, czaił się niepokój.

- Długo tu jeszcze musisz być? - zapytał.

- Możemy wyjść w każdej chwili. - Wokół wciąż komentowano jej starcie z Reardonem, ojedzie więc stąd bez żalu.

- To dobrze. Muszę naładować baterie. - Schwycił Gillian za rękę i pociągnął w stronę wyjścia.

- Dokąd idziemy?

- Trochę odetchnąć świeżym powietrzem. Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy rozprostowali nogi, zanim pojedziemy do domu?

- Nie.

Przemilczała, że jej pantofle nie nadają się do pieszych wędrówek. Cleve w miarę oddalania się od marmurowej kolumnady wyraźnie się uspokajał. O wiele lepiej czułby się na świeżym powietrzu przy zimnym piwie i hot dogach. Prawdę mówiąc, Gillian też, chociaż wątpiła, żeby w to uwierzył.

Minęli Michigan Avenue i przechadzali się przez Grant Park, idąc w stronę jeziora. Od wody wiał cudownie chłodny nocny wietrzyk. Nawet odgłosy ulicy wydawały się mniej przykre dla ucha.

Gillian świetnie się czuła w towarzystwie Cleve'a. Przed laty spędzili tyle miłych i pięknych chwil, cieszyły ich najzwyklejsze czynności, jak kupowanie pizzy u ulicznego sprzedawcy, oglądanie wystaw czy po prostu włączenie się bez celu. To pragnęła zachować w pamięci, a nie gwałtowne i okrutne zakończenie ich romansu.

Musisz przestać się karać, minęło już tyle czasu, powtarzała sobie w kółko...

- Ten facet, z którym się ścięłaś, zanim spostrzegłaś Lassitera...

- To Charles Reardon.

- Reardon... - powtórzył. - Czy ma coś wspólnego z naszą sprawą?

- Nie. - Gillian była rozbawiona. Wiedziała, że Cleve niecierpliwie czeka na szczegóły.

- A zatem nic mi nie musisz wyjaśniać.
- Naprawdę nie.
- Mhm - mruknał, a po chwili spytał niecierpliwie:
- Czy mam cię błagać?
  - No już dobrze! - zaśmiała się. - Skoro Reardon publicznie ujawnił tę sprawę, nie złamię tajemnicy zawodowej, jeśli opowiem ci resztę.

W parku panowała cudowna nocna cisza, a w oddali rysowała się sylwetka miasta, które oboje znali i kochali od urodzenia. Gillian spojrzała na gwiazdzone niebo, a potem zaczęła opowiadać:

- Reardon i ja od dawna jesteśmy wrogami. Spotykaliśmy się już wcześniej w sądzie. Uważam, że to dość nieciekawy typek.

- Ja też. Co to za sprawa tym razem?
- Chodzi o pozew sądowy w sprawie odprawy pośmiertnej dla mojej klientki, Maureen Novak. Reardon jest właścicielem spółki specjalizującej się w dużych robotach ziemnych. Używa do tego celu ciężkiego sprzętu.

- Ktoś zginął w wypadku podczas pracy?

Gillian kiwnęła głową. Szli w kierunku fontanny Buckingham.

- Wypadek wydarzył się przy dźwigu. Harry Novak został zmiążdżony. Reardon i jego spółka ubezpieczeniowa utrzymują, że Harry był pijany i zginął z własnej winy.

- Założę się, że jest inna wersja.
- Tak, prawdziwa. Chodzi o to, że sprzęt nie był właściwie konserwowany, bo liczył się tylko zysk, a nie ludzkie życie. Udowodniłam to w końcu, ale wdowie po Harrym wciąż nie przyznano odszkodowania, które jej się

należy. - W głosie Gillian brzmiał gniew. - Maureen ma trójkę małych dzieci na utrzymaniu i bardzo skromne środki. To doprowadza mnie do furii!

- Uspokój się, jestem po twojej stronie.

- Przepraszam - mruknęła. - Przez chwilę czułam się, jakbym stała przed ławą przysięgłych. Spójrz, czy nie piękna?

Dotarli do stylowej, ogromnej fontanny, z której wysoko w górę tryskały niezliczone strumienie wody, podświetlane różnokolorowymi reflektorami. Widok był naprawdę cudowny. Cleve odwrócił się do Gillian.

- Powiedziałaś mi, gdy byłaś u mnie, że masz klientkę, która na ciebie Uczy. To Maureen Novak?

- Tak.

- I to jest ta twoja tajemnica?

- Tak.

Wiedziała, że drugie „tak” powiedziała zbyt szybko. Czy to zauważył? - zastanawiała się.

Stali teraz naprzeciw siebie, twarzą w twarz. Gillian wstrzymała oddech.

- Jesteś niezwykłą kobietą - powiedział przeciągłym szeptem.

Złączyli się w gorącym, namiętym pocałunku. I nagle zrobiło się tak cudownie, a wszystkie kłopoty odleciały gdzieś w dal.

Gillian zapragnęła, by tak było już na zawsze... lecz wiedziała, że to niemożliwe. Niestety, nie byli sobie przeznaczeni. Ogarnęło ją bolesne uczucie rozdarcia.

Nagle Cleve uwolnił ją z objęć.

Oszołomiona, spojrzała na jego twarz, szukając wyjaś-

nienia, lecz jego czujny wzrok zwrócony był w inną stronę.

Odwróciła głowę i spostrzegła to, co Cleve wcześniej wyczuł dzięki swemu doświadczeniu. Nie byli sami. Na lewo od nich coś się poruszyło. Nim zdołała oprzytomnieć, jakaś wysoka, chuda postać rzuciła się na nich z ciemności.

Cleve schwycił Gillian i pchnął ją za siebie, osłaniając swym ciałem, a drugą ręką błyskawicznie sięgnął za pazuchę swego płaszcza. Nim jednak wyjął broń, rozległ się kobiecy głos:

- Chodź, Quint. Dokąd biegniesz? Przecież cię prosiłam.

Chudy mężczyzna zatrzymał się, i po sekundzie dołączyła do niego jego towarzyszka.

- Dlaczego jesteś taki przewrażliwiony? - uzalała się.

Kochankowie przez chwilę poszeptali ze sobą, potem wybuchli zgodnym śmiechem i odeszli.

Gillian odprężyła się. Niepotrzebnie wpadli w panikę. Victor Lassiter nie skradał się za nimi. Przynajmniej nie tym razem.

Cleve zaklął ze złością, a Gillian powiedziała uspokajająco:

- Wszystko w porządku, przecież nic się nie stało.

- Nie, nie jest w porządku! Po jakiego diabła przyprowadziłem cię tutaj i całowałem jak głupi? Jakbym szukał guza. Wracamy.

Chwycił Gillian za rękę i pociągnął w kierunku Michigan Avenue. Starając się za nim nadążyć, wyczuwała jego niepoohamowany gniew.

- To się już więcej nie powtórzy - mruknął do siebie.

Ten wybuch wstrząsnął Gillian. Cleve żałuje tych pocałunków, uważa je za oznakę słabości i błąd w sztuce. Odżegnuje się od wszelkich czułości, chce być tylko jej ochroniarzem. Bo tak jest bezpieczniej. Oczywiście miał rację, ale sprawiało jej to ból.

Tracisz głowę, chłopie, złościł się na siebie. Najpierw ta durna zazdrość na sali balowej, kiedy faceci gapili się na Gillian, a teraz to. Co się z tobą dzieje? To niewybaczalny błąd związać się z klientką, to ryzykowanie jej i swoim życiem. Czy chcesz jej śmierci, durna pało?! - samobiczował się.

Więcej jej nie dotkniesz, choćby doprowadzała cię do szaleństwa, zapamiętaj to sobie raz na zawsze! Ani teraz, ani gdy będzie już po wszystkim. Bo to nie jest kobieta dla ciebie...

Za długo to wszystko trwa, napięcie rośnie, a nic się nie dzieje, i przez to głupieję, tłumaczył sobie. Gdyby Victor zaatakował, błyskawicznie by się z nim rozprawił, a potem wrócił do leśnego domu nad jeziorem. Chciał się wydostać z tego miasta, póki jeszcze potrafił.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W poniedziałek rano Gail Sanchez z wyrazem powagi na twarzy weszła do gabinetu szefowej.

- Jakiś problem? - spytała Gillian, podnosząc wzrok znad zestawienia, nad którym właśnie pracowała.

- John znalazła to w gazecie. - Gail miała na myśli jedną z sekretarek. - Pomyślałam, że powinna się pani z tym zapoznać, zanim któryś ze współników zacznie zadawać pytania.

Drobna asystentka niechętnie położyła egzemplarz „Detektywa”, wskazując zakreślony fragment na stronie, gdzie zamieszczano plotki. Gillian zaczęła czytać:

*Chicagowscy organizatorzy i uczestnicy balu dobroczynnego zebrali się w sobotę wieczorem w hotelu „Hutton”. Impreza ta miała charakter bardziej rozrywkowy niż dobroczynny. Gillian Randolph, nasza kandydatka na najseksowniejszego adwokata roku, w porywczej kłótni ze swym oponentem, Charlesem Reardonem, wyraziła o nim bardzo niepocholebną opinią. Nie może już być zatem cienia wątpliwości, jakimi naprawdę uczuciami go obdarza. Kto by przypuszczał, że takie fajerwerki słowne mogą mieć miejsce nie tylko na sali sądowej.*

Gillian odsunęła gazetę.

- To gruba przesada - rzuciła gniewnie. - Fatalnie, że akurat teraz to się ukazało.

Ostatnio sytuacja w firmie była napięta, ponieważ znani z konserwatyzmu główni wspólnicy firmy mieli do Gillian pretensje z powodu jej procesu z Reardonem i jego spółką.

- Co jest? - zażądał wyjaśnień Cleve, który właśnie pojawił się w drzwiach i od razu wyczuł napięcie.

Gail wręczyła mu gazetę i odwróciła się do Gillian. Jako lojalna asystentka chciała ją pocieszyć, ale Cleve, rzuciwszy okiem na artykuł, powiedział do niej:

- Możesz przedstawić mnie portierom? Nie zapoznałem się jeszcze z zabezpieczeniem budynku.

Gillian była mu wdzięczna za tę propozycję. Od razu zrozumiał, że nie ma ochoty drażnić problemu.

Gdy Cleve i Gail poszli do windy, została sama. Ignorując odgłosy młotów pneumatycznych pod oknem, gdzie remontowano ulicę, zmusiła się do pracy. Lepiej zapamiętać o głupiej kłótni z Reardonem.

Niestety, nie było to możliwe, bowiem w chwilę później zadzwonił telefon.

- Gillian Randolph, słucham.

- To ja. - W zachrypniętym głosie Maureen Novak brzmiał dziwny niepokój.

- Co się stało, Maureen? Jesteś zmartwiona?

- Tak, jestem... - Zawahała się, po czym z pewnym ociąganiem, jakby była zażenowana, mówiła dalej: - Ja... hm... przeczytałam tę historię w „Detektywie” i...

- Zdenerwowałaś się? Maureen, to nie ma żadnego znaczenia.



- Wiem... - Znowu urwała. - Posłuchaj, myślę, że powinnam zrezygnować z procesu i zgodzić się na to, co mi oferują. To wszystko zaczyna się komplikować.

- Maureen, decyzja należy do ciebie, ale myślę, że zanim coś postanowisz, powinniśmy natychmiast się spotkać i przedyskutować wszystkie aspekty sprawy.

- Masz rację, tylko że ja nie mogę opuścić pracy. - Maureen była zatrudniona w parku.

- W takim razie przyjdź później. Będę czekała na ciebie w kancelarii.

- To byłoby możliwe, bo kończę pracę w południe, ale jestem przeziębiona i chciałabym położyć się na kilka godzin, zanim dzieci wrócą z opiekunką.

- Nic dziwnego, że masz chrypę.

- Źle się czuję i najchętniej zostałabym dziś w domu, ale w czasie wakacji jest nas mało, a szefowi zależy, żeby skończyć robotę.

- To może ja wpadnę do ciebie? Czy będziesz mogła porozmawiać ze mną w pracy?

- Jasne, ale nie chciałabym cię fatygować...

- Tej sprawy nie można odwlekać, jest zbyt dla ciebie ważna. Gdzie pracujesz dziś rano?

- W parku Lincolna, przygotowujemy sadzonki.

- Znajdę cię. Będę za jakieś pół godziny.

Gillian opróżniła biurko, kiedy wróciła jej asystentka.

- Gail, muszę jechać do parku Lincolna zobaczyć się z Maureen Novak. Nie mam żadnych spotkań do godziny jedenastej. Wrócę do tej pory, ale gdybym się spóźniła...

- Aha - przerwał jej burkliwy głos dobiegający zza pleców Gail. - Nigdzie nie pojedziesz. Zapomniałaś już

o tym psychopacie, który tylko czeka na okazję, by wziąć cię na muszkę?

Gillian powściągnęła irytację, gdy Cleve wtargnął do gabinetu i usadowił się na blacie biurka.

- Cleve, to jest mój zawód, nie mogę ukrywać się przed ludźmi, a szczególnie przed klientami. - Szybko wyjaśniła mu powody spotkania z Maureen.

- Pojedziemy więc razem, ale najpierw sprawdzę, czy Lassiter jest zajęty. Gail, zostawiłem swój telefon komórkowy w samochodzie. Czy mogę zadzwonić od ciebie?

Znów decydował za Gillian, podobnie jak poprzedniego dnia. Całą niedzielę przesiedziała z psem w swoim mieszkaniu, podczas gdy Cleve ganiał po mieście i odnawiał cenne kontakty, a jednym z nich był Sammy, pracujący jako goniec w hotelu „Hutton”. Od niego Cleve dowiedział się, że Victor Lassiter, mimo że niedawno wyszedł z więzienia, został warunkowo zatrudniony jako kelner, bo znał się na tej robocie, a w hotelu brakowało personelu.

Gillian podejrzewała, że Cleve po prostu jej unikał. Oczywiście kiedy uznawał to za niezbędne, był przy niej, ale od sobotniego wieczoru i epizodu przy Fontannie Buckinghamu zachowywał wyraźny dystans.

Oczywiście wiedziała, że postępował tak dla jej dobra, lecz bolało ją to. Nie pierwszy raz, jeśli chodziło o Clevelanda McBride'a...

Cleve wrócił do gabinetu.

- Dowiedziałem się, że Lassiter ma dyżur przez całe popołudnie, więc nie powinniśmy mieć żadnego problemu.

Czyżby się myliła, słysząc w jego głosie nutkę rozczar-

rowania? Czyżby Cleve wolał, by Victor czyhał na nią w parku Lincolna, dysząc żądzą mordy?

- Pojadę z tobą - obstawał przy swoim.

A więc znów czekała ją szaleńcza jazda przez zatłoczone ulice Chicago. No cóż, nie powinna się skarżyć, przecież Cleve wykonywał tylko zadanie, do którego został wynajęty. Żałowała jedynie, że nie jest odrobinę mniej apodyktyczny. I o wiele mniej atrakcyjny.

Jazda do parku Lincolna, który leżał nad jeziorem, była wyjątkowo spokojna, bo tylko raz groziło im zmiążdżenie przez autobus. Mimo to Gillian, gdy już przybyli na miejsce, z trudem opanowała odruch, by uklęknąć i ucałować ziemię. Zamiast tego lekko drżącym głosem wyjaśniła:

- Maureen pracuje w parku jako ogrodniczka.
- A gdzie jest dzisiaj?
- Gdzieś tutaj - powiedziała.

Cleve przystanął i spojrzął na strzelistą szklaną konstrukcję, opartą na stalowym szkielecie.

- Kiedy to zbudowano?
- Otwarcie było wiosną.
- Wystarczy opuścić miasto na kilka miesięcy - gderał
- a już wszystko się zmienia. A ty się dziwisz, że lubię moją leśną guszę.

Może i tak, pomyślała Gillian, ale Cleve, choć zawsze narzekał na Chicago, tak naprawdę kochał to miasto. W duchu żywiła nadzieję, że to się nie zmieniło, a jednocześnie bała się przyznać, dlaczego jej tak na tym zależy.

- Wygląda jak jakaś koszmarna góra - stwierdził, gdy znaleźli się w olbrzymiej cieplarni.

- To imitacja podzwrotnikowej dżungli, od doliny aż po wierzchołek, wszystkie poziomy wegetacji roślin. Choć w Chicago są inne cieplarnie, to miejsce cieszy się dużą popularnością.

- Może w styczniu.

Miał rację, bo w środku nie było żywego ducha. Nic dziwnego, wszak w mieście panował przeraźliwy upał i ludzie szukali ochłody, a nie tropików.

Bujna roślinność, jaka ich otaczała, rzędy palm, grube krotony i pnące się liany przy i aż dziw brał, że zza paproci nie wyglądały dinozaury.

Wokół panował wręcz nienaturalny spokój.

- Nikogo tu nie ma. Gdzie twoja klientka? - zapytał.

- Na samej górze.

Jęknął w duchu, gdy Gillian wskazała mu szerokie schody, które prowadziły przez poszczególne stadia bujnej roślinności, aż do samego szczytu budowli.

- Nie ma windy, jak sądzę.

- Jak zwykle masz rację. - Gillian słodko się uśmiechnęła. - Potraktuj to jako przygodę.

To, co myślał, idąc po szerokich schodach, nie nadawało się do powtórzenia.

Palmy i winorośle ustępowały miejsca fikusom, bambusom i krzewom orchidei. Powietrze było ciężkie od zapachu mchu i wilgotnej ziemi. Trudno było oddychać.

Mniej więcej w jednej trzeciej drogi, bez żadnego ostrzeżenia, ból eksplodował w czaszce Cleve'a. Oszołomiony, nie mógł uwierzyć, że to prawda.

To się nie powinno było zdarzyć! Nie po to kurował się tak długo nad jeziorem!

Niestety, nie był w stanie zapanować nad tym, co działo się w jego głowie, a najpewniej było skutkiem upału i nadmiernego wysiłku.

Nieważny jednak powód, liczył się rezultat. Jeśli ten atak będzie przebiegał według starego schematu, wkrótce zakończy się upokarzającą utratą przytomności.

Zatrzymał się i chwycił poręcz, by odzyskać równowagę. Gillian coś do niego mówiła, lecz prawie jej nie słyszał.

- Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku - zdołał odpowiedzieć. Z wysiłkiem wyciągnął chusteczkę i otarł pot lejący się z czoła.

Klnąc w duchu, szukał powodu, by nie wchodzić na szczyt. Jeśli tu zostanie i posiedzi spokojnie, być może atak minie.

- Czy tam na dole - zapytał - jest tylko jedno wejście?

- Chyba tak.

- Wiesz co, nie jestem ci potrzebny na górze. Chyba wrócę na dół i będę pilnował drzwi. Lepiej mieć pewność, że ktoś niepowołany tu się nie dostanie.

Spojrzała na niego z pewnym zdziwieniem, ale nie wyraziła sprzeciwu.

- Nie będę tam długo - odparła.

Śledził ją wzrokiem, aż znikła za zakrętem, a potem usiadł na schodach. Nienawidził swojej bezsilności.

Łoskot w głowie raptownie ustał, tym razem nie był to więc prawdziwy atak. Martwił się jednak o przyszłość. Jak sobie z tym poradzi? A przecież musi, bo nie może zostawić Gillian samej.

Gillian przebyła już więcej niż połowę drogi, kiedy nagle przestraszył ją szum jakiegoś urządzenia. Unosząca się nad roślinami mgła wskazywała, że w pomieszczeniu znajduje się automatyczny rozpylacz mgły.

To miejsce i tak przypominało gigantyczną saunę, a urządzenie wciąż pompowało wilgoć. Mgła gęstniała, tak że rośliny po obu stronach schodów wyglądały jak blade widma.

Robiło się coraz ciemniej. Gillian zabłądziła pomiędzy mokrymi eukaliptusami i musiała się zatrzymać. Poza sykiem rozpylacza w ogromnej cieplarni panowała niesamowita cisza.

- Maureen, tu Gillian. Jesteś tam?! - zawołała trochę niepewnie.

Nastąpiła krótka pauza, po czym usłyszała przytłumiony głos:

- Jestem tutaj. Chodź na górę.

- Ta mgła...

- Idź po omacku, na pewno nie zabłądzisz.

Uspokojona Gillian szła dalej, ale unosząca się mgła zebrała się na szczycie budynku w duszącą masę, która kompletnie ją dezorientowała.

- Maureen, gdzie jesteś? Nic nie widzę...

Nagle dobiegł ją przeraźliwy dźwięk, a w chwilę potem jakaś niesamowita, widmowa postać runęła na nią. Odskakując na bok, Gillian rąbnęła w pień drzewa. Wtedy postać znikła za ścianą mgły.

Ktoś krzyczał z dołu budynku. Cleve? Nie odpowiedziała. Zgubiła schody i najpierw musi je odnaleźć. Oderwała się od drzewa, idąc po omacku we mgle.

Zanurzyła się w gęstwinie roślin. A potem zaparło jej dech, gdy coś wielkiego i błyszcząco czerwonego wyłoniło się z mgły. Była to królewska poinsecja w pełnym rozkwicie.

Nie ma się czego bać, uspokajała się.

Gillian, cofając się, o coś się potknęła. Chyba jakiś pień? Straciła równowagę i upadła. Przed jej oczami znów zamigotał jakiś czerwony kształt. Lecz tym razem nie był to egzotyczny kwiat.

Rozpylacz mgły przestał pracować i zaczęło się przejaśniać. Gillian zrozumiała, że wpatruje się w krew płynącą z piersi jakiegoś mężczyzny. Potknęła się nie o pień, lecz o martwe ciało Charlesa Reardona.

Cleve rozpoznał huk wystrzału. Poderwawszy się na nogi, krzyknął do Gillian, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Nie wahał się ani chwili. Wyciągnął rewolwer i pognął po schodach.

Był oszalały ze strachu. Nie powinien był zostawiać jej samej. Jeśli coś się stanie... Do cholery, nie myśl o tym, tylko działaj! - nakazał sobie. W chwilę później usłyszał przeraźliwe krzyki, dochodzące ze szczytu budowli.

- Trzymaj się, Gillian! - zawołał. - Już idę!

Siłą woli zdusił oznaki ponawiającego się ataku. Dzięki Bogu, nie stracił przytomności.

Łapiąc ustami powietrze, rozejrzał się dokoła i ku swojej wielkiej uldze dostrzegł Gillian. Leżała wśród egzotycznych roślin i na pewno żyła, ale jej nieprzytomne spojrzenie przeraziło go. Zrozumiał wszystko, gdy stanął przy

niej i ujrzał zwłoki jej największego osobistego wroga, Charlesa Reardona.

Otrząsnęła się z szoku, kiedy Cleve przykucnął obok niej. Odwróciła głowę i spojrzała nań błagalnie:

- Cleve, czy on naprawdę nie żyje?

Nie musiał nawet dotykać ciała, by to stwierdzić. Oczy Reardona były szeroko otwarte, lecz ich spojrzenie było martwe.

- Tak - mruknął.

Cleve, mimo że Gillian drżała z przerażenia, nie zamierzał jej uspokajać, skoro bowiem naprawdę miał jej pomóc, musiał najpierw zadać kilka pytań. Zaczął od najważniejszego.

- Gillian - jego głos brzmiał nieugięcie - gdzie jest broń, z której Reardon został zabity?

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Co zrobiłaś z tą cholerną bronią?

- Uważasz, że to ja go zabiłam?! - spytała z niedowierzaniem w głosie i zerwała się na równe nogi.

- Spokojnie, o nic cię nie oskarżam.

- Ależ tak, oskarżasz! Powiedziałaś, że to ja go zabiłam! - Otworzyła torebkę i, bliska hysterii, wykrzyczała: - No już, zrewiduj mnie, a potem poszukaj w tych chaszczach, bo przecież gdzieś musiałam schować rewolwer!

Jej brudna sukienka przykleiła się do ciała, na policzku miała smugi, a włosy były wilgotne od potu. Wydawała się taka samotna i bezbronna. Cleve poczuł się jak ostatni fajdak. Szybko chwycił Gillian w ramiona.

- Już dobrze, kochanie - uspokajał ją. - To jasne, że go nie zabiłaś.



Przez moment się wahała, a potem ukryła twarz na jego piersi. Pogłaskała ją czułym, opiekuńczym gestem.

Gdy przestała drżeć, ujął ją za rękę i odciągnął od martwego ciała. Kiedy już znaleźli się z powrotem na płycie chodnika, Gillian rozejrzała się wokół i powiedziała z napięciem w głosie:

- Maureen. Gdzie jest Maureen? Ona może wyjaśnić, co się stało.

- Jej tu nie ma, Gillian. Nikogo tu nie ma oprócz nas. To dlatego przez chwilę pomyślałem...

- Przecież była tu przed chwilą. Wołała do mnie z góry.

- Milczał. - Cleve, i ty musiałeś ją usłyszeć.

- Byłem na samym dole. Nie słyszałem niczego prócz strzału.

- Ktoś wpadł na mnie. - Szybko opowiedziała mu o dziwnej postaci. - I ten ktoś musiał przebiec obok ciebie.

Potrząsnął głową.

- Nikt mnie nie mijał. Nikogo nie widziałem.

- Ależ to nonsens. Tam ktoś był i zabił Reardona.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Nie wiem. - Gillian była oszołomiona i bliska paniki. - Trzeba tu się dokładnie rozejrzeć. Jeśli zabójca nie przechodził obok ciebie, to znaczy, że schował się gdzieś w zaroślach. Cleve, pomóż mi go znaleźć!

- Gillian, uspokój się. Skoro się ukrył, kiedy koło niego przechodziłem, to teraz już się stąd wyślizgnął. A jeśli nadal tu jest, to pamiętaj, że jest uzbrojony... - Urwał, bowiem z dworu dobiegł go odgłos zatraskiwanych drzwiczek samochodu. - Myślę - ciągnął z przymusem - że nie możemy się tym zajmować. Zrobi to za nas policja.

Pociągnął ją do szklanej ściany, skąd widać było parking. Stał tam wóz patrolowy. Dwaj umundurowani oficerowie szli w kierunku wejścia do ciepłarni.

- Wygląda na to, że ktoś usłyszał strzał i wezwał policję- mruknął Cleve.

- Albo - głos Gillian brzmiał ponuro - morderca sam zadzwonił do nich, żeby mnie tu przyłapano. Cleve, chyba wpadłam w pułapkę. Nie mogę udowodnić, że był jeszcze ktoś prócz mnie, kiedy Charles Reardon został zastrzelony. Będę potrzebowała adwokata.

- Kochanie - przypomniał jej łagodnie - ty jesteś adwokatem.

- Zajmowałam się prawem cywilnym, a przy takich problemach, jakie mnie teraz czekają, będę potrzebowała specjalisty od prawa karnego. Nasz Dan Weinstein jest jednym z najlepszych w mieście. Nie sądzę, żeby mi odmówił.

To było wstrząsające wrażenie oglądać Gillian w takim stanie. Przygotowywała się na najgorsze.

- Do diabła, Gillian, nie mów tak. Nikt cię o nic nie oskarża.

Odrzuciła głowę, by spojrzeć na niego. Na jej twarzy malowała się powaga.

- W pierwszej chwili sam to zrobiłeś. Czy myślisz, że policja zareaguje inaczej?

- Tego nie wiem, ale obiecuję ci, że cokolwiek się stanie, będziemy walczyć razem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Uśmiechał się do niej ze swego fotela przy oknie. Nazywał się Butch Costello. Z włosami koloru piasku i piegowatą twarzą wyglądał jak bezbronne szczenię, ale Gillian natychmiast poznała się na nim.

Porucznik Costello był detektywem z wydziału zabójstw, wyznaczonym do prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa Charlesa Reardona. Gillian na zewnątrz zachowywała spokój, choć w głębi ducha była roztrzęsiona.

- Doceniam to, że pani zgodziła się ze mną spotkać, pani Randolph. Nie zajmę pani więcej czasu, niż to będzie absolutnie konieczne.

Zbliżał się wieczór. Znajdowali się w gabinecie Dana Weinsteina o piętro niżej od gabinetu Gillian.

- To jest nieformalne spotkanie, poruczniku - przypominał Dan zza swego biurka. - Jeśli rozmowa przybierze charakter oficjalnego przesłuchania, natychmiast ją zakończymy.

- O niczym innym nie śmiem marzyć - zgodził się ubrany po cywilnemu oficer.

Adwokat, ciemnowłosa, przystojny i nieskazitelnie ubrany, zwrócił się do Gillian. Mimo że uprzednio udzielił jej już dokładnych instrukcji, ponownie ostrzegł:

- Jeśli nie będziesz chciała odpowiadać na jakieś pytanie albo ja ci to doradzę...

- Wiem. W porządku, Dan. Chcę pomóc, bo zależy mi, by jak najszybciej wszystko się wyjaśniło.

Detektyw znów obdarzył ją uśmiechem, wziął notes i zapoznał się z oświadczeniem, jakie Gillian i Cleve złożyli na miejscu zbrodni dwóm umundurowanym policjantom. Uprzejmy aż do przesady Costello dziękował wciąż Gillian za pomoc przy weryfikacji treści tego dokumentu.

Była jednak pewna, że jest główną, czy może raczej jedyną podejrzaną. Świadczyło o tym to, że detektyw zupełnie nie interesował się Cleve'em, który siedział obok niej na sofie, tylko zajmował się wyłącznie nią.

Była Cleve'owi wdzięczna za tę bliskość, choć zgodnie z instrukcją Dana milczał jak zakłęty.

- McBride, proszę mi obiecać, że dopóki nie zostanie pan o coś wprost zapytany - powiedział adwokat przed przybyciem Costella - nie odezwie się pan ani słowem. Proszę wyjaśnienia zostawić mnie i Gillian.

Rozumiała, jaki był powód tej prośby. Cleve czuł się winny, ponieważ nie towarzyszył Gillian na szczyt budowli, co doprowadzało go do wściekłości. Adwokat obawiał się, że w takim nastroju mógłby wybuchnąć gniewem.

Ponieważ Gillian poparła Dana, Cleve, choć niechętnie, musiał na to przystać i teraz wprost skręcał się na sofie. Gillian zastanawiała się, jak długo uda mu się panować nad sobą.

Porucznik zajrzał do notesu.

- Czy wszystko się zgadza, pani Randolph?

- Tak, chciałabym tylko podkreślić, że nie byłam sama

z Charlesem Reardonem na szczycie ciepłarni. Ktoś z całą pewnością był tam jeszcze, ukryty we mgle.

Costello pokiwał głową z namysłem.

- Domniemany zabójca. A jak, pani zdaniem, zdołał się stamtąd wydostać?

Gillian wiedziała, że detektyw musiał już sam rozważać wszystkie możliwości, ale podała mu swoją wersję.

- Musiał się ukryć w gąszczu, a potem wyslizgnął się na zewnątrz. Albo też...

- Co takiego, pani Randolph?

- Jest tam mnóstwo otworów wentylacyjnych. Morderca mógł uciec tamtędy i zsunąć się na dół po stalowym szkielecie budynku. - Pochyliła się do przodu z przejęciem. - Powiem panu coś jeszcze. Myślę, że Reardon był już martwy, kiedy wchodziliśmy z Cleve'em do ciepłarni. W przeciwnym razie słyszałabym coś więcej.

- W taki razie, co państwo usłyszeli, jeśli nie był to wystrzał?

Cleve coś zaczął mamrotać, ale Dan posłał mu surowe spojrzenie i odpowiedział za nich:

- Sądzę, że to oczywiste, poruczniku. Chodziło o to, by rzucić podejrzenie na panią Randolph, skoro wkroczyła na scenę.

- To całkiem możliwe - zgodził się detektyw z kamienną twarzą. - Wszystko, co pan sugeruje, jest możliwe.

Jednak Gillian z przerażeniem podejrzewała, że jej zeznania nie są traktowane poważnie. Porucznik najpewniej nie uwierzył w żadną widmową postać we mgle, tylko uważał, iż to ona zastrzeliła Reardona. Świadczyły o tym jego słowa:

- Jest również możliwe, że morderca użył jednego z otworów wentylacyjnych, aby pozbyć się broni. Mogła zostać wrzucona w zarośla, a potem znaleziona i ukryta, gdy policjanci zajęci byli zabezpieczaniem śladów i przeszukiwaniem budynku. Jak "państwo uważacie?"

Spojrzenie Dana ostrzegło Gillian i Cleve'a, żeby nie odpowiadali.

Detektyw mlasnął językiem o zęby, gdy pochylił głowę i zajrzał kolejny raz do notesu. Potem znowu błysnął uśmiechem.

- Sprawdzam tutaj swoje informacje. Kula, którą zabiłto Reardona, pochodzi z broni kaliber 40. A tu interesująca rzecz... wiem, czysty przypadek... ale zdaje się, że na pani nazwisko jest zarejestrowany półautomatyczny Glock kaliber 40, prawda, pani Randolph?

Cleve zeszytniał, gotował się do gniewnej riposty, lecz Dan powstrzymał go znowu, tym razem odpowiadając ostro:

- Pan przekracza wyznaczone granice, poruczniku. Gillian, przypominam ci. Masz prawo nie...

- Muszę to wyjaśnić - uparła się Gillian. - Poruczniku, owszem mam taką broń, a także konkretny powód, by ją posiadać.

Opowiedziała o Lassiterze. Detektyw nie okazał żadnego zdziwienia. Najwyraźniej zapoznał się także z tym aspektem sprawy.

- Z łatwością mogę udowodnić - ciągnęła - że moja broń nie była użyta w zabójstwie Reardona. Jest zamknięta w schowku na rękawiczki w moim samochodzie, który od piątku rano stoi na dole na parkingu.

Otworzyła torebkę i wyjęła kluczyki.

- Co mam zrobić, pani Randolph? - zapytał Costello, żeby nie było żadnych wątpliwości.

- Na zewnątrz czeka pański współpracownik. Proszę go wysłać do garażu po mój rewolwer. Chcę, żeby pan go sprawdził. Pragnę udowodnić, że kula, która zabiła Rear-dona, nie pochodzi z mojej broni.

- Jest pani tego pewna?

- Tak. Proszę mu powiedzieć, że chodzi o zielone volvo w samym końcu garażu.

Dan nie zgłaszał żadnych obiekcji, ale wyraz jego twarzy wskazywał, że nie pochwała decyzji Gillian. Porucznik podszedł, wziął kluczyki i wyszedł z gabinetu, aby udzielić instrukcji drugiemu policjantowi, który stał w pobliżu recepcji.

Ledwie wyszedł, Cleve wybuchnął:

- Do diabła, on ją chce złapać w pułapkę! Zamierzają ukrzyżować, a ty... - napadł na Weinsteina.

- Cleve, proszę cię... Wiem, że ci się to nie podoba, Dan - zwróciła się do Weinsteina - ale musiałam im dać broń. To może mnie oczyścić z podejrzeń.

Jednak Gillian straciła nieco pewności siebie, kiedy porucznik wrócił do gabinetu. Gdy czekali na powrót policjanta z garażu, Costello podjął wyzwanie:

- Żałuję, że sprawa się komplikuje, pani Randolph, ale wynikł jeszcze inny problem. Maureen Novak zeznała, że nie telefonowała do pani i nie proponowała pani spotkania.

Gillian nie była aż tak bardzo zaskoczona, bowiem już wcześniej doszła do wniosku, że Maureen musiała mieć

jakiś związek z mordercą, ale nie chciała włączać w tę sprawę klientki, dopóki nie okaże się to absolutnie konieczne. Teraz nadeszła taka chwila.

- Stwierdziła pani, że Novak była w cieplarni. - Pokiwał głową z udawanym wahaniem. - Okazało się jednak, że cały dzień pracowała w ogrodzie razem z czterema innymi ogrodnikami. Więc jak pani przypuszcza, kto dzwonił do pani, pani Randolph?

- Ta sama osoba - odpowiedziała Gillian stanowczo - która wołała do mnie ze szczytu palmiarni, udając przeziębioną Maureen. To na wypadek gdyby jej głos wydał mi się dziwny.

Boże, przecież znała kogoś, kto potrafił udawać dowolny głos - dziecka, kobiety, zwierzęcia - i przez całe lata zabawiał tym publiczność!

- Poruczniku, już wiem, kto to był. Tego ranka popełniłam straszne głupstwo.

- O kogo chodzi, pani Randolph?

- Victor Lassiter.

- Mężczyzna, który pani zdaniem prześladował panią?

- Tak.

Porucznik pokiwał wolno głową, rozważając tę możliwość. Po lekkim skrzywieniu ust Gillian mogła poznać, że uznał to za naciągany wymysł zdesperowanej kobiety. Jak mogłaby udowodnić, że Victor udawał Maureen, skoro nikt nie może potwierdzić jej oświadczenia? Gillian była jedyną osobą, która słyszała ten głos w słuchawce telefonicznej oraz w cieplarni.

- Czy nie ponosi panią wyobraźnia? - spytał detektyw. Nie potrafił zapanować nad pogardliwym uśmiechem.



Tym razem Cleve nie wytrzymał. Zerwał się na równe nogi i nim Dan zdążył go powstrzymać, wybuchł:

- Może wreszcie ruszysz swą tępą mózgownicą, Costello, i zrozumiesz, o co tu naprawdę chodzi?!

- To znaczy? - Detektyw zmrużył oczy.

- To znaczy, że Lassiter wplątał Gillian w morderstwo! Słyszał kłótnię pomiędzy nią a Reardonem i to mu wystarczyło, by zacząć działać! Coś jeszcze powinienes sprawdzić, poruczniku. Podejrzewam, że Lassiter poznał głos Maureen Novak, na przykład oferując jej jakąś usługę przez telefon. Mógł taką rozmowę bez trudu nagrać na magnetofon, by mieć materiał do ćwiczeń.

- Co jeszcze według ciebie powinienem przemyśleć, detektywie? - zapytał porucznik oschle.

- Choćby to, że Lassiter mógł zwiabić Reardona do cieplarni w taki sam sposób, jak Gillian. Zadzwoił do Reardona i udał Maureen Novak, proponując mu ugodę za plecami Gillian.

- I to wszystko miało miejsce po tym, jak Lassiter nauczył się naśladować głos pani Novak, posługując się nagraniem rozmowy telefonicznej?

- A dlaczego nie? Zanim pan to uzna za bajeczkę, poruczniku, lepiej niech pan sprawdzi alibi Lassitera na ten ranek - doradził Cleve. - Może nie był na dyżurze w hotelu, tak jak powinien. O ile to nie za dużo dla pańskiej wyobraźni.

- Ależ nie, panie McBride. - Uśmiech zniknął z jego ust, piegowata twarz stwardniała. - Ponieważ jest ktoś jeszcze w tym departamencie, kto mi pomaga.

Otworzyły się drzwi. Policjant wysłany do garażu po

broń wetknął głowę. Costello przeprosił zebranych i wyszedł do holu obok recepcji. W gabinecie zapadła pełna napięcia cisza.

Porucznik wrócił. Ręce miał puste.

- Oficer przeszukał dokładnie pani auto, pani Randolph - relacjonował z kamienną twarzą. - Nie ma broni i ani śladu włamania.

Gillian spojrzała na niego przerażona.

- To niemożliwe. Ja... - zamilkła. Cóż mogła powiedzieć? Nie miała żadnego dowodu, że zamknęła broń w schowku i nie ruszała jej od wielu dni. Wiedziała, że słowa nie wystarczą. Zaginięcie rewolweru załamało ją. Czuła się, jakby zarzucono jej pętlę na głowę i powoli, nieubłaganie ją zaciskano.

- Czy podejrzewa pani, co stało się z bronią? - zapytał porucznik uroczystym tonem.

- Lassiter, to przecież jasne! - zagrzemiał Cleve. - Kto inny mógłby ją zabrać? Nie obchodzi mnie, czego pański człowiek nie zauważył. Lassiter musiał znaleźć jakiś sposób na otwarcie auta.

Rozległ się dzwonek telefonu komórkowego i porucznik wyjął aparat z kieszeni. Gillian siedziała zdrętwiała. Costello słuchał, od czasu do czasu odpowiadał zdawkowo. Kiedy skończył rozmowę, twarz miał wciąż poważną.

- Dzwonił mój partner z „Huttona”. Victor Lassiter był tam przez cały dzień, w ogóle nie opuszczał hotelu. Nie mógł więc zabić Reardona. Zresztą, jaki mógłby mieć ku temu powód? Natomiast pani, pani Randolph...

- Niech pan nie kończy, poruczniku - przerwał mu Dan - skoro nie może pan wręczyć oskarżenia. Czegokol-

wiek się pan dowiedział o rozmowie między panią Randolph a Reardonem, nie stanowi to motywu.

- Słyszano, że mu groziła.
- Procesem, ale nie morderstwem.

Zapadła śmiertelna cisza, Gillian wstrzymała oddech. Odetchnęła z ulgą, gdy porucznik odpowiedział spokojnie:

- Niech pan się odpręży, panie Weinstein. Nikt tu nie mówi o formalnym oskarżeniu.

Nie dodał: „Przynajmniej na razie”, choć wynikało to z tonu jego głosu.

- Zatem sądzę, że nasze spotkanie dobiegło końca - oznajmił Dan.

Costello wstał.

- Jak pan sobie życzy, panie mecenasie. Oczywiście pańska klientka będzie dla nas osiągalna. - Zwrócił się do Cleve'a z pozornie przyjaznym uśmiechem: - Chyba nie muszę ci przypominać, McBride, że twoja licencja nie upoważnia cię do wtrącania się w nasze śledztwo.

- Postaram się o tym pamiętać, poruczniku, o ile wyświadczy mi pan pewną przysługę.

- Jaka?

- Proszę nam nie życzyć miłego dnia.

Kiedy porucznik wyszedł, Gillian wstała z sofy i podeszła do okna.

- To nie wygląda dobrze, prawda, Dan?

- Nie jest tak źle - prawnik próbował podtrzymać ją na duchu. - Gdyby miał coś konkretnego, przyszedłby tutaj z nakazem aresztowania albo zabrał cię na przesłuchanie. Nie mając żadnego świadka ani broni, z której dokonano

morderstwa, nie może podjąć jakichkolwiek kroków prawnych. To oczywiste.

- Jednak jest pewien, że ja to zrobiłam i stara się to udowodnić.

- Nie ma solidnych dowodów. - Dan zmarszczył brwi.

- No cóż, niedobrze się stało, że zgubiłaś swój rewolwer.

- Wiem. Chciałam oddalić od siebie podejrzenia, pokazując mu broń, a w efekcie wszystko pogorszyłam. Ale nawet mi się nie śniło... - zaśmiała się. - Przykro mi, Dan. Co mam teraz zrobić? Oskarżyć samą siebie?

- To zależy, co się wydarzy, kiedy ta broń się znajdzie.

Skinęła głową, czując na sobie intensywny wzrok Cleve'a. Wyraźnie chciał zostać z nią sam na sam. Dan zrozumiał to nieme przesłanie, pospiesznie ich przeprosił i opuścił gabinet.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Cleve powiedział:

- Nie chciałem, żeby Weinstein wiedział, co sobie zaplanowałem. Mógłby się temu sprzeciwić.

Gillian spojrzała na niego pytająco.

- Pamiętasz, przyrzekłem ci w palmiarni, że poradziemy sobie?

- Pamiętam - odrzekła.

- Ta broń może nam pomóc, dlatego musimy ją odnaleźć.

- Po co? Chyba nie chcesz jej zniszczyć, żeby nie mogła być użyta jako dowód przeciwko mnie. Na to się absolutnie nie...

- Czy ja coś takiego powiedziałem? Po prostu uważam, że powinniśmy zacząć od broni. Do diabła, nawet nie wiemy, czy to właśnie ona posłużyła mordercy.

Gillian wahała się.

- Po co mamy jej szukać? Na pewno zrobi to porucznik Costello.

- To oczywiste, że gdy tylko dostanie nakaz sądowy, natychmiast zacznie jej szukać. W twoim biurze i w domu, wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinien. Bo my oboje wiemy, że broń ma Lassiter i gdyby nam się udało ją znaleźć w jego mieszkaniu, może Costello zaczęłyby nas wreszcie słuchać. - Zamilkł na chwilę i zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, dlaczego Lassiter po zabiciu Reardona nie włożył rewolweru z powrotem do twojego samochodu? Przecież motywem zbrodni było rzucenie na ciebie podejrzenia.

Gillian nic nie powiedziała, tylko nieobecny wzrokiem patrzyła w okno.

- Już rozumiem - rzekła cicho.

- Co takiego?

- Ten wyraz twarzy Victora, gdy usłyszał, jak ostrzegam Reardona. Wtedy go nie rozumiałam. On się napawał, bo znalazł okazję, na którą tak czekał. Triumfował.

- Czy coś przeoczyłem?

Odwróciła się od niego.

- Cleve, czy nie rozumiesz, o co mu chodzi? Wcale nie zamierza mnie zabić. On chce, żebym poszła do więzienia za zabicie Reardona, tak jak kiedyś on za zamordowanie Molly. Na tym polega jego zemsta.

- Okay, powiedzmy, że to jego motyw. Ale po co ta cała reszta? Zdjęcia, które ci przysłał, okaleczona lalka, napis na drzwiach. I dlaczego zatrzymał broń?

- Bo robi wszystko na pokaz. To pokręcony facet,

który wie, że kulminację osiąga się poprzez stopniowanie napięcia. Tak jak matador bawi się rannym bykiem, zanim mu zada ostateczny cios... - Głos jej się załamał.

- Nie pozwolimy mu na to, Gillian - powiedział twar- do. - Będziemy się bronić.

- Masz rację - przytaknęła zdecydowanie. - Trzeba odnaleźć broń. Ale porucznik... słyszałeś, co mówił. Ryzykujesz utratę licencji.

- Bzdura. Dostałem ją w Departamencie Policji w Chi- cago i tylko oni mogliby mi ją cofnąć. Martwi mnie co innego.

- Co takiego?

- Robota w ciemno. Nie lubię tego. Dlaczego nie po- wiesz mi wszystkiego, Gillian? Czuję, że coś przede mną ukrywasz.

- Znowu to samo - rzekła ze zniecierpliwieniem. - Myślałam, że już to ustaliliśmy. Kiedy poszliśmy do fontanny Buckingham, a ja opowiedziałam ci o spr- awie Maureen...

- Sądysz, że to mi wystarczy? Mylisz się.

Żałował, że musi być dla niej szorstki, gdy jest taka przestraszona i bezbronna... Jeśli jednak mają ocalić, mu- si wiedzieć wszystko.

- Sprawa Maureen Novak to żadna tajemnica. No, da- lej, Gillian, co jeszcze przede mną ukrywasz?

- Nic. Przestań mnie dręczyć. - W jej fiołkowych oczach pojawiły się gniewne błyski.

- Widocznie - powiedział łagodnie - wydawało mi się. Przepraszam.

Gillian wyraźnie się odprężyła.

- Pistolet - przypomniała mu, aby zmienić temat. -  
Gdzie zamierzasz go szukać?

- To oczywiste, w mieszkaniu Lassitera.

- A czy ty w ogóle wiesz, gdzie on zamieszkał po  
wyjściu z więzienia?

- Jeszcze nie, ale to kwestia najwyżej kilku telefonów.  
Kiedy Lassiter będzie w pracy, przeszukam jego miesz-  
kanie.

Podszedł do telefonu na biurku Dana, a Gillian ruszyła  
ku drzwiom.

- Będę w swoim gabinecie. Zanim wyjdziemy, muszę  
sprawdzić w kalendarzu, czy jestem wolna przez cały  
dzień.

Cleve pospiesznie ją zatrzymał.

- Chyba się nie dogadaliśmy. To ja wychodzę. Ja będę  
szukał broni. Ty zostajesz na miejscu.

- Nie pozwolę ci iść samemu do mieszkania Victora.  
Nawet jeśli go tam nie będzie, jest to niebezpieczne. Będę  
stała na czatach.

- Jedyne niebezpieczeństwo, jakie wchodzi w grę, to  
dać się złapać i zostać oskarżonym o włamanie. Nie chcę  
cię narażać na takie ryzyko.

- Cleve, grozi mi oskarżenie o morderstwo, a mam się  
bać wykroczenia?

- Gillian, ja zajmę się swoją robotą, a ty swoją. Pamię-  
tam, jak rano mi powiedziałaś, że masz mnóstwo pracy.

Podeszła do biurka, szykując się do walki. Głowę miała  
pochyloną, a na ustach leciutki uśmiezek, który zapowia-  
dał, że rozmówca ściąga na siebie kłopoty.

- Pamiętasz coś jeszcze - rzekła tonem zwodniczo

uprzejmym. - Mówiłeś, że razem poradzimy sobie z tą sprawą. Czy nie tego słowa użyłeś, Cleve? Razem.

- Tak, ale...

- To także moja walka, dlatego wezmę w niej udział. Nie będę chować się za zamkniętymi drzwiami, żebyś ty mógł gratulować sobie, że mała kobietka jest bezpieczna. A teraz, kiedy już wszystko ustaliliśmy, czy nadal zamierzasz ciągnąć tę dyskusję?

- Hm, zdaje się, że nie. Decyzja należy do pani, pani mecenas.

- Dziękuję, panie sędzio. A teraz dzwoń.

Ależ to baba z piekła rodem, pomyślał Cleve, z uśmiechem obserwując, jak Gillian wychodzi. Jej plisowana spódnica okręcająca się wokół nóg budziła grzeszne myśli. Zupełnie jak przed laty...

Zabawne, pomyślał, że przeszłość może powrócić nawet po tylu latach. No cóż, jednak te krótkie tygodnie, które spędzili upajając się miłością, tak mocno przeorały duszę Cleve'a, że nigdy się z tego nie otrząsnął.

Wspomnienia były słodkie i cudowne, to prawda, nie mógł jednak pojąć, dlaczego Gillian tak nagle odeszła od niego. Ta zagadka wciąż go prześladowała. Rozstali się na kilka dni, ponieważ prowadził dochodzenie w innym mieście, a kiedy wrócił, pełen radosnego oczekiwania, recepcjonistka powiedziała mu, że Gillian nie pracuje już w firmie i że wyjechała. Żadnych szczegółów.

Cleve był oszołomiony, a potem wściekły. Harmon Randolph, który właśnie wrócił z żoną z wakacji, zaprosił go do swojego gabinetu.

- Cleve, tak mi przykro - powiedział łagodnie. - Gil-



lian przyjęła zaproszenie od przyjaciół, by spędzić resztę lata w Europie. Nie wiem, dlaczego ci o tym sama nie powiedziała. Sądziłem, że to zrobiła.

Jej nagłe, potajemne odejście było dla niego śmiertelnym ciosem. Gdyby ojciec Gillian okazywał dezaprobatę dla ich związku, byłoby to jakieś wyjaśnienie, ale Harmon Randolph najpewniej o niczym nie wiedział przed powrotem z urlopu, natomiast później okazał Cleve'owi wiele życzliwości i współczucia.

Dał mu nawet numer telefonu, pod którym można było zastać Gillian, lecz mimo licznych prób nie udało mu się z nią skontaktować. Cleve przez wiele dni chodził jak struty, a sympatyczny adwokat dawał mu mnóstwo zleceń, aby ulżyć jego cierpieniom.

Stopniowo pogodził się ze zniknięciem Gillian ze swego życia, ale nigdy nie zrozumiał, dlaczego tak się stało. I przez lata wciąż się nad tym zastanawiał, karząc sam siebie. To nie miało sensu... ale tak po prostu było.

Musi przestać torturować się przeszłością, skoro ma dziś pomóc Gillian. A jeśli chodzi o to, co stało się owego ranka w palmiarni... Nie, nie będzie się teraz tym zamartwiał. Jest przekonany, że był to pojedynczy atak, wywołany ekstremalnymi warunkami, i że już nigdy więcej się nie powtórzy. O ile dopisze szczęście...

Cleve energicznie sięgnął po telefon.

Gillian dręczyło znajome poczucie winy. Nienawidziła okłamywać Cleve'a, ale nie miała innego wyjścia. Przyjęła, że dochowa tajemnicy i słowa dotrzyma, choć tak wiele ją to kosztowało.

Siedziała przy biurku, kiedy Mason Campbell wkroczył do jej gabinetu. Był to szef firmy, łysy i lekko przygarbiony.

- Możesz mi poświęcić minutkę, Gillian?

Miał na twarzy uśmiech, ale zaniepokoił ją ton jego głosu. Poprosiła, żeby usiadł. Przyjął zaproszenie i powiedział, że rozmawiał już z Danem. A teraz chciał, żeby Gillian wiedziała, że wszyscy w firmie jej współczują i oczywiście są po jej stronie, ale...

Ale delikatnie, lecz stanowczo zasugerował, żeby zawiesiła praktykę.

- Rozumiesz, tylko na jakiś czas, aż skończą się twoje drobne kłopoty. Oczywiście koledzy chętnie ci pomogą i przejmą twoje sprawy, dopóki nie wrócisz.

W pierwszej chwili chciała powiedzieć mu, że postępuje nie fair, ale się powstrzymała. Nie była jeszcze pełnoprawnym współnikiem, musiała więc postępować ostrożnie. Poszła na kompromis.

- Rozważę to - oznajmiła chłodno.

Widać było, że na jakiś czas go to zadowoli.

Cleve minął Masona po drodze.

- Wszystko już ustalone - zameldował Gillian radośnie. - Lassiter dostał dodatkową robotę w „Huttonie” i późno wróci do domu. Przy okazji sprawdziłem jego alibi. Szkoda, że nie znalazłem jakiejś luki, ale mój goniec powiada, że ma informacje od samego szefa sali restauracyjnej. W każdym razie Lassiter był tam, gdzie nie powinien, i kiedyś to udowodnimy. Aha, zdobyłem jego adres, więc... - Urwał na widok jej zmartwionej twarzy. - Co się stało?

- No cóż, to nie jest mój szczęśliwy dzień. - Opowiedziała o wizycie Masona i z kwaśną miną dodała: - Jak widać, nie muszę się już martwić nadmiarem pracy.

- Gillian, tak mi przykro.

- Mogło być gorzej. Nie jestem przynajmniej wykluczona z listy adwokatów, ale jeśli nie oczyszczę się z zarzutów, może się tak zdarzyć.

Wzięła swą torebkę i wstała z wyrazem determinacji na twarzy.

- Chodźmy szukać mojego rewolweru.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- To nie „Ritz”, prawda? - zauważył Cleve.
- Nie sądzę, żeby Victor mógł sobie pozwolić na coś lepszego - mruknęła Gillian.

- Może mu to pasuje.

Hotelik mieścił się w budynku, który tak naprawdę nadał się już tylko do rozbiórki, jedynie skrzynki z kwiatkami za oknami pierwszego piętra wskazywały, że jednak ktoś dba o to miejsce.

- Na co czekamy? - spytała.
- Zastanawiam się, jak dostać się do pokoju Lassitera, nie budząc niczyich podejrzeń.
- A więc ty nie...
- Nie, zdobyłem tylko adres. - Energicznie sięgnął do klamki. - Najlepiej będzie wejść na pewniaka i zapytać o Lassitera. W takich miejscach nikt się niczym nie przejmuje.

Gillian chciała wysiąść z samochodu, ale Cleve ją powstrzymał.

- Zostań tutaj, dopóki nie dowiem się o numer pokoju.
- Dlaczego?
- Może będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Zanim zdążyła poprosić o bliższe wyjaśnienia, wysko-

czył z wozu i wkroczył do hotelu. Czekwała, próbując zachować spokój.

Ulica była pusta, tylko para nastolatków jeździła na wrotkach wokół bloku. Sierpniowe słońce ostro przypiekało, a porywisty, lecz gorący wiatr nie przynosił wielkiej ulgi.

Gillian już chciała zamknąć okna i włączyć klimatyzację, gdy nagle pojawił się Cleve. Usiadł za kierownicą i powiedział:

- Pora na plan B.

- Z tego wynika, że jednak ktoś tam dba o porządek.

- Aha, recepcjonistka. Ma ze dwa metry i podobna jest do rottweilera. Gdy zapytałem ją o numer pokoju Lassitera, roześmiała się. Kiedy pokazałem legitymację detektywa, wyszczerzyła na mnie zęby. A kiedy zaproponowałem jej dwadzieścia dolców...

- Co?

- Kiedy się pojawiłem, czytała jakiś thriller. Chyba był to stary, pocziwy Mickey Spillane, bo kiedy zaproponowałem jej łapówkę, tylko warknęła: „Spływaj, szpiclu”. Oryginalne, co?

- Dostyc. A jaki jest plan B?

- Jeszcze nie wiem. Muszę pomyśleć.

Cleve zapadł w zadumę, utkwwszy wzrok w skrzynkach z kwiatkami.

- Mam pomysł - rzekł. - Teraz pora wysłać drugą ekipę. Gillian, wchodź do środka zaraz po mnie.

- Czy zdołasz się tam wślizgnąć, żeby nie spostrzegła cię recepcjonistka?

- Myślę, że tak, bo jest bardzo zaczytana. Jakoś sobie poradzę.

Pochylił się, coś wydobył ze schowka na rękawiczki i szybko wysiadł z samochodu. Potem podszedł do nastolatków i wdał się z nimi w pogawędkę. Młodzi ludzie wyraźnie się ożywili, gdy Cleve wyciągnął portfel i wręczył im banknoty. Potem odwrócił się i skinął na Gillian, a następnie wślizgnął się do hotelu.

Wyszła z samochodu. Młodzi ludzie stali w pogotowiu pod skrzynkami z kwiatami, a gdy przechodziła obok nich, radośnie się uśmiechnęli. Gillian otworzyła hotelowe drzwi.

W ciemnym holu było pusto. Cleve gdzieś się ukrył, czekając na moment, kiedy recepcjonistka opuści swe biurko. Wtedy będzie mógł błyskawicznie przejrzeć rejestr hotelowych gości.

Biurko stało w alkwie w końcu holu. Przez otwarte drzwi widać było okazałą recepcjonistkę, która, wygodnie usadowiona w fotelu, z rozkoszą oddawała się lekturze.

Gillian dwukrotnie chrząknęła, by zwrócić na siebie uwagę. Wreszcie kobieta dźwignęła się z fotela i kaczkowatym chodem podeszła do biurka, warcząc nieprzyjaźnie:

- Czego?
- Te kwietniki pod oknami.
- Co się stało?

Powodzenie akcji zależało od tego, czy recepcjonistka jest fanatyczną miłośniczką ozdobnych roślinek.

- Chciałam pani powiedzieć, że para dzieciaków zrywa kwiaty do bukietów.
- Co takiego?!

Olbrzymia kobieta ruszyła ciężkim galopem ku drzwiom, a Gillian potruchtała za nią. Zanim dotarły na ulicę, nastolatki zdążyły już narwać pełne naręcza piękne-

go kwiecica. Gdy nieszczęsna recepcjonistka ujrzała ten ogrom zniszczeń, zaczęła wrzeszczeć jak opętana, co wielce rozbawiło parę złoczyńców. Roześmiani wrotkarze w szaleńczym tempie zaczęli krążyć wokół biednej kobiety, aż wreszcie posłali jej po całusie i odjechali w siną dal.

- Następnym razem wezwę policję! - piekliła się. - Przekłęte bachory, nie ma dla nich nic świętego.

Wreszcie poczłapała do hotelu.

Gillian chwilę poczekała na chodniku, a potem wślizgnęła się do holu. Tak jak przypuszczała, recepcjonistka znów pograżyła się w lekturze thrillera.

Gillian ruszyła nie oświetlonym korytarzem, wypatrując Cleve'a. Nagle w ciemnym kącie coś się poruszyło. Z trudem zdusiła okrzyk przestrachu.

- Cicho! - szepnął Cleve. - Chcesz, żeby ktoś nas usłyszał?

- To nie zachowuj się jak upiór.

- Byłem pewien, że mnie widzisz.

- Nic nie widzę. Czuję się jak w katakumbach. Czy oni nie uznają żarówek?

- Owszem, piętnastowatowe.

- Cholerne sknery. Gdzie jesteśmy? - A gdy Cleve wciągnął ją do windy, zapytała: - Dokąd jedziemy?

- Pokój 823.

- A więc udało ci się...

- Poszło jak z płatkami.

Nacisnął guzik i drzwi zamknęły się z łoskotem. Antyczna winda z łoskotem ruszyła w górę.

Zanim niemrawo dowiozła ich na ósme piętro, Gillian na tyle oswoiła się z półmrokiem, że dostrzegła niewielką

wypukłość na kieszeni spodni Cleve'a. Musiał tam ukryć coś, co wyjął ze schowka samochodu. Na pewno nie była to broń, bo nosił ją pod pachą w kaburze.

Na korytarzu nie spotkali nikogo. Minęli zakręt i znaleźli się na tyłach hotelu.

- To tutaj - oznajmił Cleve, zatrzymując się przed numerem 823.

Najpierw zastukał, a gdy nikt nie odpowiedział, nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Jak się dostaniemy? - zapytała Gillian.

- Na kursie detektywów nauczyli nas otwierać różne zaniki.

- Jasne, tak jak na studiach prawniczych uczą skakać na batucie.

- Spokojnie, to stary złom, łatwo sobie poradzę.

Z wypchanej kieszeni Cleve wyjął pęk wytrychów i przez chwilę manipulował przy zamku.

- No i po kłopotcie - mruknął, otwierając drzwi.

- Gratuluję, detektywie.

- Dzięki, pani mecenas.

Weszli do środka. Było cicho i pusto. Pomieszczenie składało się z salonu, skromnej kuchenki, sypialni i łazienki. Umeblowanie było podniszczone.

- Zajrzyjmy najpierw do sypialni - zaproponował Cleve.

Zaczęli od sypialni. Cleve podszedł do okna i stwierdził, że na zewnątrz, prawie zwisając nad rzeką, znajdowały się metalowe schodki przeciwpożarowe, opadające zyg-zakiem w dół ku wąskiej alejce.

- To będzie nasza ewentualna droga odwrotu - powie-



dział. - No cóż, bez wątpienia jesteśmy we właściwym miejscu.

Na poobijanym biurku leżały narzędzia i materiały potrzebne do robienia lalek. Zajęcie samo w sobie niewinne, ale na myśl o tym, kto jest właścicielem tej kolekcji, Gillian zadrżała.

- Spójrz - szepnęła.

Na stoliku obok biurka stał telefon, a za nim magneto-fon i stojak z kasetami. Oprócz jednej, wszystkie były fabrycznie zapakowane

- Sądziś, że to może być...? - zapytał Cleve.

- Zaraz się przekonamy.

Gdyby było to nagranie rozmowy z Maureen Novak, porucznik Costello musiałby przyznać, że Lassiter mógł wykorzystać je do przestudiowania głosu Maureen.

Przesłuchali kasetę na szybkich obrotach, niestety była czysta.

- Skasował ją - mruknął Cleve.

- No cóż, Victor nie jest głupi - powiedziała rozczarowana Gillian.

- Nie traćmy nadziei. Szukajmy twojej broni.

- Jak myślisz, gdzie mógł ją schować?

- Wszędzie. Zajmij się szafą - nakazał - a ja przeszkam szuflady. I pamiętaj...

- Tak?

- Lassiter nie może się zorientować, że ktoś tu był, więc zostaw wszystko w takim stanie, jak było.

Nie było to łatwe, tym bardziej że szperanie w rzeczach Victora napawało ją odrazą. Gdy pozostała jej już tylko najwyższa półka do przeszukania, musiała stanąć na krze-

śle. W nerwowym pośpiechu chciała je przesunąć, wtedy przewróciło się na podłogę. W ciszy zabrzmiało to jak eksplozja. Spojrzała na Cleve'a przerażona.

- A jeśli ktoś usłyszał? - szepnęła.

- To co? Ludzie stale coś upuszczają.

- Nie wtedy, gdy nie ma ich w domu. Przepraszam. Nie jestem dobra w tej robocie - usprawiedliwiała się. - Wciąż się boję, że nas nakryją.

- Nie przejmuj się. Stań na straży, a ja przejrzę resztę.

Była mu wdzięczna za tę propozycję. Stanęła przy drzwiach wyjściowych i lekko je uchyliła. Korytarz był cichy i pusty.

Wreszcie Cleve podszedł do niej, potrząsając głową.

- Zajrzałem wszędzie, ale bez rezultatu. No cóż, nikt nie obiecywał, że pójdzie nam łatwo. Jestem jednak pewien, że gdzieś schował broń.

Gillian była rozczarowana. Teraz pozostało im już tylko jedno do zrobienia, to znaczy bezpiecznie opuścić hotel.

- Możemy już iść? - przynaglała Cleve'a.

- Aha. Poczekaj... - zawahał się - nie przejrzałem jeszcze wszystkiego.

- Cleve...

- To potrwa chwilę, zajrzę tylko za telewizor.

Gdy obracał telewizor, spadła z niego tekturowa teczka-aktówka, a jej zawartość wysypała się na postrzępiony dywan.

- Nigdy nie ułożysz tego tak, jak było - ostrzegła Gillian. - Jeśli to zauważą, będzie wiedział, że ktoś tu był.

- Nic na to nie poradzę.

Ignorując rozsypane papiery, Cleve wyjął scyzoryk, by odkręcić tylną obudowę telewizora.

- Jest coś?

- Nie - powiedział z rozczarowaniem w głosie.

Na powrót przykręcił obudowę i zaczął zbierać zawartość teczek. Gillian odwróciła się, by zerknąć na korytarz, gdy usłyszała podekscytowany okrzyk:

- Nie znaleźliśmy broni, ale za to mamy coś równie cennego. Spójrz na to.

Szybko podeszła do Cleve'a.

- On ma tu całą twoją kartotekę. Od lat zbiera te wycinki prasowe.

Gillian ze zdziwieniem przerzucała papiery. Nie była osobą sławną, ale z uwagi na mocną pozycję zawodową powierzano jej poważne sprawy, i dlatego co pewien czas w relacjach sądowych pojawiało się jej nazwisko. Victor przechowywał je wraz z jej artykułem dla pewnego pisma prawniczego.

- To dowód, że mnie śledzi.

- Nawet więcej - powiedział Cleve. - Spójrz na te wycinki dotyczące sprawy Charlesa Reardona i Maureen Novak. Jeśli nasz przyjaciel z wydziału zabójstw nie zainteresuje się tym...

- Cicho! - syknęła.

Szybko podeszła do drzwi. Korytarz wprawdzie nadal był pusty, ale zza zakrętu koło windy dobiegał znajomy, gładki głos:

- Co tu robisz, kotku? Zgubiłeś się? Tak, wiem, potrzebujesz pieśczoty. Jesteś ślicznym kotkiem, dlatego cię pogłaszczę...

Gillian zamknęła cicho drzwi i podbiegła do Cleve'a, który stał z teczką w ręku.

- To Victor! - szepnęła z paniką w głosie.
- Co on, u diabła, tu robi?
- A co to za różnica? Musimy się stąd wydostać!
- Uspokój się, nie daj się złapać. Są przecież schodki przeciwpożarowe.

Pognali do sypialni.

Cleve, z tekturową teczką w zębach, przez chwilę zmagając się z podnoszonym do góry oknem, które wreszcie z łoskotem się otworzyło. Prześlizgnął się na zewnątrz i poczekał na Gillian, która, zerknąwszy jeszcze raz na wyjściowe drzwi, dołączyła do Cleve'a.

Znalazła się na żelaznym ażurowym podeście, mając pod sobą osiem pięt. Wiatr szarpał jej spódnice, słońce niemiłosiernie prażyło. Chwyliła się gorącej poręczy.

- Może pójde pierwszy? - powiedział Cleve, wyczuwając jej niezdecydowanie.

Potrząsnęła głową i ruszyła w dół na tyle szybko, na ile pozwalały jej wysokie obcasy. Nie była odpowiednio ubrana do tak desperackiej ucieczki po zardzewiałych i trzęsących się schodach.

- Okno - przypomniała sobie nagle. - Nie zamknęliśmy go.

- To teraz już nieważne - odparł Cleve. - I tak będzie wiedział, że miał gości, kiedy odkryje zniknięcie teczek. Czy możesz iść trochę szybciej?

- Spróbuję.

Przebyli już ponad połowę drogi, kiedy obcas Gillian ugrzązł w kracie. Mocując się z nim, straciła cenne sekun-

dy, i nagle spostrzegła, że Cleve'a nie ma za jej plecami. Spojrzała w górę. Był o piętro wyżej, zwiisał prawie na poręczy, twarz miał wykrzywioną z bólu.

- Co się stało?

Nie odpowiedział, zdawał się jej nie słyszeć. Ruszyła ku niemu, gdy nagle stracił równowagę. Teczka wyslizgnęła mu się z ręki, a jej zawartość porwał wiatr. Cleve na moment zwiisał w powietrzu, a potem powoli zaczął spadać.

Kot znów otarł się o jego nogi, domagając się dalszych pieszczot, lecz odtrącił go.

- Ty nienasycona bestio, wystarczy na dziś. Idź swoją drogą.

Victor lubił koty. Były o wiele łatwiejsze w obcowaniu niż ludzie, choć oczywiście najlepsze były psy, bo można je wytresować, dzięki czemu zdobywa się nad nimi absolutną władzę. A on to bardzo cenił.

Kot szedł za nim, gdy ruszył w stronę swego mieszkania, lecz Victor nie był już w towarzyskim nastroju.

To był długi, satysfakcjonujący dzień, ale bardzo męczący. Odczuł wielką ulgę, gdy skończyło się prywatne przyjęcie, które obsługiwał. Ponieważ nie był już potrzebny w hotelu, pozwolono mu wyjść wcześniej. Teraz marzył, by wyciągnąć się w wygodnym fotelu i napawać efektami tego ranka.

Wszystko idzie zgodnie z planem, pomyślał, podchodząc do drzwi i wsadzając klucz w zamek. Wkrótce...

Nie dokończył tej myśli, bo dokonał wstrząsającego odkrycia. Drzwi były otwarte, a z całą pewnością wychodząc, zamknął je na klucz!

Przez chwilę nasłuchiwał, lecz dobiegło go jedynie mruczenie kota. Tupnął nogą i mądre zwierzę uciekło.

Otworzył drzwi do salonu i natychmiast zauważył zniknięcie teczki-aktówki. Tak bardzo spieszył się rano, że po raz pierwszy nie wziął jej ze sobą. To był duży błąd.

Nagle poczuł przeciąg. Rozejrzał się wokół i wpadł do sypialni. Okno było otwarte!

Ogarnięty wściekłością, wyrzwał na zewnątrz. Byli na schodkach przeciwpożarowych, wyraźnie słyszał tupot ich nóg.

Szybko wydostał się na zewnątrz i wychylił się z podestu. Gillian i ten godny pogardy detektyw byli pięć pięter niżej.

Gdy ujrzał aktówkę w ręku McBride'a, ogarnęła go jeszcze większa wściekłość. Wiedział, że wycinki mogły być niebezpiecznym dowodem przeciwko niemu. Nie wolno mu do tego dopuścić, lecz ma niewielkie szanse, by dopaść tych drani. Musi jednak spróbować.

Gdy zaczął schodzić w dół, nagle ujrzał, jak McBride gwałtownie się zatrzymał i schwycił poręcz. Victor stanął i patrzył.

Ucieszył się, gdy prywatny detektyw stracił zawartość aktówki. Silny wiatr porwał wycinki i poniósł nad rzekę. Nic się nie uratowało.

Victor był zadowolony. Teczka spełniła więc swoje zadanie i już jej nie potrzebował, a w mieszkaniu nie było nic więcej do odkrycia.

Jeśli zaś chodzi o McBride'a... Cóż, najwyraźniej detektyw cierpiał na jakąś odmianę apopleksji. Miał już upaść, gdy Gillian z okrzykiem przerażenia rzuciła się, by go

złapać. Udało się jej utrzymać jego bezwładne ciało w kurczowych objęciach. Musiało ją to kosztować mnóstwo wysiłku.

Potem McBride stanął na nogi. Był oszołomiony, ale mógł znów funkcjonować. Dał się prowadzić w dół. Przystanęli na następnym podejściu i Gillian spojrzała w górę. Victorowi sprawił radość jej przestrasz, gdy ujrzała jego wykrzywioną w okrutnym grymasie twarz.

Zastanawiał się, czy Gillian zrozumiała, co chciał jej przekazać w tej krótkiej chwili, kiedy ich spojrzenia się spotkały: „Jesteś wciąż na wolności, lecz tylko dlatego, że ja tak chcę. Nadejdzie jednak czas, gdy cię wsadzą za kratki, jak ty zrobiłaś to ze mną. Dopiero potem ostatecznie cię wykończę”.

Victor nie próbował ich zatrzymać. Nie było teraz takiej potrzeby. Czekał, dopóki nie skryli się w cieniu wąskiej alejki, a potem się wycofał.

Wróciwszy do swego mieszkania, pomyślał o dziwnym ataku McBride'a. Czyżby był chory? Nagle przypomniał sobie rozmowę, którą podsłuchał, gdy był na szczycie ciepłarni. Czyżby tego ranka McBride miał podobny atak?

Victor musiał wyeliminować ochroniarza Gillian, stanowiąc bowiem jedyną poważną przeszkodę w jego planach. Gdyby udało się wykorzystać jego słabość...

Na to jednak trudno było liczyć. Chociaż mógłby w pewien dość ryzykowny sposób usunąć detektywa z drogi na dostatecznie długi czas, by bez przeszkód zrobić następny krok.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gillian nigdy wcześniej nie widziała Cleve'a w takiej sytuacji. Był zupełnie bezbronny.

- Co się stało? - spytała, kiedy wreszcie ocknął się w jej ramionach.

Nie chciał odpowiedzieć i tylko mruknął:

- Chodźmy stąd.

- Jesteś pewien, że powinieneś...

- Pomożesz mi zejść, czy mam się czołgać?

Ruszyli w dół. Cleve nie wiedział, że Victor obserwował ich z góry, bo Gillian nie pisnęła o tym ani słowa.

Znajdowali się teraz w alejce, kierując się w stronę ulicy, gdzie był zaparkowany samochód.

Gillian zerknęła na Cleve'a, który włókł się obok niej. Wyglądał okropnie, a przy tym widać było, że zadreślał się swoją klęską.

Natomiast ona była przerażona. Gdy Cleve znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zrozumiała, że jest w nim zakochana. Tak więc okazało się, że przez te wszystkie lata, które minęły od owego cudownego spotkania, w jej uczuciach nic się nie zmieniło... A przecież nie mieli przed sobą żadnej przyszłości!

Jednak kochała go, tym razem głęboko i nieodparcie. Było to wstrząsające odkrycie.



- Już niedaleko - pokrzepiła go, gdy znaleźli się na chodniku pod hotelem.

Tylko skinął głową.

Kiedy dotarli do samochodu, Gillian puściła Cleve'a z uścisku, żeby znaleźć kluczyki w torebce, a on ciężko oparł się o samochód. Po chwili bez protestu zajął miejsce dla pasażera.

- Chwilę posiedzę, i wszystko będzie dobrze.

Gillian usiadła za kierownicą i z kieszeni na drzwiach wyjęła plan Chicago.

- Co robisz? - zapytał.

- Szukam najbliższego punktu pogotowia. A może lepiej wezwać karetkę?

- Czyś ty zwariowała? - Wyrwał jej plan z ręki. - Nie potrzebuję lekarza.

Miał już silniejszy głos. Podniosło ją to na duchu, ale wciąż była głęboko zatroskana.

- Cleve, ty zemdlałeś. Coś jest nie w porządku.

- Zwyczajna migrena. Przestań na mnie tak patrzeć, mówię ci, że wszystko będzie dobrze. Po prostu potrzebuję chwili spokoju.

Jego niedbały, pewny siebie ton...

- To już zdarzyło się wcześniej, prawda?

Nie odpowiedział, tylko odchylił głowę i zamknął oczy.

- Jak często, Cleve? Od kiedy? - nalegała.

Wciąż uparcie milczał.

- Tego ranka w cieplarni. Wtedy także ci się to przytrafiło, prawda? To dlatego nie poszedłeś ze mną na samą górę. To było do ciebie zupełnie niepodobne.

- Przestań mi już zwracać głowę - warknął. - A jeśli

koniecznie chcesz być dobrą niańką, to włącz klimatyzację. Jest duszno. - Gdy owiał go strumień chłodzonego powietrza, dodał: - Teraz lepiej. Wracajmy do domu. Mam nadzieję, że nie rozbijesz samochodu. Zawsze prowadziłaś lekko, a ruch w Chicago jest zabójczy.

- Cleve, czy nie sądzisz...

- Jedź już.

Nie chciał o tym rozmawiać. Jak się domyślała, był wściekły nie tylko dlatego, że zemdłał, ale przede wszystkim dlatego, że ona to widziała. Czuł się upokorzony. Cleveland McBride nie powinien okazywać słabości. Jego głupia męska duma nie mogła się z tym pogodzić.

Podoba ci się czy nie, obiecała mu w duchu, ale po powrocie do domu porozmawiamy o tym.

- Czy coś cię boli?

- Nie. Czy możesz już przestać? - warknął i natychmiast zmienił temat: - Czy widziałas za nami Lassitera?

- Tak, był na schodach przeciwpożarowych.

- Pewnie widział, że zgubiłem te cholerne wycinki.

- Obawiam się, że tak.

- Niech to diabli!

Zamilkł, dręczony poczuciem winy. Za pomocą zawartości aktówki można było udowodnić, że Victor miał powód, by zabić Reardona. A bez niej... No cóż, niezależnie od tego, jaki będzie jego kolejny krok, mogli tylko czekać.

Gdy Gillian parkowała samochód przed swoim domem, Cleve, teraz już w pełni formy, zauważył porucznika Butcha Costello.

- Czeka na nas komitet powitalny - mruknął.

Porucznik z ponurą miną podszedł do nich.

- Macie państwo kłopoty - warknął.

Gillian przygotowana była na najgorsze. Jednak ku swemu kompletnemu zdumieniu stwierdziła, że Costello zwraca się do Cleve'a.

- Do licha, zapomniałem wykupić bilet na parking.

- Niech pan się nie wygłupia, McBride. Mówiłem, żeby się pan nie wtrącał do dochodzenia.

- Ma pan jakiś dowód?

- A skarga na włamanie? Czy to wystarczy? Pół godziny temu złożyła ją Victor Lassiter. Byłeś tam, w jego mieszkaniu, prawda, McBride? Przeszukiwałeś jego rzeczy.

Victor oskarża tylko Cleve'a, pomyślała zdumiona Gillian, a przecież widział nas oboje. Zanim zdążyła zaprotestować, Cleve trącił ją stopą, by milczała.

- Wie pan dobrze, poruczniku, że z tego nie można zrobić oskarżenia. Trzeba zostać przyłapanym na gorącym uczynku.

- Nie bądź taki cwany.

- Po prostu bronię swoich praw. Lassiter kłamie. Nie byłem nawet w pobliżu jego miejsca zamieszkania.

Costello zmierzył go wściekłym wzrokiem.

- - Ostatni raz cię ostrzegam, McBride. Jeśli jeszcze raz się wtrącisz w moje dochodzenie, załatwię cię.

Nie odezwał się ani słowem do Gillian, ale spojrzenie rzucone w jej stronę obiecywało same kłopoty.

Porucznik odwrócił się i ruszył z powrotem do swojego wozu. Cleve, patrząc w ślad za nim, mruknął:

- Lassiter nasłał na mnie gliny. Domyślasz się, dlaczego?

- Chyba tak. Miał nadzieję, że cię aresztują i zejdiesz mu z drogi, ale jeszcze nie chce, by mnie zamknięto. To dlatego nic nie wspomniał o mnie w swojej skardze. Chce mnie jeszcze podręczyć.

- Tak, ale niepokoi go, że ci pomagam. I to już jest postęp, Gillian.

Puściła jego słowa mimo uszu, bo w tej chwili obchodził ją tylko stan zdrowia Cleve'a. Musi dowiedzieć się prawdy.

Ledwie weszli do mieszkania, natychmiast przystąpiła do działania.

- Powinieneś się położyć.

- To zalecenie medyczne, czy propozycja?

- Przestań sobie żartować.

- Dobrze, jeśli ty przestaniesz traktować mnie jak inwalidę. Poza tym - przykucnął, by przywitać się z labradorem - muszę wyprowadzić Mike'a na podwórkę.

- Ja się tym zajmę. Skoro nie chcesz się położyć, to chociaż wygodnie sobie usiądź i odpoczywaj - powiedziała z troską w głosie.

Rzucił jej złe spojrzenie, lecz ona je zignorowała i szybko wyszła z psem. Wiedziała, że sąsiad, zgodnie z umową, wyprowadził już Mike'a, ale po pierwsze żał jej było psa, który przywykł do północnych lasów i na pewno męczył się w zamknięciu, a po drugie chciała, by Cleve trochę skruszał. Gdy Gillian wróci, natychmiast przystąpi do przesłuchania i dowie się wszystkiego o jego chorobie.

Gdy weszła do salonu, Cleve oczywiście nie siedział wygodnie w fotelu, tylko stał przy stole i udawał, że przegląda kolekcję pamiątek drużyny Szczeniaków.

- Już postanowiłam - poinformowała go stanowczo.
- Pójdiesz do lekarza.

Gwizdnął cicho, wpatrując się w fotografię legendarnego Ernie Banksa.

- Cleve, mówię do ciebie. Nie dam ci spokoju, dopóki tego nie zrobisz. Tym razem mi się nie wymkniesz.

Podniósł podpisaną piłkę baseballową, podrzucił w górę parę razy, potem odłożył na miejsce.

- Czy tak właśnie mówisz na rozprawie do świadka?
- Mniej więcej.

Nagle się zgarbił, jakby przygniótł go wielki ciężar.

- Byłem u wielu lekarzy. Zrobili mi wszystkie możliwe badania, wypytywali na wszystkie sposoby. I wiesz, co znaleźli?

- Co?

- Nic. Jestem zdrow jak ryba, tylko nieraz miewam ataki. Zaczynają się nagłym, porażającym bólem głowy. Czasami, jak w cieplarni, na tym się kończy, a kiedy indziej, jak na tych schodach, tracę przytomność. - Zaśmiał się gorzko. - Jestem wielką zagadką dla medycyny, Gillian.

Był wściekły z powodu swojej dolegliwości, nie zgadzał się na nią, wstydził się bezradności, i dlatego, w efekcie, lekceważył swoje zdrowie. Gillian wiedziała, że mężczyźni największe głupoty popełniają z powodu śmiesznej samczej dumy. Jak pomóc Cleve'owi? - zastanawiała się.

- Jednak musi być jakaś przyczyna, jeśli nie fizyczna, to psychiczna...

- Przechodziłem też badania psychiatryczne.

- I co?

Wzruszył ramionami.

- Powiedziano mi tylko, że ataki wywoływane są przez stres. Czyli tyle, co nic.

- Może się mylę, Cleve, ale jest tu jakaś prawidłowość. Te wszystkie miejsca, w których ci się to przydarzyło, były położone wysoko.

Potrząsnął głową.

- To nie ma żadnego związku. Nie mam i nigdy nie miałem lęku wysokości. Nie cierpię na zawroty głowy. Wierz mi, to było też brane pod uwagę. Poza tym ataki zdarzały się również w innych miejscach.

Gillian pomyślała, że być może sprawa naprawdę jest beznadziejna. Ogarnął ją głęboki smutek.

- Czy zastosowano jakąś kurację?

- Jasne. Wszyscy mówili, że powinienem zrezygnować z pracy detektywa, wyjechać z miasta, unikać stresów... . Lecz moja praca była dla mnie wszystkim, dlatego ignorowałem te rady, dopóki ten dzieciak omal nie stracił przeze mnie życia. Wtedy stwierdziłem, że nie mogę narażać innych. Tak więc w końcu...

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Zamknąłeś biuro i pojechałeś na północ. Cleve, dlaczego mi tego wszystkiego nie powiedziałaś, gdy przyjechałam do ciebie?

Nie odpowiedział, tylko zaczął nerwowo przechadzać się po salonie.

- Oczywiście nie musisz mi odpowiadać, sama znam odpowiedź. Taki twardy facet nie chciał mówić kobiecie o swojej chorobie, bo to okropny wstyd. Mogłabym uznać,

że jesteś słaby i już się do niczego nie nadajesz, albo, co gorsza, mogłabym zacząć ci współczuć. Udawałeś więc łąjdaka, wolałeś, bym tak o tobie pomyślała, niż przyznać się do tak niemęskiej słabości...

- No dobrze - warknął. - Powiedziałaś już swoje.
- A jednak przyjechałeś do Chicago i mi pomagasz.

Dlaczego?

- Ponieważ - powiedział po długiej chwili milczenia - zdarzyła się okazja, bym spróbował przezwyciężyć coś, czego nienawidzę.

- To wszystko?

- Taa... - Nie powiedział całej prawdy. Głównym powodem było to, że Gillian desperacko go potrzebowała.

- Dlaczego sądzisz, że tym razem poradzisz sobie z tym problemem?

- Wydawało mi się, że się z tego wygrzebałem.

Gillian nie chciała być okrutna, ale musiała to powiedzieć:

- Ale się nie wygrzebałeś.

- Czy znów będziemy o tym dyskutować?

- Owszem, będziemy. Nie mogę ci pozwolić dłużej pracować. To dla ciebie zbyt niebezpieczne.

Odsunął się od okna, jego rysy stężyły z gniewu.

- Czy ty mnie w ogóle słuchałaś? To tylko migreny i krótkie omdlenia, nic więcej. Zawsze szybko z tego wychodzę.

- Cleve, podczas tych krótkich omdleń możesz się zranić albo zabić.

- Jestem głupcem, że ci o tym powiedziałem. Powinienem był przewidzieć twoją reakcję.

- Bo jestem osobą odpowiedzialną. Przykro mi, Cleve, ale muszę rozwiązać naszą umowę. Podaj mi wysokość swoich wydatków i honorarium, a wypiszę ci czek.

- Zwalniasz mnie?

- Tak.

- Okay, więc już u ciebie nie pracuję, ale to niczego nie zmienia, bo nie uda ci się powstrzymać mnie przed śledzeniem Lassitera na własną rękę. Nie spocznę, póki nie przekonam gliniarzy, że to on zamordował Reardona, a ty nic na to nie poradzisz.

Jego rysy znów stwardniały.

- Dlaczego? - zapytała. - Dla zaspokojenia dumy? Dla udowodnienia sobie, co potrafisz?

Jego brązowe oczy nagle złagodniały, stały się wręcz czułe. To zupełnie ją rozbroiło.

- Dobrze wiesz, dlaczego - odparł ochrypłym głosem.

Nie wziął jej w ramiona. Nie dotknął jej nawet. Nie musiał tego robić. Tylko jednego w tej chwili pragnęła, a on to wyczuł. Ich usta odnalazły się w powolnym, miękkim pocałunku. Gillian na chwilę przeniosła się w rajską krainę, a gdy już odsunęli się od siebie, zrozumiała, jak bardzo przy tym mężczyźnie czuje się bezbronna, a zarazem bezpieczna.

- Dobrze - szepnęła - zwyciężyłeś. - Ale pod jednym warunkiem.

- Czy mogę protestować?

- Pewnie tak, ale to i tak na nic się nie zda. Mam zamiar spełnić żądanie mojej firmy. Zawieszę swoją praktykę adwokacką, dopóki Victor nie znajdzie się za kratkami.



- Jak zamierzasz wykorzystać ten urlop?
- Będę chodzić za tobą krok w krok.
- Aha, rozumiem - rzekł oschle. - Gdy stracę przytomność, będziesz mnie łąpać.
- Tak, i na nic się zdadzą twoje protesty.
- A jeśli się nie zgodzę?
- Wtedy pomogę porucznikowi Costello wsadzić cię za kratki, oczywiście tylko dla twojego dobra. - Uśmiechnęła się słodko.
- Mam absolutną pewność, że byłabyś do tego zdolna. Jest tylko jedna rzecz.
- Jaka?
- Nie zamierzam mieć więcej żadnych ataków. To nie twoja zasługa, bo wszystko zależy od siły woli. A jak się wszystko już skończy, to...
- To co?
- Wrócę do swojej głuszy. To jedyna rozsądna rzecz, prawda?
- Dlaczego tak jej przykro słuchać tych słów?
- Jeśli takie życie ci odpowiada.
- Wiesz dobrze, że nie, ale pewnie będę musiał. Zresztą, w jakiś sposób czułem się tam dobrze. Potrafię odnaleźć piękno w samotnym życiu, to tylko kwestia czasu i przemyśleń.
- Nawet jeśli lekarze nie potrafili wymyślić ci innej kuracji, to jeszcze nie znaczy, że wszystko stracone.
- Znasz jakieś wyjście? Chętnie posłucham.
- Może i znam. Czy proponowano ci hipnozę?
- Owszem, było to rozważane, ale nie zalecane.
- Dlaczego?

- Nie wiem, nie pamiętam. Co za różnica? Przecież nie chodzi o pozbycie się jakiegoś nałogu.

- To nie jest jedyny cel hipnozy. Ludzie pod jej wpływem odkrywają w sobie rzeczy, które zostały usunięte do podświadomości.

- Wiem o tym. Dzięki temu można się pozbyć różnych psychicznych blokad. Tylko że ja niczego nie ukrywam w podświadomości. - Wyraźnie się zaniepokoił, a nawet zdenerwował. - A ty skąd tak dużo wiesz o hipnozie?

- Moją konsultantką jest hipnotyzerka, która osiąga zdumiewające wyniki. Wiele o tym rozmawialiśmy. Cleve - nalegała - spotkaj się z nią i posłuchaj, co ci powie.

- Zastanowię się.

- Dam ci jej adres. - Podeszła do biurka pod oknem.

- Czy musi być zaraz?

- Tak. - Podniosła pokrywę biurka. - Muszę znaleźć jej wizytówkę.

- Gillian...

- Poszukam w sypialni.

Wyszła z salonu. Cleve nie protestował, bo nie miał serca jej mówić, że nie wierzy w terapię hipnozą, bo już jej bezskutecznie próbował.

Mike zaczął drapać w drzwi, żeby go wpuścić. Cleve poszedł do kuchni i otworzył drzwi. Pies towarzyszył mu w drodze do salonu i skomleniem domagał się uwagi, lecz Cleve był zbyt zmęczony, by się z nim bawić.

Znów zaczął się obwiniać o utratę aktówki. Teraz Lasserter może się czuć bezpieczny. Wciąż trzeba szukać broni. Gdzie ten łajdak ją ukrył?

Pies wciąż dopominał się o uwagę, krążąc wokół jego nóg, podczas gdy Cleve chodził po pokoju.

- Nie patrz tak na mnie. Wiem, że ostatnio cię zaniedbuję. No dobrze, pójdziemy się pobawić na podwórko... co się stało, Mike?

Pies znieruchomiał i wlepił swe czujne ślepia we frontowe drzwi. Warkot rósł w jego gardle. Cleve usłyszał teraz cichy chrzęst klucza wkładanego w zamek. Ktoś próbuje wejść! Właściciel? Nie, on by najpierw zapukał.

Lassiter, pomyślał Cleve, czyżby to był Lassiter?

Szybko wydobył broń i przywarł do ściany obok drzwi. Mike, wciąż cicho warcząc, wycofał się w głąb pokoju.

Cleve czekał w napięciu, gdy szcęknął zamek. Upłynęło kilka pełnych grozy chwil, a potem drzwi powoli się otworzyły. Jakaś postać weszła do środka.

Jednak nie był to Lassiter, lecz co najwyżej dwunastoletnia dziewczynka. Gdy ujrzała Cleve'a z coltem w rękę, krzyknęła ze strachu, a Mike zaczął zapamiętane szczekać.

Zaalarmowana Gillian pojawiła się w salonie. Przebiegła przez pokój i chwyciła małą w ramiona.

- Wszystko w porządku, kochanie. Nikt ci nie zrobi krzywdy. To przyjaciel.

Dziewczynka przywarła do niej i powoli się uspokajała. Cleve patrzył na nie ze zdumieniem. O co chodzi?

- Cleve, odłóż broń. Przestraszyłeś ją.

Szybko schował colta do kabury, natomiast Mike przestał warczeć, usiadł na zadzie i z zainteresowaniem przyglądał się małej.

Po chwili dziewczynka podniosła głowę, ukrytą na

piersi Gillian, a gdy upewniła się, że broń znikła, natychmiast ze złością zaatakowała Cleve'a:

- Kim pan jest?
- Cleveland McBride. A ty?
- Sara Randolph.

Zaszokowany, zaczerpnął głęboko tchu. Córka Gillian? Czy to możliwe?

Sara chciała wyjaśnić.

- Co tu się dzieje? Dlaczego on ma broń?

Gillian, wciąż obejmując małą ramieniem, odparta:

- Pan McBride jest prywatnym detektywem i pomaga mi w mojej pracy. Nie ma się czego bać.

Dziewczynka nie wyglądała na przekonaną, lecz Gillian szybko zmieniła temat:

- Saro, co ty tu robisz? Jak mogłaś...
- Pozwoliłaś mi tak postąpić, jeśli będę musiała.

Podniosła w górę klucz, którym się posłużyła.

- Ale tylko w nagłym wypadku. Czy coś się stało?  
 - Martwiłam się. Nie odwiedzałaś mnie ani nie dzwoniłaś od wielu dni. A kiedy ja dzwoniłam, nikt nie odbierał. Nawet automatyczna sekretarka. Sądziłam, że coś się stało.

- Czyżbym wyłączyła automatyczną sekretarkę? Jestem ostatnio roztargniona, to znaczy bardzo zajęta. Dlatego cię nie odwiedzałam ani nie dzwoniłam. Przepraszam, obiecuję, że się poprawię.

- Martwiłam się o ciebie.

Siedziały obok siebie na sofie, objęte. Widać było, że łączą je głębokie uczucie. Przyglądając się uważnie dziewczynce, zastanawiał się, co mają jeszcze wspólnego. Delikatna buzia w obramowaniu prostych, brązowych włosów.

Szczupła dziewczęca figura. Czy tak mogła wyglądać Gillian w jej wieku?

Teraz on pragnął wyjaśnień. I to wielu.

Jakby wyczuwając tę potrzebę, Gillian spojrzała mu w oczy ponad schyloną główką dziewczynki. Potrząsnęła głową i przekazała mu miną: „Później”. Nie miał wyboru, musi czekać. Gillian wciąż niepokoiła się o małą.

- Jak się tu dostałaś z Lake Forest? - spytała. - Sara mieszka na stacji w Akademii Najświętszej Oblubienicy - wyjaśniła Cleve'owi.

- To proste. Pociągiem do Evanston, a potem metrem.

- Sama? Och, Saro, to niedobrze. A co ze szkołą? Nie wiedzą o twoim wyjeździe, prawda?

Mała wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam Shannon. Nikt się nie będzie o mnie martwił.

- Czyli swojej najbliższej przyjaciółce. To się przecież nie liczy.

- Gdybym powiedziała komuś z personelu, nie puściliby mnie. Poza tym są wakacje, więc nie ma lekcji. Nie gniewaj się na mnie, Gillian. Naprawdę musiałam cię zobaczyć.

- Doceniam to, kochanie, ale w szkole pewnie się zamartwiają. Muszę zaraz do nich zadzwonić i powiedzieć, że jesteś bezpieczna. Obiecuj mi, że już nigdy więcej tego nie zrobisz.

Podczas gdy Gillian telefonowała do szkoły, labrador podszedł do sofy, by się przywitać z Sarą.

- Jak się nazywa? - zapytała, gotowa wybaczyc Cle-

ve'owi, że tak ją wystraszył. Pochyliła się, by pogłaskać psa.

- Mike - odparł. - Jeśli się z nim pobawisz na podwórku, zostanie twoim przyjacielem do końca życia.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Czy mogę? Pewnie Gillian się nie zgodzi, tylko zaraz odwiezie mnie do szkoły.

- Zobaczymy, co się da zrobić w tej sprawie.

- Naprawdę?

Szeroki uśmiech Sary zmienił się w zachwyt. Cleve czuł, że zdobył sobie jej serce.

Gillian i Cleve siedzieli ramię w ramię na dolnym schodku. Rozmawiali ściszymi głosami, patrząc na Sarę, która dokazywała z psem w ogródku.

- Czy to prawda, co jej powiedziałaś o automatycznej sekretarce? - zapytał Cleve.

Potrząsnęła głową.

- Nie, zrobiłam to celowo. Obawiałam się, że Victor mógłby się jakoś dostać do mieszkania i wysłuchać nagrania od Sary.

- Nie chcesz, żeby się dowiedziało o jej istnieniu. Dla mnie też miało być to tajemnicą - dodał, nie mogąc opanować gniewu. - Czułem, że coś przede mną ukrywasz. Dlaczego, Gillian? Dlaczego mnie okłamywałaś?

- Mam swoje powody.

Nie patrzyła na niego. Obserwowała dziewczynkę, która na trawie radośnie szamotała się z psem.

- Z jakiego powodu ukrywasz, że masz córkę? Dlaczego Sara przebywa w szkole z internatem, a nie z tobą?

Dlaczego sama jej nie wychowujesz, tylko robią to obcy ludzie?

- Sara nie jest moją córką. Dlaczego tak...
- Przecież nazywa się Randolph.
- Jestem tylko jej opiekunką, a Randolph to panieńskie nazwisko jej matki. Podobnie jak ja po rozstaniu z Alaniem, też przestała używać nazwiska męża.
- Czy dobrze się domyślam?
- Tak. Sara jest córką Molly. Urodziła ją, kiedy pomagałam jej uciec z domu. Opuszczając Victora, była w ciąży.
- Czy ma to związek z zabójstwem?
- Nie, nigdy się nie dowiedział, że Molly spodziewała się dziecka.
- Ale jeśli on jest ojcem dziewczynki...
- Nie jest.
- A więc kto? Mężczyzna, dla którego chciała się rozwieść z Lassiterem?
- Nie, poznała go już po urodzeniu Sary. Nie wiem, kto jest jej ojcem. Molly powiedziała mi tylko, że był dla niej czuły, kiedy tak bardzo potrzebowała czułości. Sądzę, że był żonaty, a ich związek nie miał żadnej przyszłości. Kimkolwiek jednak był, Molly nie powiedziała mu o istnieniu Sary.
- Ani Lassiterowi.
- I niech tak już zostanie - powiedziała dobitnie. - Drzę na samą myśl, co ten potwór mógłby zrobić, gdyby się dowiedział, że Molly zostawiła dziecko.
- To był powód, dla którego twoja kuzynka wreszcie odważyła się opuścić Lassitera.
- Tak.

- Uciekła od Victora i zatarła za sobą ślady. Jak rozumie, kontaktowała się tylko z tobą.

- Musiała na kogoś liczyć. Obiecałam jej zachować tajemnicę i zająć się jej córeczką, gdyby Molly coś się stało. Załatwiłyśmy to od strony prawnej, gdy tylko Sara się urodziła.

- A więc to jest prawdziwy powód - wywnioskował Cleve - dla którego silna i pewna siebie kobieta zadaje sobie wiele trudu, aby wynająć najlepszego prywatnego detektywa.

- Byłam zdesperowana. Muszę żyć i być na wolności, bo Sara potrzebuje opieki i kogoś, kto będzie płacił jej rachunki. Jedyne, co mam, to moje zarobki. Mój ojciec dokonał pewnych niekorzystnych inwestycji i wszystko, co po nim zostało, odziedziczyła moja matka, która miała poważne kłopoty finansowe. Natomiast edukacja Sary jest bardzo kosztowna.

- Czy musi być taka?

- Tak. Sara wymaga specjalnego traktowania i szkoła to uwzględni. To jednak dużo kosztuje.

- Czyżby miała kłopoty w nauce?

- Nic poważnego, ale bez dodatkowej pomocy nie poradziłaby sobie w Akademii Najświętszej Oblubienicy. Sara jest zdrową, kochaną jedenastolatką, którą chciałabym mieć przy sobie, ale się nie odważę, bo Chicago jest zbyt niebezpieczne dla takich delikatnych istot. Już to, że mieszka w Akademii, a więc blisko miasta, napawa mnie lękiem, ale nie chciałam, by przebywała zbyt daleko ode mnie, bo pragnę odwiedzać ją jak najczęściej.



- Okay - burknął Cleve - jesteś dla niej wszystkim. Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego mi nie zaufałaś.

- To nie jest moja tajemnica, lecz Molly, i nie miałam prawa jej wyjawiać.

- Molly nie żyje, Gillian. Jej nie ma, a ty przyszedłaś do mnie po pomoc. Teraz, jak się okazuje, to jej córka potrzebuje ochrony, tylko że mi nikt o niej nie powiedział.

- Zachowujesz się nie fair.

- Gillian, źle stawiasz sprawę, tu nie chodzi o dobre maniery, tylko o to, że jestem zawodowcem. Jako prawnik powinnaś znać wagę tego zatajenia. Prywatny detektyw ma prawo wiedzieć wszystko, co dotyczy sprawy, bo każdy szczegół ma znaczenie.

- Czy to nie obowiązuje obu stron? - spytała spokojnie.

No cóż, miała rację, przecież ukrył przed nią swoją chorobę. To nie było profesjonalne zachowanie.

- Przepraszam... - mruknął niechętnie.

- Cleve, jeśli chodzi o Sarę...

Obserwował dziewczynkę biegnącą z Mikiem po podwórku, śmiejącą się z psich figłów. Widok ten poruszył go głęboko. Absolutnie nie mógł odmówić Gillian.

- Nie martw się - powiedział. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby chronić małą.

I ciebie też, dodał w duchu. Gdzie, u diabła, Lassiter schował rewolwer? - pomyślał ze wściekłością.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cleve swoim zwyczajem brawurowo przemykał między samochodami, lecz Gillian była zbyt zmęczona, by się denerwować. To najdłuższy dzień w jej życiu i prawdopodobnie najgorszy.

Jedyną jasną stroną była obecność Sary, pomyślała. Niestety, musiała dziewczynkę odwiedzić z powrotem do szkoły. I Cleve, dodała, gdy przypomniała sobie, w jak miły i czuły sposób odnosił się do małej.

Przekomarzali się jak starzy kumple, jadąc na północ w kierunku Lake Forest, wzajemnie wypominając sobie brak gustu w tak ważnej dziedzinie, jak muzyka rockowa.

- A kto to taki, ten cały, jak mu tam, Bruce Springsteen? - zapytała niewinnie Sara, na co Cleve się oburzył, że mała nie słyszała nigdy o jego ulubieńcu.

Teraz w samochodzie panowała jednak cisza. Cleve już nic nie mówił i miał ponurą minę.

- Cleve, możesz mi powiedzieć?

- O co chodzi? - burknął.

- Co ci Sara szeptała na ucho, gdy ścisłała cię na pożegnanie?

- A więc zauważyłaś. - Kiwnął głową. - Powiedziałem jej, że ci pomagam w pewnej sprawie. Mała domyśla

się, że masz jakieś kłopoty. Chciała się upewnić, że cały czas będę przy tobie.

Gillian czuła, że dławi ją w gardle.

Cleve znowu zapadł w milczenie. Kilka minut później zatrzymał samochód na skarpie wznoszącej się nad brzegiem jeziora.

Gillian wyczuła jego podniecenie.

- Odchodziłem od zmysłów, zastanawiając się, gdzie Lassiter mógł schować broń. Wiemy, że nie trzyma jej w mieszkaniu. Może w swojej szafce w hotelu? Nie, to z pewnością nazbyt ryzykowne. Gdzie ta broń byłaby bezpieczna?

- Domyśliłeś się?

- Tak mi się zdaje.

- A więc gdzie?

- Na Przystani Marynarki Wojennej, a ściślej, w teatrze marionetek. Mówiłaś mi, że Lassiter nim zarządzał, zanim poszedł siedzieć.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- Ależ to było wieki temu i przystań jest teraz restaurowana.

- Cała?

- Nie, tylko fragmenty.

- Gillian, mam dobre przecucia. Sądzę, że teatr wciąż tam stoi i jeśli go przeszukamy, znajdziemy broń.

Ciężko jej było go rozczarować, ale trzeba było stawić czoło rzeczywistości.

- Cleve, nawet gdyby to była prawda i Victor miał jeszcze klucz do teatru...

- Sugerujesz, że szkoda naszego trudu?

- To nic nie da, skoro broń, z której zabito Reardona, jest moja. To tylko pogorszy całą sprawę.

- Zapomniałaś, co chcemy udowodnić. Że Lassiter zachował broń i że to on jej użył. Może uda nam się przekonać porucznika, by wreszcie kazał go śledzić, bo wcześniej czy później Victor będzie chciał wykorzystać twój rewolwer przeciwko tobie. Poza tym może znajdziemy coś jeszcze, nigdy nic nie wiadomo.

- Pewnie masz rację.

- Gillian, nie możemy niczego zaniedbać. Tego się nauczyłem w mojej pracy.

- Proponujesz, żebyśmy poszli tam dziś w nocy? - spytała.

- Raczej jutro.

- Dobrze, ale rano skontaktuję się z moją kancelarią, by powiadomić o swojej decyzji oraz przekazać sprawę, które prowadzę.

- W tym czasie obejrzę przystań i poszukam jakiegoś sposobu, by dostać się do teatru. Dowiem się też, w jakich godzinach Lassiter będzie pracować.

- Nawet nie próbuj chodzić tam sam - powiedziała szybko w obawie, że Cleve narazi się na kolejny stres. Chciała być przy nim.

- Dobrze - zgodził się z ociąganiem. - Poczekam na twój powrót.

- Złapię taksówkę i spotkamy się na przystani. Nie patrz tak na mnie, będę bezpieczna. Victornie śledzi mnie, zostawił to policji. - Zanim Cleve zdążył się sprzeciwić, wróciła do tematu, który został przerwany przez pojawienie się Sary.  
- Znajdę adres terapeutki, Cleve. Umówisz się na wizytę?

- Tak, jak tylko się upewnimy...
- Nie będziemy czekać, zadzwonię do niej jutro.
- Sam mogę to zrobić.

Wiedziała, że grał na zwłokę, ale nie zamierzała mu na to pozwolić. Jutro rano sama skontaktuje się z hipnotyzerką. Czy jednak Cleve podda się kuracji? Tego nie była pewna.

Gillian dołączyła do Cleve'a, który był już na przystani, dopiero późnym popołudniem, ponieważ przekazywanie spraw kolegom zajęło jej więcej czasu, niż sądziła.

Od swego informatora z hotelu Cleve dowiedział się, że Lassiter jest teraz w pracy. Gillian nie wspomniała, że Victor potrafi być wszędzie, skoro zaskoczył ich wczoraj w swoim mieszkaniu. Wiedziała, że ryzyko jest duże i nieuniknione.

- Czy wiesz już, jak dostaniemy się do teatru?
- Tak - odpowiedział lakonicznie.

Przystań leżała nad jeziorem Michigan, zajmowała prawie dwa kilometry brzegu. Było tu mnóstwo sklepów i restauracji, olbrzymie diabelskie młyny i pawilony rekreacyjne. W słoneczne letnie weekendy przyjeżdżało tu mnóstwo ludzi, ponieważ jednak niedawno padało, teraz było tu pusto. Panowała duchota, od nadmiaru wilgoci trudno było oddychać.

Gillian zdziwiła się, gdy Cleve zatrzymał się przed sklepem, w którym sprzedawano plakaty i koszulki z napisami.

- Zaczekaj na mnie - powiedział i zniknął w środku.
- Gdy się znów pojawił, niósł trzy plakaty zwinięte w rolkę.

- Pamiątki? - spytała.
- Może.
- Dlaczego zawsze jesteś taki tajemniczy?

Uśmiechnął się szeroko. Nie wiedział jednak, że Gillian też miała swój sekret, zamówiła wizytę u hipnotyzerki. Powie mu o tym dopiero wtedy, gdy wyjdą z teatru. Może się uda...

Wreszcie doszli do końca przystani, gdzie w podziemiach olbrzymiej trzypiętrowej hali wystawowej mieścił się teatr.

Ten fragment przystani był restaurowany, pracowało wiele ekip budowlanych, a na chodniku leżały rzędem kozły do rżnięcia drewna, barykadując przejście.

Cleve energicznie odciągnął Gillian na bok, by wyjaśnić jej sytuację.

- W teatrze nie ma żadnych robót, ale podziemia są używane jako magazyn materiałów budowlanych.
  - Nie byłeś w środku?
  - Nie musiałem. Wpadłem do jednej z tutejszych kafejek na lunch i usiadłem obok robotników. Oni lubią gadać, a ja słuchać.
  - Jak się dostaniemy do środka bez zwracania na siebie uwagi?
  - Po prostu się uśmiechaj i idź za mną.
- Pewnym krokiem zbliżył się do otwartych szeroko drzwi, Gillian dreptała za nim. Z miejsca zostali zaczepieni przez krzepkiego elektryka.
- Ta część przystani jest zamknięta dla publiczności. Cleve pomachał przed nim jednym z plakatów.
  - Niesiemy to kierownikowi.

Czy wszyscy prywatni detektywi, zastanawiała się Gillian, są tacy pomysłowi? I cyniczni?

- Nie pytajcie mnie, gdzie on się podziewa - odparł elektryk. - Sami go znajdźcie.

Nikt inny już ich nie zaczepiał.

- Tędy - wskazała Gillian. Dobrze znała to miejsce, bowiem przed laty bywała tu wielokrotnie.

Marmurowymi schodami ruszyli w dół, aż znaleźli się w wąskim foyer. Dwie pary ciężkich drzwi były otwarte i prowadziły za kulisy. Było cicho i pusto.

- Wygląda na to, że jesteśmy sami - powiedział Cleve.

O ile żaden robotnik nie wejdzie po jakiś materiał, pomyślała Gillian, idąc w ślad za nim przez labirynt rupieci, pudeł, kafli i zwojów elektrycznego kabla.

Podziemia nie miały oczywiście okien, ale ponieważ służyły za magazyn, były dobrze oświetlone. Gdy jednak Cleve otworzył drzwi wiodące na widownię, napotkali ścianę ciemności. Upuścił plakaty i wyjął z kieszeni małą latarkę.

- Poczekaj tutaj - polecił. - Pójdę poszukać jakichś świateł.

Gillian została sama. Wpatrywała się w stare, od dziesięciu lat nie używane dekoracje. Powietrze było duszne i stęchłe. Zaczął ogarniać ją niepokój.

Jednak gdy po chwili Cleve wrócił, uspokoiła się. We włosach miał pajęczyny, ale promieniał zadowoleniem.

- Możesz teraz bezpiecznie wejść.

Widownia była tak słabo oświetlona, że ledwie mogła dostrzec Cleve'a, który stał tuż obok niej.

- Wiem - usprawiedliwił się - ale tylko tyle mogłem

zrobić. Znalazłem tablicę rozdzielczą, lecz większość żarówek jest przepalona.

No cóż, od kiedy właściciel teatrzyku poszedł do więzienia, nikt nie dbał o to miejsce.

Scena dla marionetek z ruchomą platformą, za którą pracowali lalkarze, wciąż znajdowała się w środku wielkiej sceny. Kurtyna po obu jej stronach była zdjęta, ukazując mroczne kulisy. W tym, niegdyś eleganckim, teatrze panowała niesamowita cisza. Powietrze było stęchłe, jakby nikt tu nie wietrzył od lat.

- Od czego zaczynamy? - spytała Gillian, aby dodać sobie odwagi.

- Przeszukaj widownię, a ja zajmę się tym bałaganem na scenie. - Wcisnął jej do ręki latarkę. - Będzie ci potrzebna. Na scenie jest trochę widniej.

Rozdzielili się. Gillian zaczęła od pierwszych rzędów. Wszędzie był kurz, ale ani śladu rewolweru. Uważnie sprawdziła każdy fotel, cały czas drżąc, by nikt tu się nie zjawił. Poruszała się jak najciszej. Z miejsca, gdzie był Cleve, też nie dobiegał żaden szmer.

Gdy Gillian była już z tyłu widowni, plecami zwrócona do sceny, ciszę przerwał potężny głos:

- Wkroczyliście do świętego miejsca i musicie za to ponieść karę!

Odwróciła się gwałtownie, z przerażenia zaparło jej dech. Scena była oślepiająco oświetlona, a okrutny głos grzmiał:

- Nigdy stąd nie wyjdziecie! To miejsce będzie waszym grobem!

Przez moment czuła się, jakby znalazła się w koszmar-



nym śnie, szybko jednak oprzytomniała. Zrozumiała, że nagła jasność zapanowała dlatego, że rozbłyły lampy na scenie marionetek, a donośny głos był odtwarzany z magnetofonu.

- Cleve! - krzyknęła. Żadnej odpowiedzi. - Gdzie jesteś? - Cisza.

Z trudem się opanowała. Przypuszczała, że głos należał do bohatera jakiejś baśni, a magnetofon automatycznie się włączył, gdy zapalone zostały światła.

Gdzie jest jednak Cleve? Miała przeczucie, że potrzebuje jej pomocy.

Ruszyła w kierunku sceny. Gdy już się na niej znalazła, zrozumiała, że odpowiedzi Cleve'a zagłuszone były przez magnetofon, z którego dobiegał teraz głos dziewczyny, błagającej o darowanie życia.

- Gdzie jesteście?! - zawołała.

- Na dole, za ruchomą platformą. Bądź ostrożna, bo wpadniesz tak jak ja. - Po tym ostrzeżeniu rozległa się seria dosadnych przekleństw.

Rozejrzała się uważnie i dostrzegła ziejący ciemnością otwór. Była to zapadnia. Poświeciła w głąb latarką i ujrzała zadziwiający widok: jakieś cztery metry poniżej Cleve leżał na siatce.

- Jesteś ranny?

- Nie, ta siatka mnie uratowała, ale nie mogę stąd wyjść, bo zaplątałem się.

Zaczął się kręcić, czym tylko pogorszył sytuację. Nagle przestał się wiercić i podejrzliwie spojrzął na Gillian, by po chwili zapytać:

- Śmiejesz się?

- Ależ skąd - obruszyła się obłudnie, z trudem tłumiąc chichot.

Przed wszystkim cieszyła się, że nie dostał ataku, czego się obawiała, ale poza tym wyglądał naprawdę komicznie, cały zaplątany w sznurki i naburmuszony.

- Długo zamierzasz tak się zabawiać? Może jednak wyciągnęłabyś mnie z tej choleralnej pułapki? - warknął.

- Co to za cholerna dziura?!

- Zapadnia. Wiesz, magicy w niej znikają, a publika wyje z zachwytu - powiedziała ze sztuczną powagą.

- Wynika więc z tego, że zostałem magikiem. - Cleve wreszcie się uśmiechnął.

- Trzymaj się. Tu gdzieś muszą być schodki.

- Zanim je znajdziesz, wyłącz magnetofon, bo wreszcie ktoś nas usłyszy. Poszukaj przycisku, gdy spadałem, chyba go potrafiłem.

Obok otwartej zapadni Gillian znalazła małą dźwignię. Gdy ją przesunęła, zgasły światła i zapanowała cisza.

- Teraz lepiej! - zawołał Cleve z przepaści. - Pospiesz się, dobrze? Dostaję już klaustrofobii uwięziony w tym hamaku.

Gillian poszła za kulisy i znalazła tam wąskie schodki, wiodące pod scenę. Światło było tu jeszcze słabsze niż w audytorium, ale udało jej się dotrzeć do siatki, na której leżał Cleve.

- Co mam teraz zrobić? - zapytała.

- Musi być jakiś sposób, żeby opuścić siatkę na podłogę.

Rozejrzała się uważnie.

- Aha, jest. Lina od siatki jest nawinięta na krążek, a jej koniec przywiązano do kołka.

- Rozwiąż linę i opuść mnie na dół. Tylko delikatnie, proszę.

Gillian rażno zabrała się do pracy, gdy jednak odczepiła linę, miała za mało siły, by utrzymać ciężar Cleve'a. Detektyw z łoskotem runął na cementową podłogę, rozległ się przy tym dziwny trzask.

Uklęka przy nim zaniepokojona.

- Jesteś ranny? Złamałeś sobie coś?

- Wyciągnij mnie stąd, to zobaczymy.

Gdy szybko wyplątała go z sieci, Cleve z jękiem stanął na nogi.

- Teraz już wiem, jak się czuje schwytna ryba. Dzięki za ocalenie. - Z tylnej kieszeni wyjął szczątki telefonu komórkowego. - To nie moje kości, tylko on zatrzeszczał przy upadku.

- Naprawdę nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku - powiedział, dyskretnie pocierając bok.

Gillian podniosła się z klęczek.

- Nie wiem, jak ty, ale ja mam dość. Chodźmy stąd.

- Ruszyła ku wyjściu.

- Poczekaj jeszcze chwilkę.

- Po co?

- Widzisz ten kufer? Skoro już tu jesteśmy, zajrzyjmy do niego. Poświęć latarkę.

- Dobrze, ale jeśli wylecą z niego mole...

Cleve podniósł wieko i ujrzął mnóstwo maleńkich postaci. Kufer był pełen lalek, starannie zapakowanych w czysty plastik.

- On tu przechowuje swoje marionetki - wzdygnęła się Gillian. - Chodźmy, Cleve.

Było coś niesamowitego w widoku tych lalek, ułożonych warstwami, niczym ciała w zbiorowej mogile.

- Może on chowa tu nie tylko marionetki - powiedział Cleve.

Gillian niechętnie przyglądała się, jak wydobywał lalki z kufra. Nagle gwizdnął. Jakiś przedmiot, również zawinięty w plastik, leżał pomiędzy Aladynem a złym czarownikiem.

Stali przez chwilę, w milczeniu patrząc na półautomatycznego glocka.

- Twój? - upewnił się Cleve.

- Jest identyczny.

Gillian sięgnęła po broń, by sprawdzić seryjny numer, ale Cleve cofnął rękę.

- Nie dotykaj! To jest dowód i moglibyśmy zatrzeć ślady. Sprowadzę tu porucznika Costello.

Kiwnęła głową.

- Lepiej zostawmy to tak, jak było. - Pomagała mu układać lalki z powrotem w kufrze. - Miałeś rację, że właśnie tutaj Victor ukrył rewolwer. Jak myślisz, co zamierzał z nim zrobić?

- Przypuszczam, że najpierw chciał cię podreżyć. Pragnął, byś dniami i nocami zastanawiała się, kiedy ten rewolwer zostanie użyty przeciwko tobie. A gdy Lassiter by wyczuł, że już dłużej tego nie wytrzymasz, wróciłby po broń i umieścił w miejscu, do którego masz dostęp i gdzie, po anonimowej informacji, znalazłaby ją policja.

- Tak, właśnie tak działa jego chory umysł.

Ostatnia marionetka znalazła się w kufrze i Cleve właśnie opuszczał wieko, gdy usłyszeli trzaśnięcie zamykanych drzwi. Popatrzyli na siebie z trwogą, a wtedy druga para drzwi również się zatrzasnęła. Potem zapadła złowieszcza cisza.

- To w holu - szepnęła Gillian. - Nie sądzisz...
- Chodź.

Złapał ją za rękę i popędzili w górę schodami, przedarli się przez widownię i dopadli korytarza po drugiej stronie wahadłowych drzwi. Było ciemno, wszystkie światła zgasły. Obie pary zewnętrznych drzwi były zamknięte.

Słaby blask latarki pozwolił im znaleźć drogę wśród sterty materiałów budowlanych. Cleve podszedł do pierwszego wyjścia i pchnął ramieniem solidne, podwójne drzwi. Lekko się uchyliły i zagrzecotał gruby łańcuch.

- Zamknięte na kłódkę - stwierdził Cleve.

Podszedł do następnych drzwi, napał na nie ciałem i osiągnął ten sam rezultat. Zaklął pod nosem.

- Przepraszam, Gillian. Powinienem być to przewidzieć. Jeden z robotników powiedział przy lunchu swojemu szefowi, że materiały giną i jeśli złodziej nadal będzie grasował, trzeba będzie zamykać drzwi na noc.

- Przecież jest jeszcze wcześniej. - Oświetliła latarką zegarek. - Zaledwie dochodzi piąta.

- Widać dziś nie pracują zbyt długo.

- Co robimy?

- To teatr, muszą więc być wyjścia awaryjne. Chodź, poszukamy.

Niestety, wszystkie pozostałe drzwi także były zamknięte, i to najpewniej od dawna.

- Może narobimy alarmu - zasugerowała Gillian. - Nie ma znaczenia, że nas odkryją. Policja i tak się dowie, że tu weszliśmy, skoro mamy powiedzieć porucznikowi o broni.

Napierając na drzwi, Cleve zaczął wołać przez szparę. Nie było żadnej odpowiedzi.

- Cleve, oni albo już wyszli, albo są zbyt daleko, żeby nas usłyszeć. Masz przecież broń. Czy mógłbyś...

- Przestrzelić zamek? Nie, bo jest na zewnątrz.

- A więc znaleźliśmy się w pułapce.

Spojrzał na torebkę na ramieniu Gillian.

- Czy masz przy sobie telefon komórkowy?

- Jest w samochodzie.

- A twoje auto wciąż stoi na parkingu w garażu twojej firmy. Chyba będziemy musieli tu przenocować.

Nie była to, delikatnie mówiąc, zbyt kusząca perspektywa.

- Czy mamy jakiś wybór?

- Prawdę mówiąc, nie. - I dodał ze sztucznym entuzjazmem: - Wiesz, na widowni są światła i wygodne fotele, nie będzie tak źle.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Cleve, nie wracajmy tam, zostaliśmy w foyer. Na widowni jest tak niesamowicie...

- W porządku. Zobaczę, czy da się zapalić światła.

Wziął od Gillian latarkę. Baterie były prawie wyczerpane, ale zdołał odnaleźć tablicę rozdzielczą, gdzie były wyłączniki dla tej części teatru. Po chwili rozbłysły światła.

- Tak jest lepiej - stwierdził Cleve.

Znalazł jakiś karton i położył go przy ścianie. Usiedli na nim ramię w ramię.

- No cóż - powiedział powoli Cleve - zapowiada się długa noc.

- O Boże, Mike! Jak on wytrzyma tyle czasu bez spaceru? - zaniepokoiła się Gillian.

- Przeżyje-uspokoił ją Cleve.

Nastąpiło długie milczenie. Gillian zaczynała wpadać w depresję, która oplatała ją niczym duszący całun.

- Naprawdę nie ma innego wyjścia? - zapytała.

- Wiesz co? - zażartował z wymuszonym uśmiechem. - Jeśli nie otworzą tych drzwi jutro rano o rozsądnej porze, zaskarżymy miasto. Mogło być gorzej. Gdyby to był piątek, musielibyśmy tu spędzić cały weekend.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

- Nie chodzi mi o to.

- Wiem, myślisz o Lassiterze.

- Omotał mnie taką siecią, że tylko cud może mnie uratować. Nie łudźmy się, Cleve, to, że znaleźliśmy broń, takim cudem wcale nie jest.

- Wiem, lecz zrobiliśmy bardzo obiecujący początek.

- Chciałabym w to wierzyć, ale... - potrząsnęła głową.

- Nie zdręczaj się. - Objął ją ramieniem i przyciągnął blisko. - Już lepiej?

- Tak.

W jednej sekundzie uleciały wszystkie troski. Jak cudownie było w jego objęciach... Tak, kochała Clevelanda McBride'a.

- Gillian? - rzekł ochryple.

Podniosła głowę, ich oczy spotkały się. Ujrzała w nich jego duszę - szlachetną, namiętną i trochę dziką. Wiedziała, że Cleve pragnie ją pocałować.

Marzyła, by to zrobić. Jego usta delikatnie objęły jej wargi w cudownie czułym pocałunku, odpowiedziała mu z pełnym oddaniem. Było to upajające uczucie, mogłoby trwać wiecznie. Pocałunek, po którym powinno nastąpić miłosne wyznanie.

Lecz Cleve milczał, gdy oderwali od siebie usta. Dlaczego? - pomyślała z rozpaczą. Na co czeka? Przecież każdy dzień może być ostatnim...

Boże, co z nimi będzie? Czy ona spędzi resztę życia w więzieniu? Czy Cleve przezwycięży swą dziwną chorobę? Czy opuści Gillian i powróci do swej samotni?

Już raz straciła Cleve'a i przeżyła tak straszną udrękę. Czy znów spotka ją to samo? Teraz, gdy ponownie go odnalazła, gdy odnalazła swoją miłość? Była zrozpaczona.

Przez chwilę panowała cisza. A potem, raptownie zmieniając nastrój, Cleve zapytał:

- Czy Sara wie, że jej matka była żoną Victora Lassitera i że to on zamordował Molly?

Gillian od razu stała się ostrożna.

- Dlaczego pytasz?

- Gillian, mała ma jedenaście lat. Musiała cię pytać o swoją przeszłość.

- Powiedziałam Sarze o Molly to wszystko, co może bezpiecznie wiedzieć.

- Tak, rozumiem. Mała myśli, że jej matkę zabił ktoś obcy. Okłamałaś ją.



- Zrobiłam to dla jej dobra. Nie chciałam, by wiedziała, że jej matka poślubiła potwora. To byłoby dla Sary bardzo bolesne przeżycie.

- Nie możesz jej okłamywać w nieskończoność. Wcześniej czy później zacznie zadawać ci pytania. A co z jej ojcem? Pewnie chce się dowiedzieć, kim był.

- Powiedziałam jej wszystko, co wiem, czyli tak naprawdę nic. Przecież Molly mi nie zdradziła, kto jest ojcem Sary.

- I miała to zaakceptować?

Gillian zeszywniała. Odsunęła się od niego.

- Nie miała wyboru. Dlaczego pytasz?

- Bo nawet jeśli Lassiter nie jest jej ojcem, ma prawo wiedzieć, z kim matka ją poczęła. Kim był ten mężczyzna, dlaczego się z nim związała. Po prostu wszystko.

Gillian, mimo ogarniającego ją gniewu, czuła, że Cleve ma rację. Z całą pewnością Sara, gdy tylko trochę podrośnie, zacznie jej zadawać bardziej dojrzałe i dociekliwsze niż dotąd pytania, dotyczące jej pochodzenia oraz Molly. Obawiała się tego.

- No dobrze - usprawiedliwiał się Cleve, biorąc ją znowu w ramiona. - Nie powinienem wywierać na ciebie presji. Wybaczasz mi?

Opierała się przez kilka sekund, potem odprężyła się i przyjęła jego uścisk. Potrzebowała poczucia bezpieczeństwa, które mogły jej zapewnić tylko jego ramiona.

Milczeli. Stopniowo, z głową na jego piersi, poczuła senność. Wiedziała, że Cleve już śpi. Słyszała jego powolny, równy oddech. Oboje byli bardzo zmęczeni. Westchnęła i zamknęła oczy.

Kiedy obudziła się kilka godzin później, pochyliła się nad nią piegowata twarz porucznika Butcha Costello. Po jego minie poznała, że są w tarapatach. No cóż, właściwie sami byli sobie winni. Co ich podkusiło, żeby przyjść do tego upiornego teatru?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Wcale mnie nie słuchaliście! - grzmiał inspektor z wydziału zabójstw. - Mówiłem, żeby się trzymać z daleka od śledztwa. Ostrzegałem, że jeśli jeszcze raz was przyłapię na włamaniu...

- Proszę mi wybaczyć, poruczniku - przerwał mu Cleve, podnosząc się i pomagając wstać Gillian - ale chciałbym wnieść pewne poprawki. Nie włamaliśmy się, tylko weszliśmy tu przez szeroko otwarte drzwi. To nie to samo, prawda?

- Niech pan nie będzie taki sprytny, panie McBride.

- Poruczniku, niech pan się tak nie złości. Ja się na pana nie gniewam. Prawdę mówiąc, jestem panu cholernie wdzięczny za ratunek. - Obrzucił wzrokiem dwie postacie stojące za inspektorem. Jednym z nich był młody oficer w mundurze, który towarzyszył Costello w kancelarii Gillian. Drugim był starszy mężczyzna z pękiem kluczy.

Nocny dozorca robił obchód, dostrzegł światła przez szparę w drzwiach i zatelefonował na policję.

- Morelli - wskazał na młodego oficera - odebrał zgłoszenie. Miał dość rozumu, którego tobie najwyraźniej brakuje, McBride, bo gdy ujrzał dwa śpiące aniołki, uznał, że należy mnie zawiadomić.

- No proszę, a my to wszystko przespaliśmy.

- Zadowoleni? To dobrze. Teraz wasza kolej, by mnie zadowolić. Co tutaj robicie?

- To samo, co w mieszkaniu Lassitera, poruczniku. Szukamy broni, z której zabito Reardona. I wie pan co? Znaleźliśmy ją.

- Gdzie?

Cleve wskazał głową w stronę widowni.

- Tutaj. Niech pan się nie martwi, poruczniku, nic nie zepsuliśmy. Nadal jest tam, gdzie ją znaleźliśmy. Teraz jest pan zadowolony?

- Morelli, idź z nim. Niech pokaże, gdzie jest ten rewolwer.

Cleve wraz z młodym oficerem znikli za wahadłowymi drzwiami, natomiast inspektor zwrócił się do Gillian:

- Czy to pani zaginiony półautomat?

- Tak przynajmniej mi się zdaje.

W milczeniu czekali na powrót Cleve'a i Morelliego. Gillian nie podobał się podejrzliwy wzrok inspektora. Doznała ulgi, kiedy obaj mężczyźni wrócili. Oficer ostrożnie podał wciąż zapakowaną broń, a Costello równie ostrożnie ją odebrał.

- Zobaczymy, co powiedzą w laboratorium.

- Wiadomo, jaki będzie efekt. Okaże się, że z tej broni zabito Reardona, lecz nie będzie na niej śladów Lassitera. Już on się o to postarał. Ale to on jej użył, a potem schował w miejscu, gdzie, jak sądził, nikt nie będzie szukał. Jeśli pan o tym jeszcze nie wie, poruczniku, Lassiter kierował tym teatrem przed pójściem do więzienia. Cały sprzęt wciąż tu jest.

- Tak, wiem o tym. Mam jednak problem z pańskim

scenariuszem, oczywiście zakładając, że w ogóle coś jest wart. Z jakiego powodu Lassiter schował tu broń?

- Ależ, poruczniku, to oczywiste. Czekał na okazję, by umieścić rewolwer w miejscu, które wskazywałoby na to, że umieściła go tam Gillian, a pan by go znalazł.

- I nie widzi pan żadnego słabego punktu w tej teorii?

- Nie, żadnego - odparł Cleve.

- Hm, jest jeszcze jedna interesująca możliwość. - Inspektor zamilkł i mlasnął językiem, gdy spojrzął na Gillian. Zastanawiała się, czy robi to rozmyślnie, by odebrać jej odwagę.

- Jaka? - spytał Cleve.

- Może pan i pani Randolph przynieśliście tu broń sami. Może wkradliście się tutaj i włożyliście ją do schowka Lassitera, aby rzucić na niego podejrzenie.

Cleve zaśmiał się cynicznie.

- Chyba sam pan w to nie wierzy?

- Dlaczego nie?

- Bo gdyby, mimo mojego oświadczenia, tej broni tu nie było, okazałbym się kłamcą. A gdybym był kłamcą, to od początku bym utrzymywał, że byłem z Gillian na szczycie cieplarni i że ona nie zabiła Reardona. I te wszystkie wysiłki byłyby zbędne.

- Albo przebiegłe. - Popatrzył na Gillian, potem kiwnął stanowczo głową. - Wydaje mi się, że mam dostateczne dowody, by dokonać aresztowania.

Gillian zamarła.

- Jeśli mnie pan oskarża, poruczniku, przypuszczam, że ma pan nakaz sądowy.

- Nie panią. W każdym razie nie dzisiaj - odparł ła-

godnie, a potem machnął ręką w stronę Cleve'a. - Chodzi o pani przyjaciela. McBride, nie będę więcej cię ostrzegał, byś nie wtrącał się w moje śledztwo. Nie słuchałeś mnie, to może noc pod kluczem nauczy cię rozumu.

- Z jakiego paragrafu? - spytał Cleve.

- Nie potrzebuję żadnego paragrafu, zawsze mogę cię zamknąć na jedną noc. Nie, pani Randolph - ostrzegł, gdy Gillian zaczęła protestować - żadnych sprzeciwów, chyba że chce pani dołączyć do niego. Nie sądzę, żeby jakiś sędzia miał z tym kłopoty, skoro oboje bezprawnie wkroczyliście na cudzy teren.

- On ma rację, Gillian. To nic nie da, jeśli ty również trafisz do aresztu. Ktoś musi dać Mike'owi jeść. Hej, nie martw się. To nie pierwsza noc, jaką spędziłem za kratkami. - Rzucił jej kluczyki. - Okay, Costello. Nie będę stawiał oporu, tylko musisz mi obiecać, że pani Randolph dostanie eskortę do domu.

- Dobrze, zajmie się tym Morelli - powiedział porucznik i poprowadził Cleve'a w kierunku drzwi.

Gillian czuła się przybita jego aresztowaniem, mimo że Cleve zachowywał irytującą pogodę ducha.

Osiemnasty Posterunek Policji mieścił się na West Chicago Avenue. Gillian była szczęśliwa, że znalazła miejsce do zaparkowania po przeciwnej stronie tego niezbyt okazałego budynku z granitu.

Mimo wczesnej pory powietrze było już parne. Zapowiadała się kolejny duszny dzień. Na posterunku nie było lepiej.

Kiedy Gillian pojawiła się przy biurku, dyżurna poli-

cyjantka powiedziała, że porucznik Costello chce z nią zamienić słówko, zanim zwolni Cleve'a. Gillian zastanawiała się, czy porucznik wreszcie zdecydował **sieją** oskarżyć.

Rozmowa odbyła się maleńkim biurze. Gillian, mimo nalegań porucznika, nie chciała usiąść. Costello usadowił się na brzegu pokiereszowanego biurka i patrzył na nią ironicznie.

- Chciałbym panią poinformować o kilku rzeczach.

- Tak? - spytała, pełna obaw.

Zauważył jej strach.

- Może się pani odprężyć... na razie. - Głos miał oschły. - Nie otrzymałem jeszcze ekspertyzy dotyczącej broni. Laboratorium wolno pracuje w czasie wakacji.

Zrozumiała aluzję. Otrzymała odroczenie, gdy jednak okaże się, że kula, która zabiła Reardona, pochodzi z tej broni, Gillian natychmiast zostanie aresztowana. Popełnili z Cleve'em błąd, odnajdując rewolwer. Costello uważał, że to oni, a nie Lassiter, ukryli broń w teatrze.

Dlaczego jednak porucznik powiedział jej, że laboratorium zwleka z ekspertyzą? Na co liczył, dzieląc się tą informacją z główną podejrzaną?

- Czy ma mi pani coś do powiedzenia, pani Randolph?

Gillian nie odpowiedziała. Stara sztuczka, pomyślała. Costello zauważył, jak bardzo jest zdenerwowana, a w takim stanie ludzie mówią różne rzeczy. Nieudolnie kłamią lub za bardzo się zwierzają. Wspaniały materiał dla prowadzącego śledztwo. Tylko że Gillian dobrze o tym wiedziała i postanowiła milczeć. Bez Dana Weinsteina groziło jej duże ryzyko.

Niepokoіło ją jeszcze coś. Costello narażał się na kom-

promitację, spotykając się z nią w cztery oczy, a jednak zdecydował się na to. Oznaczać to mogło tylko jedno: był całkowicie przekonany o jej winie.

- Nie mam nic do powiedzenia, poruczniku. Czy jeszcze coś, zanim odbiorę pana McBride'a?

- Sprawdziliśmy Victora Lassitera. Powiedział, że nie ma żadnych praw do teatru na Przystani Marynarki Wojennej, od kiedy poszedł do więzienia dziesięć lat temu, oraz że nie ma klucza do głównego wejścia.

- A pan mu uwierzył?

Wzruszył ramionami.

- Nie miałem powodu nie wierzyć.

- Oczywiście. Czy mogę już zabrać mojego detektywa?

- Oczywiście, ale niech się trzyma z dala od sprawy.

- Zobaczę, co się da zrobić. A wie pan, poruczniku, to naprawdę zabawne, ale McBride posługuje się własnym rozumem.

Inspektor zeszytywniał, lecz nie skomentował jej słów.

Po chwili Gillian witała się Cleve'em.

- Czujesz się dobrze? - zapytała szybko.

- W porządku. A ty?

- Świetnie - zapewniła Gillian z uśmiechem, zatajając, że spędziła bezsenną noc, zamartwiając się o niego.

Mimo pozornej beztroski, wyglądał fatalnie. Oczy miał mętne, ubranie wymięte, był nie ogolony.

- Tak, wiem, jak wyglądam. Niestety, pewien facet, z który siedziałem w celi, przez pół nocy opisywał z detalami swoje wyczyny z kobietami-klientkami. Jak się dowiedziałem, to całkiem dochodowy interes, trzeba tylko, jak mówił ten koleś, mieć talent i nie lenić się w robocie.



Schował do kieszeni rzeczy, które zwróciła mu policjantka, a potem ujął Gillian za rękę.

- Chodźmy stąd.

Gdy ruszyli w kierunku domu, zapytał:

- Czy coś się wyjaśniło, kiedy ja zabawiałem się na koszt miasta Chicago?

- Miałam interesującą sesję z porucznikiem Costello.

- Opowiedziała mu, co inspektor jej przekazał, i dodała z niepokojem: - Wiesz, co się stanie, kiedy dostaną wyniki z laboratorium. Będzie miał formalny dowód.

- Ale do tego czasu nic nie może zrobić, więc mamy trochę czasu. Znajdziemy jakieś wyjście z tej sytuacji.

O ile Victor nie wymyśli czegoś jeszcze, pomyślała Gillian. To przecież bardzo prawdopodobne. W każdym razie była przekonana, że zostanie oskarżona. Za dzień? Może za dwa?

Wyczuwając jej strach, Cleve uspokajająco ścisnął dziewczynę za rękę. Ten prosty gest zdziałał cuda, bo od razu poczuła się lepiej, mimo że sceptycznie odniosła się do jego obietnicy.

Odczekała, aż przystanęli na światłach, żeby zapytać o coś, czym zamartwiała się ostatniej nocy:

- Czy, poza tym nocnym kowbojem, miałeś jakieś problemy w celi?

Starąła się mówić nonszalanckim tonem, lecz Cleve nie dał się nabrać. Spojrzał na nią pochmurnie.

- Jaki diabeł mnie podkusił, żeby ci opowiedzieć o moich atakach? Teraz będziesz mnie pilnowała jak kwo-ka. Nie, Gillian nie miałem żadnych problemów i nie chcę być rozpieszczany.

No cóż, nie był to najlepszy moment, by namawiać Cleve'a na wizytę u hipnotyzerki.

Kiedy wreszcie znaleźli się w apartamencie, Cleve powiedział sugestywnie:

- Potrzebuję maszynki do golenia, prysznic i śniadania - w takiej kolejności. W czym chcesz mi pomóc?

- Chcesz wypróbować którąś z technik twojego kumpla z celi?

- Taką zupełnie specjalną, która wydaje się nie do wykonania. Ale ten fachura zapewniał, że wystarczy kabina z prysznicem i odpowiednia partnerka, a wszystko pójdzie jak po maśle. Reflektujesz?

- Wiesz co, myślę, że bezpieczniej będzie, gdy zajmę się śniadaniem.

Nie okazało się to do końca prawdziwe. Na stole stała kawa i sok, a Gillian robiła jajecznicę, kiedy Cleve wkroczył do kuchni, niezbyt dokładnie owinięty w aksamitny ręcznik. Pozbył się zarostu, pachniał mydłem, włosy miał mokre. Był to widok prowokacyjny.

Gillian z trudem się opanowała i powiedziała niedballym tonem:

- Będę trzymała jajecznicę na ogniu, jeśli chcesz się najpierw ubrać.

- To może poczekać - odparł, nieświadomy swego uroku lub też skrycie rozkoszując się efektem, jaki wywołał.

Siadając na krześle z Mikiem zwiniętym u stóp, Cleve zabrał się do jajecznicy, Gillian sączyła kawę. Ze względu na okoliczności, poranna rozmowa okazała się dość trudna.

Najwyższy czas z tym skończyć, pomyślała, zbierając się na odwagę.

- Muszę ci coś wyjaśnić, i to natychmiast.

Spojrzał na nią czujnie, zaniepokojony jej poważnym tonem.

- Sądziłem, że to już koniec sekretów.

- Pozostał jeszcze jeden. Chodzi o to, co się wydarzyło czternaście lat temu.

Jego brązowe oczy pociemniały.

- Umówiliśmy się przecież, że przeszłość zostawimy w spokoju.

- Nie mogę tak. Chcę, żebyś znał prawdę. Pozwól mi wyjaśnić, dlaczego odeszłam od ciebie tamtego lata. Nie patrz tak na mnie. Wiem, że to bolesne, także dla mnie. Też wtedy cierpiałam, ale musiałam tak postąpić.

- Słuchaj - mruknął - to jasne, co wtedy wybrałaś, więc po co do tego wracać.

- Nie wybrałam, lecz zostałam zmuszona.

Cleve odłożył widelec i spojrzał na nią.

- Przez kogo?

- Przez mojego ojca.

- A więc to tak. Przecież on mnie lubił. Podobało mu się, co robiłem dla jego firmy. A kiedy wrócił wraz z twoją matką z wakacji i dowiedział się, że jesteśmy ze sobą, nigdy nie wyraził ani słowa sprzeciwu czy dezaprobaty.

- Cenił twoją pracę i nie chciał cię utracić. Niełatwo było cię zastąpić. Tak, nawet cię lubił, ale nie cierpiał naszego związku. Uważał, że jest zbyt duża różnica wieku i... jeszcze inne rzeczy.

- Jasne, urodziłem się w niewłaściwej dzielnicy Chica-

go. Okay, nie chciał, żebym się kręcił koło jego córki. Bał się mi o tym powiedzieć, tylko zażądał, żebyś to ty ze mną zerwała. Czym ci groził? Odebraniem...

- Nie chodziło o pieniądze - rzuciła gniewnie.

- No dobrze, to nie było fair. Ale w jaki sposób cię zmusił, abyś bez żadnego wyjaśnienia wyjechała do Europy? Oczywiście, miałaś wtedy zaledwie osiemnaście lat, ale mimo wszystko byłaś już dorosłą kobietą. A dorośli dokonują własnych wyborów.

- Niestety, nie byłam.

- Co?

- Cleve, nie byłam dorosłą.

Odsunął talerz i pochylił się ku niej, z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Mówiłaś mi, że skończyłaś osiemnaście lat! A więc okazuje się, że spałam z nieletnią...

- Byłam o rok młodsza, niż ci powiedziałam. Ale...

- Chryste Panie, dlaczego mnie okłamałaś?!

- Bo potrzebowałam cię. Bo byłeś wszystkim, czego pragnęłam, a reszta się nie liczyła. Wiedziałam, co do ciebie czuję, lecz bałam się, że mój wiek będzie dla ciebie przeszkodą nie do pokonania.

- Czy nie pomyślałaś, jakie to może być ryzykowne?

- Nie, dopóki ojciec nie wykorzystał mojego kłamstwa. Postawił mi ultimatum. Albo miałam cię opuścić, i to w taki sposób, byś nie odszedł z firmy, albo ojciec oskarży cię o uwiedzenie nieletniej.

- Wierzyłaś, że jest do tego zdolny?

- Bałam się, że z mojej winy ojciec cię zniszczy. Cleve, byłam bardzo młoda i nie miałam pojęcia o prawie. Dope-

ro później, w Illinois, dowiedziałam się, że ową granicą jest siedemnaście lat i wcale nie byłbyś sądzony. Ojciec wykorzystał moją niewiedzę...

- A więc odeszłaś, żeby mnie ratować, i pozwoliłaś, bym przez te wszystkie lata myślał, że... - Nie musiał nic więcej mówić. Wyraz jego twarzy - wdzięczność zmieszana z żalem i tęsknotą - mówił sam za siebie. Gillian poczuła, że topnieje jak wosk.

Nagle stężała, a w jego wzroku pojawiły się groźne błyski.

- Poświęciłaś się dla mnie, a to wina twojego ojca. Nie obchodziło go, co nam zrobił, jak nas oszukał. Moje życie legło w gruzach, długo dochodziłem do siebie. W perfidny sposób nas rozdzielił dla swojej własnej satysfakcji, by jego córka nie wychodziła za kogoś takiego, jak ja... Co za łajdak!

- Cleve, musisz go zrozumieć, tak jak ja w końcu zrozumiałam. Uważał za właściwe to, co zrobił. Był przeświadczony, że mnie chroni. Potem bardzo tego żałował. Wyznał mi to przed śmiercią i prosił o wybaczenie, a ja uspokoiłam go, że ta sprawa nie ma już dla mnie znaczenia.

- Powiedziałaś mu prawdę?

- Byłam wtedy żoną Alana.

- Ale już nie jesteś.

Spojrzała mu w oczy.

- Nigdy nie przestałam myśleć o tobie, Cleve, choć wmawiałam sobie, że kocham Alana.

Wstał z krzesła, okrążył stół i przykucnął przy niej.

- Gillian - rzekł uroczyście, ujmując jej obie ręce - to

jest bardzo ważne. Dlaczego mi to wszystko powiedziałaś?

- Nie chcę, żeby przeszłość nadal nas dzieliła.
- Ale dlaczego teraz?
- Bo jeśli znów cię stracę, jeśli mnie wsadzą do więzienia... chcę, żebyś wiedział, jak mi na tobie zależy...

Jego ręce zacisnęły się na jej dłoniach.

- Nikt cię nie zamknie - obiecał z mocą. - Nie pozwolę na to. Dlaczego nie chcesz w to uwierzyć?

- Ale jeśli...
- Nie mów tak ani nawet nie myśl. - Delikatnie pogładził jej twarz. - Rozumiesz?

- Tak - szepnęła, a jej oczy zaszyły mgłą.

- Żadnych wątpliwości.

Zaczął ją całować z taką namiętnością, aż zapierało jej dech w piersiach. Nagle uwolniona i lekka jak ptak, zapragnęła ulecieć tam, gdzie panuje tylko miłość.

Zsunęli się na podłogę. Uwolniony od ręcznika, nagi i prężny, Cleve zaczął pospiesznie rozbierać Gillian.

- A co z naszą obietnicą? - mruknęła. - Że nie będzie żadnego seksu.

- Do diabła z nią! - odparł głosem ochrypłym z pożądania.

Uśmiechnęła się.

- Masz rację, tej obietnicy nie da się dotrzymać. Bo jest głupia. Stawiam jednak jeden warunek.

- Jaki? - Był gotów zgodzić się na wszystko, byle jak najprędzej połączyć się z tą wspaniałą kobietą.

- Nie na kuchennej podłodze.

Szybko poderwał się na nogi i chwycił Gillian w ramio-

na, lecz wokół jego nóg zaczął plątać się Mike. Gdy rozgorączkowany Cleve go odepchnął, oburzony labrador zaszczeakał kilka razy, jakby udzielał swemu panu surowej reprimendy.

- Droga prawdziwej miłości nie jest usłana różami - powiedziała Gillian pogodnie, gdy niósł ją do sypialni.

- Cicho, nie czas na gadanie - mruknął ze śmiechem.

Szybko znaleźli się w łóżku. Gillian z zachwytem patrzyła na jego nagie ciało, a on, dodatkowo podniecony jej podziwem, sięgnął po nią niecierpliwie. Pomógł jej pozbyć się bluzki i stanika, potem bawełnianych spodni. Powstrzymała go, kiedy zaczął jej ściągać figi:

- Mam jeszcze jedną prośbę.

- Co znowu? - jęknął.

- Nie będzie - odparła uroczystym tonem, jakby zdawała egzamin - żadnych niejasności sądowych, żadnych apelacji ani targowania się.

Wyszczerzył zęby.

- Okay, pani mecenas. Ja też mam pewne wymagania.

- Na przykład?

- Żadnych dowcipów, czy nie nauczyłem się jakichś sztuczek od mojego kumpla z celi albo czy nie wyjawiał mi starodawnego sekretu, jak utrzymać potencję przez całą noc. Wiesz, takie rzeczy.

- Zgoda.

- Zatem możemy kontynuować? Bo muszę ci wyznaczyć, że naprawdę jestem w potrzebie.

Gillian roześmiała się i wyciągnęła do niego ramiona. Czekali na siebie czternaście lat, lecz oto cud spełniał się. Już nie dowcipkowali, bo ich dusze i ciała, rozpalone

w potężnej namiętności, ponownie łączyły się w uroczystej, najświętszej obietnicy miłości. Odnajdywali słodkie miejsca na sobie, szeptali cudowne zaklęcia. Byli szczęśliwi.

Aż wreszcie wzniesli się ku niebu.

Potem, gdy odpoczywali, szepnął sennie:

- Jak ja mogłem żyć bez ciebie przez tyle czasu? Zmarnowaliśmy wiele lat.

Uśmiechnęła się.

- A może byś powiedział, że właśnie zrobiliśmy cholernie dobry początek?

Nie odpowiedział. Gillian podniosła głowę, by na niego spojrzeć. Wyczerpany długą, bezsenną nocą i miłością, zasnął. Nie budziła go, tylko z przyjemnością wpatrywała się w jego cudownie męską twarz.

Nagle posmutniała. Na ich miłości kładł się groźny cień i ona nie może o tym zapominać. Była teraz pewna, że nadal ją kochał, tak jak ona jego, lecz ich przyszłość rysowała się ponuro. Być może da się nadrobić stracone lata, ale dopóki jest oskarżona o morderstwo, planowanie czegokolwiek nie ma sensu.

A teraz, gdy już połączyli się w miłosnym uścisku, sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Cleave nigdy się jej nie oświadczy, dopóki jej wolność i życie są zagrożone. Dopóki wszystko się nie wyjaśni, chce być jej detektywem i ochroniarzem. Było to bolesne, ale niestety konieczne.

Przypomniała sobie, że umówiła go z hipnotyzerką.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co zrobiłaś?

Łóżko zatrzęsało się, gdy Cleve usiadł gwałtownie. Był wściekły. Gillian powiedziała mu właśnie o zamówionej wizycie u terapeutki.

- Ona jest bardzo popularna, wizyty zamawia się na dwa tygodnie wcześniej, ale miała wolne, bo ktoś zrezygnował. W piątek z samego rana - perswadowała.

- Nie masz prawa! Żadnego cholernego prawa!

- Wiem o tym - zgodziła się potulnie. - Wiem, że źle postąpiłam, ale taka jestem o ciebie niespokojna.

- Czy nie mówiłem ci, że sam się do niej zgłoszę? Ze zrobię to, jak tylko uda mi się unieszkodliwić Lassitera?

- Opuścił nogi na podłogę i sięgnął po szlafrok. - Co się stało, Gillian? Nie wierzysz mi, że cię uratuję?

- Wierzę, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy. Ale co się stanie, gdy sprawa tak szybko się nie wyjaśni? A ty pozostaniesz ze swoją przypadłością? - argumentowała.

- To będę z tym żył. - Wstał, włożył dżinsy i ruszył ku drzwiom. - Zadzwoń do tej swojej terapeutki - burknął, nim wyszedł z sypialni - i odwołaj wizytę, bo nie zamierzam tam iść w piątek rano.

Patrzyła za nim, urażona jego uporem. Obawiała się, że jedyna terapia, w jaką wierzy, to zagrzebanie się w leśnej

głuszy. A wówczas ona go straci. Jej życie prywatne i zawodowe związane są z Chicago. Kiedy skończy się ta cała afera, wróci do swojej praktyki, a nawet gdyby zamieszkała z Cleve'em nad jeziorem, uznaliby, że poświęca się dla niego. Zatem jeśli odejdzie...

Nie! Nie puści go! Musi jej posłuchać.

Szybko wstała, założyła szlafrok i poszła za nim do salonu. Siedział rozparty w fotelu, z roztargnieniem drapiąc Mike'a, który rozpląszczył się na podłodze.

Gillian weszła i stanęła przed Cleve'em. Nie podniósł wzroku. Miał ponury wyraz twarzy. Przez dłuższą chwilę patrzyła na jego pochyloną głowę o potarganych włosach i dopiero wtedy zrozumiała, w czym rzecz.

Dobry Boże, dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Cleve bał się wizyty u terapeutki. Ten silny mężczyzna, znany ze swej niepokromionej odwagi, był śmiertelnie przerażony. Nie chodzi o to, że lękał się następnego rozczarowania, gdyby kolejna kuracja się nie powiodła, lecz drżał na myśl o tym, co mogłaby wykryć taka sesja. Jakieś sekrety zagrzebane w jego podświadomości... Stąd się brał jego gniew.

Rozumiała to i współczuła mu, lecz nie pozwoli mu uciec przed sobą samym.

Podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Dzwoniłaś?

- Nie - odparła łagodnie. - Zrób to sam, choć mam nadzieję, że nie zadzwonisz.

Patrzył na nią bez słowa. Gillian ukłękła na podłodze pomiędzy jego rozstawionymi nogami. Ujęła go czule za rękę.

- Posłuchaj - powiedziała żarliwie. - Chcę, żebyś coś mi obiecał. Ze nie zrezygnujesz z wizyty i spróbujesz przynajmniej jednego seansu u terapeutki.

Cleve zaczął wycofywać ręce z jej uścisku.

- Już ci mówiłem...

- Nie, Cleve, nie możesz mi odmówić. Chodzi mi tylko o tę jedną rzecz. Muszę cię o to prosić teraz, bo do piątku może mnie już tu nie być. Mogę znaleźć się za kratkami.

Pozostał niewzruszony. Jego wzrok napotkał jej szeroko otwarte, błagalne oczy. Gniew Cleve'a ulotnił się. Serce mu się ścisnęło na ten widok.

- Zdawało mi się, że zgodziliśmy się co do tego, że z całą pewnością zostaniesz oczyszczona z zarzutów. Jak cię mam przekonać...

- Staram się w to wierzyć - przerwała mu - lecz bądźmy realistami. Zostanę aresztowana, gdy tylko porucznik dostanie wyniki badań z laboratorium.

- Ale do tego czasu...

- Co? Co można jeszcze zrobić? Znaleźliśmy broń i nic to nie pomogło.

Cleve posadził sobie Gillian na kolana. Ścisnął ją mocno w objęciach.

- Nie wiem, kochanie, ale zastanawiam się nad pewną rzeczą. - Zamknął jej usta szybkim, namiętym pocałunkiem. Potem drugim...

Jednak Gillian nie pozwoliła się zbyć.

- Cleve, proszę cię.

- Tak, wiem. Dobrze - rzekł z ociąganiem. - Pójdę do tej choleralnej baby.

Lecz Gillian czymś jeszcze się martwiła, o czym świadczył wyraz jej twarzy.

- Wyduś to z siebie - powiedział miękko.
- Mam jeszcze jedną prośbę do ciebie.
- Tak?
- Chodzi o Sarę. Jeśli stanie się to najgorsze i nie będę mogła z nią być, zaopiekujesz się nią?
- Gillian, nie mów tak. Oboje się nią będziemy opiekować. - Aby jej tego dowieść, zaczął ją znowu całować.
- Poruszę niebo i ziemię - mruzczał między pocałunkami - żeby cię z tego wyciągnąć. Ułożmy plan.

Nie mogąc złapać tchu po tym szturmie, Gillian uległa.

- Dobrze, o ile ty... - Ześlizgnąwszy się z jego kolan, wstała, zmuszając się do pogodnego uśmiechu. - Mam nadzieję, że usłyszę od ciebie coś inspirującego. Do tego czasu wezmę prysznic i ubiorę się.

Potrzeba mi natchnienia, pomyślał, gdy wychodziła do łazienki. Nic nie przychodziło mu do głowy oprócz postanowienia, że uratuje kobietę, która jest dla niego wszystkim. Niestety, dobrymi chęciami wybrukowano piekło.

Do licha, przecież jest dobrym detektywem. Musi być jakieś wyjście.

Alibi Lassitera, przyszło mu nagle do głowy. Oto klucz do wszystkiego. Musi znaleźć jakiś sposób, aby je obalić. Jeśli uda mu się udowodnić, że ten drań nie pracował w hotelu, w czasie gdy Reardon został zabity, być może Costello zacznie ich traktować poważnie. Ale jak tego dokonać?

Goniec z „Huttona”, który był płatnym informatorem Cleve'a, nie miał pojęcia, jak Lassiterowi udawało się być

w dwóch miejscach równocześnie, lecz musi istnieć jakieś wyjaśnienie tej sprawy.

Harry Rosiński, jego mentor i nauczyciel zawodu, zwykł mawiać: „Odpowiedzi rzadko pojawiają się w postaci oślepiającego objawienia, Cleve. By je znaleźć, trzeba ciężko pracować, czyli szukać, szukać i jeszcze raz szukać. Stale szukasz motywu zbrodni. Badasz całą historię i dokopujesz się do każdego szczegółu, ponieważ nigdy nie wiadomo, czy jakieś małe odkrycie nie zaprowadzi cię do ostatecznej prawdy”.

Oto solidna rada, pomyślał Cleve. Okay, zatem jakich szczegółów w dziejach Lassitera jeszcze nie zbadaliśmy? Odpowiedź była jasna i prosta. A potem nastąpiła szybka decyzja.

Gillian suszyła włosy, kiedy Cleve wszedł do łazienki. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz.

- Co byś powiedziała na małą przejażdżkę do East Moline?

- Chcesz zwiedzić więzienie, gdzie Lassiter siedział przez ostatnie lata swojego wyroku? Ale po co? Czego tam szukasz?

- Jeszcze nie wiem, przekonamy się na miejscu. W każdym razie wydaje mi się, że warto zaryzykować. Jest wcześniej i jedzie się tam cały czas autostradą międzystanową. Moglibyśmy dotrzeć na miejsce około południa i wrócić wieczorem. Odpowiada ci?

- Oczywiście, ale czy nie można by tam zadzwonić i dowiedzieć się wszystkiego przez telefon?

Cleve pokręcił głową.

- Rozmowy telefoniczne często są nieskuteczne. Trud-

niej jest powiedzieć „nie”, kiedy się z kimś rozmawia twarzą w twarz.

- To prawda, ale czy sądzisz, że bez nakazu sądowego ktokolwiek z dyrekcji udzieli ci informacji o byłym więźniu?

- To będzie trudne, ale mam pewne znajomości, na które się powołam.

- Nawet nie będę próbowała ci przypominać, że spędziłeś noc w więzieniu za ignorowanie zakazu porucznika Costello...

- Masz rację, nie próbuj.

- To daj mi dwadzieścia minut, a będę gotowa do drogi.

- W tym czasie ubiorę się i zatankuję samochód.

Cleve wprost palił się, by wyruszyć w drogę, gdy jednak wrócił ze stacji benzynowej i spojrzął na Gillian, natychmiast wyczuł, że coś się stało.

- O co chodzi? - zapytał.

- Dzwoniła Maureen Novak. Po śmierci Reardona jego firma jest gotowa wycofać sprawę z sądu i oczyścić dobre imię jej męża. Nalega, bym nadal ją reprezentowała i prowadziła negocjacje z zarządem firmy. Spotkanie ma się odbyć się dziś rano.

- Co znaczy, że nie możesz pojechać do East Moline.

- Nie wolno mi teraz oficjalnie prowadzić żadnych spraw, ale chciałabym być na tym spotkaniu.

W jej oczach błyszczała nadzieja. Prośba Maureen była dla niej niczym wotum zaufania, w chwili gdy tak bardzo potrzebowała, by ktoś w nią wierzył. Nie mógł jej tego zabronić.

- Dobrze, zostajesz, ale nie sama. Wynajmę Moody'ego Jacksona.

- Ło n będzie...

- Twoim ochroniarzem. To facet naprawdę godny zaufania, tylko że nie ma samochodu. Weźmiecie z garażu twoje volvo.

Wiedziała, że wszelka dyskusja była bezsensowna, ale jednej sprawy nie mogła odpuścić. Cleve, patrząc na Gillian, natychmiast domyślił się, o co jej chodzi.

- Nie patrz na mnie w ten sposób - burknął. - Nie będę miał żadnych ataków po drodze.

Nie chciał tak na nią warczeć, ale jej niepokój był irytujący. Czuł, że obserwuje go cały czas, martwiąc się o niego. Doceniał jej troskliwość, ale jednocześnie bardzo go to denerwowało.

Bardziej niż kiedykolwiek nienawidził swojej choroby. Pragnął Gillian wyznać swą miłość, dopełnić słowami to, co przekazywał jej całym sobą, lecz jak mógł podejmować uroczyste zobowiązania, gdy w każdej chwili groził mu śmiertelny wypadek? A co do wizyty u terapeutki w piątek... Cóż, nie będzie teraz o tym myślał.

- No i co? Dostał pan to, czego chciał? - wycedziła recepcjonistka, strząsając popiół z papierosa.

Cleve pojawił się tu z ulicy po opuszczeniu budynku administracji Zakładu Karnego. Spojrzał na recepcjonistkę. Miała grube szkła i za bardzo szczyrzyła zęby w uśmiechu.

Jego rozczarowanie było łatwe do odczytania, bo spojrzawszy na niego, roześmiała się.

- Mówiłam panu, że nic tu nie będzie.
- Jak się stąd wydostać?
- Musi pan czekać, aż strażnik pana wypuści. To przecież więzienie. Strażnicy czujnie pilnują więźniów, no i w ogóle porządku na całym terenie, a inni z równym zapałem strzegą akt. Wszystko musi chodzić jak w zegarku.
- Pociągnęła papierosa, wypuszczając kłęb dymu. - Oczywiście, zdarzają się wyjątki.

Uśmiechnął się przymilnie.

- Naprawdę?

Chwilę się zastanawiała, potem wzruszyła ramionami.

- A niech to diabli. Dostałam dziś dwutygodniowe wymówienie, więc nie muszę być lojalna. - Wyrzuciła niedopałek i zgmiotła go nogą. Potem rozejrzawszy się wokół, by się upewnić, czy wciąż są sami, mruknęła szybko:
- Spróbuj z Billem Jerome.

- Kto to jest? Gdzie go szukać?

- Były strażnik. Poszedł na emeryturę w końcu ubiegłego tygodnia. Strażnicy wiedzą o wiele więcej o więźniach niż naczelnik. I o ile sobie przypominam, Bill nie był zbyt przyjaźnie nastawiony do tego twojego człowieka. Może będzie chciał odpowiedzieć na twoje pytania.

- Dzięki, ale gdzie...

- Wstąp do „Bluesa”. To bar dla sportowców blisko rzeki. Nie rozmawiałam z tobą.

„Blues” nie różnił się od innych barów dla sportowców. Znajdował się tam olbrzymi telewizor, stół bilardowy, a na ścianach sfatygowane kije hokejowe i inne sportowe akcesoria.



Cleve uznał, że najbardziej pożądanym urządzeniem w tym miejscu byłby wentylator.

O tej porze w barze było pusto. Barmanem był krępy, prawie łyсы gość, o uprzejmej twarzy, około pięćdziesiątki.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał, gdy Cleve usadowił się na stołku przy kontuarze.

- Zacznę od zimnego piwa.

Barman postawił przed nim butelkę.

- Jest pan naszym stałym klientem? Staram się zapamiętać wszystkich. Niedawno wykupiłem tu swój udział po przejściu na emeryturę. Jeszcze wszystko jest dla mnie nowe.

- Nie, po prostu przejeżdżałem tędy - odparł Cleve.  
- Szukam kogoś i chyba znalazłem. Czy pan Bill Jerome?

- Mhm. Ale skąd pan...

Cleve przedstawił się, pokazał swoją legitymację prywatnego detektywa i wyjaśnił, czego chce.

- Docenię wszystko, cokolwiek mi pan powie na temat Lassitera.

Były strażnik potrząsnął głową.

- Nie, nie mogę ryzykować utraty emerytury.

- Nikt się nigdy nie dowie, skąd pochodzą te informacje - nalegał Cleve. - Detektyw nigdy nie zdradza informatora. Gdyby to zrobił, z pewnością straciłby nie tylko informatora, ale i robotę.

Jerome pociągnął nosem i rozważał jego słowa.

- No dobrze. Zawsze powtarzałem, że Lassiter powinien siedzieć w więzieniu do końca życia. - Zawahał się.  
- Powiedział pan, że znów kogoś zabił?

- Jestem tego pewny. Potrzebuję tylko dowodów dla policji, żeby wróci! tam, gdzie jego miejsce.

- Nie mam żadnych dowodów. Mogę tylko powiedzieć, że widziałem wielu niebezpiecznych więźniów, którzy przewinęli się przez East Moline. Może nie takich zatwardziałych, jak w innych więzieniach, ale wystarczająco złych. Według mojej opinii żaden z nich nie dorównywał Lassiterowi.

Cleve pociągnął łyk piwa.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Większość z nich nie jest specjalnie bystra, natomiast Lassiter był zły i wyrachowany. Aż skóra cierpnie.

- Domyślam się.

- Potrafił też rządzić ludźmi. Na przykład całkowicie podporządkował sobie kumpla z celi.

- Niech mi pan o tym opowie.

- Rudy Martinez. Nerwowy, niewielki facet z tikiem w oku. Chyba został skazany za zastrzelenie kochanka swojej żony, w każdym razie coś w tym guście. Martinez i Lassiter siedzieli w jednej celi w Joliet, a potem w East Moline. Słyszałem, że Lassiter go obronił przed jakimś bandziorem. Wszyscy czuli respekt przed Lassiterem. Rudy był gotów zrobić wszystko dla niego.

Rudy Martinez, pomyślał Cleve. Dlaczego to nazwisko wydaje mi się znajome?

- Czy Martinez jeszcze siedzi?

- Nie, wyszedł jakiś czas temu. Nie wiem, co się z nim w tej chwili dzieje. Dostał zwolnienie po wielu apelacjach, a więc nie było to zwolnienie warunkowe. Stał się czysty i wolny.

- Czym się teraz zajmuje? - Cleve wiedział, że zawód może dostarczyć wielu cennych informacji.

- Zaraz, zaraz... - Były strażnik zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć. - Tak, jest kucharzem. Wiele lat prowadził różne restauracje. Ma duże doświadczenie.

Cleve nagle zrozumiał, dlaczego nazwisko Martineza wydało mu się znajome. Najprawdopodobniej usłyszał je od swojego informatora z „Huttona”, gdy ten referował mu sprawę alibi Lassitera. Będzie musiał to sprawdzić.

Pochylił się do przodu. W jego głosie słychać było podniecenie.

- Na pewno nic pan sobie nie przypomina, co działo się z Martinezem po opuszczeniu East Moline?

- Niestety, nic.

Cleve pokiwał głową i podniósł szklanę. Pociągnął haust, co dało mu czas do namysłu. Był przekonany, że trafił w dziesiątkę, ale musi jeszcze zweryfikować swoje odkrycie.

- Macie tutaj automat? - zapytał, odstawiając szklanę na kontuar.

- Tam, obok drzwi.

Podszedł do telefonu i wsunął kartę, łącząc się z „Huttonem” w Chicago i poprosił o rozmowę ze swoim informatorem.

- Sammy, tu mówi Cleve McBride. Mam do ciebie pytanie. Czy Rudy Martinez jest zatrudniony w waszym hotelu?

- Tak, zarządza kuchnią i personelem kuchennym. Zdawało mi się, że już ci o tym mówiłem.

- Tak, mówięś Sammy. A ja popełniłem kardynałny

błąd. - Jak mógł nie sprawdzić, czy zeznania Martineza, tak kluczowe dla całej sprawy, są wiarygodne? - Sammy, chciałbym, żebyś się dowiedział czegoś więcej.

- Tak?

- Czy ten Martinez osobiście zatrudnia kelnerów i ustala harmonogram ich dyżurów w kuchni i restauracji. Sprawdzisz to dla mnie?

- Nie muszę niczego sprawdzać. Martinez osobiście zatrudnia personel kuchenny i wyłącznie on ustala harmonogram ich pracy.

- Dziękuję, bardzo mi pomogłeś.

Cleve odwiesił słuchawkę, zapłacił za piwo, dodając suty napiwek, a w chwilę potem wsiadł do samochodu.

To by pasowało, pomyślał z triumfem. To wszystko pasuje jak ulał.

Lassiter przekonał Martineza, żeby go zatrudnił w hotelu. Potem Martinez dostarczył mu alibi, przysięgając, że Lassiter był w hotelu w czasie zabójstwa Reardona.

Ale wciąż było kilka niejasnych spraw. Dyrekcja hotelu nie musiała wiedzieć, że jednym z pracowników jest kryminalista. A może chciano dać mu szansę. Martinez jest także byłym więźniem, lecz pracuje nie jako zwykły kelner, ale zarządza całym personelem kuchennym. Czy tak renomowany hotel na takim stanowisku mógł zatrudniać kryminalistę? Jak Martinez zdołał to ukryć?

I jeszcze jedno. Dlaczego Martinez ryzykował utratę pracy i wolności, zapewniając Victorowi alibi?

Był pewien, że Costello chętnie przejmie tę część śledztwa. Z niecierpliwością myślał o spotkaniu z nim. I z Gillian...

Gdy uzupełniał paliwo na stacji benzynowej, zadzwonił do Gillian.

- Cleve! Gdzie jesteś? Czy wszystko w porządku?

- Ależ kochanie, nie może być lepiej. -I z niepokojem zapytał: - A co u ciebie? Wszystko dobrze? Czy Moody jest z tobą?

- Jest. Zona prezydenta nie ma lepszej ochrony. Ale nie powiedziałeś...

- Jestem na stacji benzynowej, przy autostradzie. Jadę do domu.

- Powiodło ci się w East Moline?

Zawahał się, ale postanowił niczego nie zdradzać przez telefon.

- Wszystko ci opowiem, jak się zobaczymy, ale gwarantuję, że będziesz zadowolona. Teraz, zanim prześlesz mi pożegnalny pocałunek, chcę cię jeszcze o coś prosić.

- Przestań chichotać i powiedz mi, o co chodzi.

- Skontaktuj się z porucznikiem Costello i poproś, żeby się z nami spotkał w holu w „Huttonie”. Będę tam za jakieś dwie godziny.

- Jak mam go przekonać...

- Powiedz mu, że to bardzo ważne.

- Spróbuję - obiecała.

- Do zobaczenia w „Huttonie”

Zadowolony, odwiesił słuchawkę. Nie mógł się doczekać, kiedy znów zobaczy się z Gillian. Dotknie jej, weźmie ją w ramiona. Myślał o tym, jaka czuła i cudowna będzie ta noc, gdy Gillian wreszcie uwolni się od napięcia, od spraw, które narastały wokół niej niczym gwałtowna burza. Ta perspektywa podniecała go.

- Wszystko jest na dobrej drodze, najdroższa. Czuję to.  
A potem ty i ja... - szepnął do siebie.

Ale nie można na nic liczyć, dopóki zwycięstwo nie  
będzie ostateczne. Gra jeszcze się nie skończyła.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gillian wpatrywała się w piegowatą twarz inspektora z Wydziału Zabójstw i modliła się w duchu, by Costello uwierzył Cleve'owi, który właśnie skończył swą trochę przydługą opowieść. Siedzieli w małej, zacisznej niszy olbrzymiego holu.

Wreszcie, po długiej ciszy, inspektor zapytał obcesowo:

- Kto panu to wszystko powiedział?
- Pan dobrze wie, że nie mogę tego zdradzić, ale zapewniam, że informacje pochodzą z wiarygodnego źródła.
- Powiniennem cię za to zamknąć. - Pochylił się, bębniąc palcami po blacie małego stolika.
- Ale nie zrobi pan tego, bo tym razem mam coś naprawdę ważnego.

Costello milczał przez chwilę. Rozległo się znajome mlaskanie języka o zęby.

- Może - przyznał wreszcie.
- Więc jak będzie, poruczniku? Założę się, że jeżeli pan pójdzie zaraz do Martineza i mu to wszystko przedstawi, ten facet pęknie. To tchórz.

Inspektor zrobił niecierpliwy gest.

- To, czego pan się dowiedział, nie musi być prawdą, a z tym sfabrykowanym alibi to czysty wymysł. Pański wymysł.

- Jednak warto sprawdzić.
- Zobaczymy.

Nie powiedziawszy więcej ani słowa, Costello wstał i ku ich rozczarowaniu, zamiast do kuchni, skierował się do wyjścia.

- To niemożliwe! On ci nie uwierzył! - krzyknęła z rozpaczą Gillian.

Cleve potrząsnął głową.

- Myślę, że idzie do swego radiowozu, by przez centralę sprawdzić, czy Lassiter i Martinez byli razem w East Moline.

- Oby tak było. A więc czekajmy na porucznika - po wiedziała nieco uspokojona.

Cleve, by poprawić jej trochę nastrój, wziął Gillian w ramiona i szepnął:

- Miejsce publiczne czy nie...

Długi, powolny pocałunek był tak uspokajający i znie-  
walający, że prawie zapomniała, gdzie się znajduje.

Gdy rozkoszowała się słodką chwilą i cudowną obietnicą, jaką ten pocałunek wyraził, usłyszała znaczące chrząknięcie. Energicznie wysunęła się z objęć Cleve'a. Przed nimi stał goniec i uśmiechał się złośliwie.

- Jesteście państwo zainteresowani rezerwacją apartamentu dla nowożeńców? - zapytał. - Zapewniam, będzie wam jak w niebie.

Gillian zarumieniła się, natomiast Cleve szczerze się roześmiał. Przedstawił jej Sammy'ego Gatesa, swojego informatora. Obaj mężczyźni zaczęli rozmawiać. Sammy zakomunikował, że Lassiter skończył już pracę, a Martinez nadal jest w swoim gabinecie.



Cleve zapłacił gońcowi za informacje. Wtedy pojawił się Costello wraz z drugim oficerem.

Gillian poczuła się podniesiona na duchu, gdy porucznik zwrócił się do gońca i zapytał zwięźle:

- Czy mógłby nas pan zaprowadzić do szefa kuchni hotelowej?

- Z przyjemnością - odparł Sammy bez wahania.

Cleve chwycił Gillian za rękę i poszli za nimi. Jeśli nawet porucznik miał coś przeciwko ich obecności, nie zdradził się z tym.

Jak na swoje lata Sammy był zadziwiająco energiczny i sprawnie prowadził ich przez oszołamiający labirynt pomieszczeń na zapleczu hotelu. Gillian ledwie mu dotrzymywała kroku. Ta część hotelu była odnawiana, w holu znajdowała się ekipa malarzy z wiadrami i pędzlami.

Sammy przystanął i wskazał na małego, ciemnowłosego mężczyznę, stojącego w drzwiach gabinetu i rozmawiającego z jednym z kucharzy.

- Rudy Martinez - oznajmił goniec i bez dalszych słów wrócił do swych obowiązków.

Lawirując pomiędzy rozstawionymi sprzętami i malarzami, Costello i jego człowiek podeszli do Martineza, a Gillian i Cleve podążali za nimi. Ma

- Czym mogę państwu służyć? - zapytał nerwowo, a jego rozbiegane oczy przesuwały się po ich twarzach.

Inspektor krótko wszystkich przedstawił i okazał legitymację.

- Muszę z panem pomówić na osobności.

Na twarzy Martineza pojawił się ledwie skrywany niepokój. Uprzejmie wskazał swój gabinet.

- Proszę wejść.
- Państwo zostaniecie tutaj - przykazał Costello Gillian i Cleve'owi.

Czekali w wielkim napięciu. Zastanawiali się w milczeniu, jak przebiegała rozmowa za zamkniętymi drzwiami. Czas włókł się niemiłosiernie.

Rudy nie spodziewa się go, pomyślał Victor z satysfakcją, wchodząc na zaplecze przez drzwi dla służby hotelowej. Będzie się czuł spokojny i wolny, aż do następnego dyżuru Lassitera, który zaczynał się nazajutrz rano.

Victor tak to właśnie zaplanował. Teraz, między lunchem a przygotowaniami do obiadu, był czas wytchnienia dla personelu i Rudy prawdopodobnie będzie sam, zajęty układaniem menu.

Victor chciał go zaskoczyć, bo wtedy łatwiej się nim manipulowało. Facet zaczął niepokoić się ich spotkaniami, stanowił więc potencjalne zagrożenie. Victor musi mu przypomnieć, ile ryzykuje, jeśli nie będzie trzymał języka za zębami.

Nie spotkał nikogo po drodze. Gdy skręcił za róg, poczuł zapach świeżej farby i ujrzał malarzy na drabinach. Kilku z nich zeszło z drabiny, by zmienić ubranie. Zablokowali Victorowi dostęp do gabinetu, który znajdował się o kilka metrów. Musiał się zatrzymać i poczekać, aż droga będzie wolna.

Jednak gdy tak się stało, Lassiter nie ruszył się z miejsca. Zobaczył, kto stoi przed gabinetem. Mężczyzna i kobieta. Mimo że byli odwróceny tyłem, natychmiast ich

rozpoznał. Gillian i jej prywatny detektyw! Co oni tutaj robią? Na kogo czekają?

Nie było czasu na spekulacje. W każdej chwili ktoś z nich mogło się odwrócić. Victor zaczął ostrożnie się wycofywać.

Stwierdził, że to nie był dobry pomysł, bo przed sobą miał niewiarygodnie długi korytarz i istniało niebezpieczeństwo, że zostanie rozpoznany.

Po lewej stronie znajdowały się drzwi. Był to schowek dla służby hotelowej, a on miał do niego klucz, wraz z innymi przypięty do małego kółka.

Ekipa malarzy rozmawiała o swojej pracy. Ignorowali Victora, gdy ten otworzył drzwi i wślizgnął się do środka. Tak się spieszył, że kiedy wyciągał klucze z zamka, wypadły mu z ręki na podłogę w schowku.

Zamknął drzwi i znalazł się w gęstym mroku. Jeśli nie zapali światła, nigdy nie znajdzie kluczy. Nie był na takie ryzyko przygotowany.

Nad drzwiami znajdowało się okienko i światło w schowku mogło zaintrygować kogoś z pracowników.

Bezpieczniej było stać cicho w ciemnościach, a kluczy poszukać później. Victor gotów był czekać tyle, ile to było konieczne. Nawet gdyby mógł teraz uciec, nie zrobiłby tego. Musiał dowiedzieć się, co Gillian i Cleve robią przed gabinetem Rudy'ego.

Framuga okienka nad drzwiami była świeżo pomalowana i okienko pozostawiono otwarte, żeby wyschła farba, dzięki czemu Victor słyszał rozmowy prowadzone w holu. Co go jednak obchodziła paplanina jakichś malarzy? Miał poważne zmartwienie. Zastanawiał się, jak długo potrwa,

nim Gillian i detektyw znikną z holu, a on będzie mógł przyduścić Rudy'ego w jego gabinecie i zażądać jakichś wyjaśnień.

Nerwy Gillian napięte były do granic wytrzymałości, gdy drzwi gabinetu wreszcie się otworzyły. Stał w nich najpierw porucznik Costello, a w ślad za nim oficer policji i Martinez.

Jedno spojrzenie na Martineza powiedziało jej wszystko. Mężczyzna cały drżał, miał rozszerzone i wystraszone oczy. W asyście policjanta ruszył korytarzem.

- Zabieramy go na dalsze przesłuchanie - poinformował inspektor Cleve'a i Gillian. - Jego adwokat prawdopodobnie wyciągnie go za parę godzin, ale to wystarczy, by nie zdążył ostrzec Lassitera. Chociaż nie sądzę, żeby miał ten zamiar.

- A więc mówił? - zapytał Cleve.

Costello już miał odpowiedzieć, ale nagle zdał sobie sprawę, że wokół pracują malarze.

- Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce - powiedział cicho.

Zatrzymali się obok, jak głośił napis, schowka dla personelu, drzwi od którego były zamknięte na klucz. W tym miejscu malarze nie mogli ich usłyszeć.

- Niech pan nam powie, co się działo - domagał się niecierpliwie Cleve.

- Obiecałem mu łagodne traktowanie i wreszcie zgodził się z nami współpracować. Mamy od niego pełne wyjaśnienie.

Gillian badała twarz inspektora. Jego nastawienie

zmieniło się. Już nie patrzył na nią podejrzliwie. Ale nie poczuje prawdziwej ulgi, dopóki nie usłyszy wszystkiego.

- Lassiter o niczym jeszcze nie wie - ciągnął Costello - ale jego alibi upadło. Martinez przyznał się, że kłamał, gdy zeznał, że jego dawny kumpel z celi był w hotelu, w czasie gdy zamordowano Reardona. Był wprawdzie tego dnia na dyżurze, ale mógł się wyslizgnąć na kilka godzin, a Martinez go krył.

- Dlaczego Martinez tak ryzykował? - zapytał Cleve. - Mógł stracić pracę, a nawet wrócić do więzienia. Czy aż tak się bał Lassitera?

- Tak, ale chodzi o coś jeszcze. Lassiter go szantażował. Rudy popełnił błąd, zdradzając mu w East Moline, że ma kuzyna, który jest właścicielem hotelu w Memphis. Temu kuzynowi źle się wiedzie w interesach i na gwałt potrzebuje pieniędzy, dlatego obiecał Rudy'emu, że gdy ten wyjdzie na wolność, za odpowiednią sumę wystawi mu świetne referencje. Tak też się stało.

- Dzięki temu zatrudnili go w „Huttonie” - powiedział Cleve. - Z papierów wynikało, że w czasie gdy siedział w więzieniu, pracował w Memphis. Nikt się nie dowiedział, że był kryminalistą.

Porucznik pokiwał głową.

- „Hutton” oczywiście go sprawdził. Zadzwonili do kuzyna Rudy'ego i otrzymali potwierdzenie, że jest on fantastycznym pracownikiem.

- A Victor wykorzystał to - powiedziała Gillian - i zmusił Martineza, by przyjął go do pracy i potwierdził jego alibi.

- Na to wygląda - dodał porucznik. - Chociaż Rudy twierdzi, że nie wie, po co Lassiterowi było to alibi.

- Ale my to wiemy, prawda? - Cleve naciskał na porucznika. - Jeśli Lassiter sfabrykował alibi, oznacza to, że zamordował Reardona, a Gillian jest niewinna. Co pan na to, poruczniku?

- Zobaczmy - odpowiedział z rezerwą. - Zgarniemy go i zabierzemy na przesłuchanie. Poinformujemy was o tym. Po tym, co się zdarzyło, uważam, że macie do tego pełne prawo. Na razie - zwrócił się do Gillian z wyrazem skruchy - przepraszam, pani Randolph, ale wszystko wskazywało, że to była pani. Czy to panią satysfakcjonuje?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył przed siebie korytarzem.

Gillian popatrzyła w ślad za nim, a potem z uśmiechem zwróciła się do Cleve'a:

- Gdyby nie ty, wlokłabym się za nim w kajdankach.

- Cieszę się, Boże, jak się cieszę! Pani mecenas, chyba zasłużyłem na nagrodę? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Czek z honorarium?

- Za mało.

- A co sobie wymarzyłeś?

- Prawdziwy wyraz wdzięczności.

Ujął jej twarz w dłonie, pochylił się i pocałował ją w usta. Gillian lekko się zachwiała, kiedy ją wreszcie uwolnił.

- Jak na zaliczkę, całkiem nieźle.

Chciał ją znowu pocałować, ale gdy spostrzegła, że jeden z malarzy gapi się na nich, odsunęła się od Cleve'a.

- Ten biedak omal nie spadł z drabiny.  
- Czyżby nigdy nie oglądał pocałunku zwycięstwa? No dobrze, resztę zostawimy na później. - Oczy mu lśniły entuzjazmem. - Wiem, co powinniśmy teraz zrobić. Pojedziemy do Lake Forest i zabierzemy Sarę. Powinna świętować razem z nami. Dzieciak będzie zachwycony.

Przez chwilę rozważała tę propozycję, po czym potrzęsła głową.

- Niedawno samowolnie opuściła szkołę i mogą jej nie puścić. - Nagle spoważniała. - Poza tym uważam, że dopóki Victor nie został złapany i Costello nie jest w pełni przekonany o jego winie, lepiej zostawić Sarę w szkole.

- Pewnie masz rację - przytaknął Cleve.

Miał zresztą lepszy plan na nadchodzący wieczór, wykluczający jednak obecność Sary. Potrzebna jest natomiast butelka dobrego wina, trochę sentymentalnej muzyki i królewskich rozmiarów łożo.

Objął Gillian ramieniem.

- Pani mecenas, w takim razie chodźmy do domu.

Na zewnątrz zapadła cisza, ale Victor się nie poruszył. Stał w ciemnościach, ogarnięty ślełą wściekłością.

Słyszał wszystko i wiedział, że jest skończony. Ta dziwka i jej przyjaciel pokrzyżowali mu plany. Ona pozostanie na wolności, a Victor znów trafi do więzienia. Tylko najpierw muszą go znaleźć...

Jeszcze nie jest za późno, skonstatował z rosnącym podnieceniem. Przecież wciąż jeszcze może ją zranić, sprawić jej ból.

W szkole w Lake Forest jest ktoś o imieniu Sara. Yictor

słyszał w głosie Gillian ton głębokiego przywiązania, gdy mówiła o dziewczynce. Czyżby jej córka? Nigdy o niej nie słyszał. Dlaczego Gillian trzymają w ukryciu? Ale to teraz nieważne. Sara znaczyła dla niej wiele, i tylko to miało znaczenie.

Będzie się mógł zemścić. Użyje do tego celu dziewczynki.

Najświętsza Oblubienica. Była w Akademii Najświętszej Oblubienicy. Wiedział, że jest to prywatna szkoła z internatem w Lake Forest. Przed laty przyjechał tam ze swoim teatrem marionetek.

Pora stąd wyjść. Ma jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Czas jest cenny, ale stracił jeszcze kilka minut, szukając kluczy. Wreszcie zrezygnował. Przecież te klucze nie będą mu już potrzebne.

Wyszedł ze schowka i, nie dostrzeżony przez nikogo, pospieszył ku wyjściu. Po chwili zgubił się w ulicznym tłumie.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Biły kościelne dzwony. Gillian słyszała je o kilka bloków stąd, wynurzywszy się z niespokojnego snu. Był czwartkowy ranek, a nie niedziela, więc pewnie odbywał się jakiś pogrzeb. Czuła dziwny niepokój, choć po ostatniej nocy powinna być szczęśliwa i radosna.

Kochali się, a Cleve był taki czuły i nienasycony. Dlaczego jest więc taka niespokojna?

Pewnie dlatego, że Costello jeszcze ich nie powiadomił o aresztowaniu Victora. Człowiek, który czyhał na jej życie, wciąż był na wolności.

Odwróciła głowę, by spojrzeć na Cleve'a i przez to nabrać otuchy, lecz srodze się zawiodła. Była w pokoju sama.

Dzwony zamilkły. W ciszy, jaka teraz zapadła, zza otwartych drzwi dobiegł ją zdenerwowany głos Cleve'a. Domyśliła się, że rozmawiał przez telefon. Nie rozumiała słów, ale jej złe przeczucia pogłębiły się.

Zapadła cisza, a po chwili Cleve wszedł do sypialni. Był już ubrany. Jedno spojrzenie na jego ponurą twarz powiedziało jej, że miała rację. Wydarzyło się coś złego!

- O co chodzi? - spytała, starając się nie poddawać panice. Cleve usiadł na brzegu łóżka i sięgnął po jej rękę.

- Rozmawiałem z porucznikiem. Coś się stało. To może być coś poważnego.

- Victor! Coś z Victorem, tak?

- Wczoraj późnym wieczorem policja poszła do jego mieszkania, ale go nie było. Zastawiono na niego pułapkę, ale bez rezultatu. Nie pokazał się w nocy, a dziś rano nie zgłosił się do pracy.

- Wynika z tego, że ktoś ostrzegł Victora. Tylko kto? - powiedziała zdumiona Gillian.

Nagle uświadomiła sobie, że Cleve uspokajająco ścisną jej rękę, jakby nie powiedział jeszcze najgorszego.

- Coś jeszcze? Mów wszystko.

- Dzisiaj rano malarze pracujący w „Huttonie” szykowali do remontu magazynek koło gabinetu Martineza i znaleźli pęk kluczy. Ustalono, że z całą pewnością należały one do Lassitera. Natychmiast powiadomiono o tym porucznika, który ustalił, że jeden z kucharzy widział, jak wczoraj po południu, już po naszej rozmowie obok magazynku, Victor wymykał się z hotelu.

Gillian popatrzyła na niego.

- Chcesz mi powiedzieć, że Lassiter, ukryty w magazynku, mógł wszystko słyszeć?

- Na to wygląda.

Gillian szybko przebiegła myślą, o czym rozmawiali, i nagle śmiertelnie zbladła.

- Sara! On wie o Sarze!

- Obawiam się, że tak. Nie powiedzieliśmy o niczym co by wskazywało, że to dziecko Molly, ale Victor dowiedział się, że mała jest kimś ważnym dla ciebie.

- Wymieniliśmy nazwę szkoły i miejscowość, więc

Victor wie, gdzie jej szukać! - Zerwała się z łóżka. - Musimy zawiadomić szkołę! Trzeba ich ostrzec, że Sara jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. O Boże!

Cleve położył dłoń na jej ramieniu.

- Spokojnie, kochanie. Powiedziałem Costello o małej i obiecał natychmiast zadzwonić do szkoły. Spowodował też, że do Akademii wysłano policjanta. Dziewczynka będzie pod dobrą opieką.

Gillian nieco się uspokoiła. No cóż, Costello wreszcie uwierzył, że to Lassiter, a nie ona, zabił Reardona. To się jednak teraz nie liczyło, bo najważniejsze było bezpieczeństwo Sary.

- Sama tam pojedę - rzekła, gramoląc się z łóżka. - Muszę być z nią. Skoro Victor jest na wolności...

Nie mogła skończyć tej przerażającej myśli.

- Zawiozę cię.

Złapała ubranie i poszła do łazienki, a po kwadransie była gotowa do drogi. Gdy jednak spojrzała na Cleve'a, zrozumiała, że znów coś się wydarzyło.

- Co jeszcze? - spytała przerażonym głosem.

- Znów dzwonił Costello. W szkole powiedziano mu, że godzinę przed jego telefonem dziewczynki, pod opieką dwóch nauczycieli, pojechały do rezerwatu przyrody.

Serce jej zamarło.

- Sara...

- Jest z nimi. Gillian, wszystko będzie dobrze. Lokalna policja już jedzie do rezerwatu.

Tak bardzo chciała, by Cleve miał rację. Że Sarze nic się nie stanie. Nauczyciele w Akademii Najświętszej Oblubienicy to ludzie odpowiedzialni i sumienni. Piknik jest tego

dowodem. Podczas letnich wakacji, gdy większość uczniów rozjechała się do domów, szkoła zapewnia pozostałym dzieciom rozmaite rozrywki i kształcące zajęcia.

To wszystko prawda, lecz Gillian wciąż przypominały się przerażające oczy Lassitera. Po prostu umierała ze strachu o Sarę.

Gdy ruszyli w drogę, powiedziała:

- Skoro nie może mnie zniszczyć w jeden sposób, próbuje innego. To okrutny, obłąkany człowiek.
- Przestań się torturować. Sara może być bezpieczniejsza na wycieczce niż w szkole, gdzie Lassiter będzie jej szukał. Weź to pod uwagę.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Tylko...
- Co?
- Najprawdopodobniej on myśli, że Sara jest moją córką. Może popełniłyśmy z Molly błąd, trzymając wszystko w tajemnicy. Gdyby Yictor wiedział, że ona jest córką Molly... - Głos jej się załamał. - Zresztą, nie sposób przewidzieć, co wtedy mogłoby narodzić się w jego chorym umyśle... Och, Cleve, nie zniósę tego, gdyby coś jej się stało.
- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Jechali drogą ekspresową w kierunku Lake Forest, kłucząc wśród samochodów. Tym razem Gillian była wręcz zadowolona z brawurowych wyczynów Cleve'a.

Gdy przybyli do Akademii, ujrzeli szkolny mikrobus, który już wrócił z rezerwatu i zaparkował pod głównym wejściem, a za nim stał policyjny wóz patrolowy z zapalonymi światłami.

Na chodniku zgromadzili się ludzie. Gillian rozpoznała przedstawicieli dyrekcji szkoły, którzy rozmawiali z umundurowanymi oficerami policji. Sami dorośli.

Porucznik Costello także tam był. Kiedy Gillian i Cleve wyszli z auta, inspektor podszedł do nich. Na jego piegowatej twarzy malował się ponury wyraz, który uprzedził Gillian, że za chwilę usłyszy coś strasznego.

- Nie jest dobrze - oznajmił, przechodząc od razu do rzeczy. - Sądźmy, że Lassiterowi udało się ją porwać.

- Jak to się mogło, na litość boską, stać? - gniewnie wybuchnął Cleve, obejmując ramieniem Gillian, która zaniemówiła.

Costello ze smutkiem pokiwał głową.

- Nikt tego nie widział, tylko tak przypuszczamy. Ale sądźmy, że Lassiter przybył tu zeszłego wieczoru, kiedy załadowywano mikrobus. Jedna z dziewcząt widziała jakiegoś nieznanego mężczyznę, który szedł przez trawnik. Ale w tym nie ma nic niezwykłego, to park publiczny i ludzie zawsze spacerują.

- Dlaczego nauczyciele nie byli bardziej czujni?

- Nie może ich pan winić, McBride. Proszę pamiętać, że to wszystko stało się, zanim powiadomiono ich o zagrożeniu, natomiast Lassiter nie rzucał się w oczy. Pewnie gdzieś się ukrył, by ustalić, która z dziewczynek jest Sarą Randolph. Nauczyciele często zwracają się do uczennic po nazwisku.

- Co się wydarzyło?

- Podczas wędrowki dziewczynki miały przykazane, by zawsze trzymały się grupy, ale wiecie, jakie są dzieciaki. W pewnej chwili Sara i jej przyjaciółka podbiegły do

skraju lasu, a potem ruszyły z powrotem. Przyjaciółka biegła przodem, i nagle okazało się, że Sary nie ma.

- Znikła - szepnęła Gillian. W sercu czuła kamień.

- Zaczęto jej szukać, kiedy pojawiła się lokalna policja - ciągnął Costello. - Odesłano mikrobus do szkoły. Przeszukano dokładnie rezerwat, ale nie odnaleziono ani dziewczynki, ani Lassitera.

- A więc jest w jego rękach - rzekł Cleve głosem chrapliwym z furii. - Co teraz będzie?

- Zrobimy wszystko, żeby ją odzyskać. Podaliśmy policji jej dokładny rysopis.

Gillian otrząsnęła się z szoku i żalu. Przekazała inspektorowi informację, która mogła być ważna.

- Poruczniku, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale powinien pan wiedzieć...

Wyjaśniła mu, kim jest dla Sary, i że Victor nic o tym nie wie. Również dziewczynka nie wie, że Lassiter był mężem jej matki i zarazem jej zabójcą.

- Zrobimy, co w naszej mocy, pani Randolph - obiecał inspektor ze współczuciem. - McBride, proszę, by zabrał pan panią Randolph do domu i pozostał przy niej. Tu państwo nic nie pomogą, natomiast Lassiter może skontaktować się z wami. McBride, gdyby do tego doszło, żadnych bohaterских wyczynów, tylko proszę niezwłocznie nas zawiadomić.

Późnym popołudniem wrócili do domu.

Gillian stała przy oknie i spoglądała w dół na ulicę.

- Wiesz, dlaczego on ją uprowadził? Skoro nie udało mu się mnie wsadzić do więzienia, wykorzystał Sarę jako narzędzie zemsty.

- Przestań się karać. To nic nie pomoże.
- A co mam robić? Siedzieć i czekać? - powiedziała gniewnie.
- Słuchaj - rzekł zakłopotany - czy mogę coś dla ciebie zrobić? Może chcesz mrożonej herbaty?
- Nie, Cleve. Nie chcę niczego. - Uśmiechnęła się przepraszająco.
- Jesteś wyczerpana.
- Nie spałam dobrze tej nocy.
- Połóż się.
- Na pewno nie zasnę.
- Wiem, ale przynajmniej odpoczniesz.

Nie dając jej szansy na protest, ujął Gillian za rękę i pociągnął do sypialni.

- Kładź się. Położę się razem z tobą.

Zrzuciwszy obuwie, wyciągnęli się na łóżku. Cleve przytulił ją do siebie. Obracając się na bok, zaczął masować jej kark. Wiedziała, że tylko tyle mógł teraz dla niej zrobić, po prostu okazać czułość. Zachciało jej się płakać.

Cleve czuł w sercu gniew. Przyrzekł, że ochroni Sarę, ale zawiódł. Nie jest jednak jeszcze za późno. Może spróbować...

Głośny dzwonek na stoliku przy łóżku przestraszył ich, mimo że go oczekiwali. Cleve podniósł słuchawkę. Gillian obserwowała go z niepokojem.

- To był Costello - wyjaśnił, odkładając słuchawkę.
- Znaleźli samochód, który wczoraj wypożyczył Lassiter. Był pusty i porzucony na parkingu. Jak na razie to wszystko. Stwierdził, że Lassiter jest za sprytny na to, by kontaktować się przez telefon, gdyby jednak zadzwonił, będzie

namierzony. Powiedział, że jest z tym jakiś problem prawny, ale nie wiem, o co chodzi.

- Ponieważ - wyjaśniła Gillian - nawet jeśli wyrażę zgodę na podsłuch, policja potrzebuje zezwolenia sądowego.

- Jasne. - Nie dodał, że zdesperowany prywatny detektyw nie czekałby na takie zezwolenie.

Mijało popołudnie. Costello już więcej nie zadzwonił.

To było takie miejsce, które nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Wystarczył sam jego wygląd. Ściany dopominały się o świeżą farbę, wszędzie były plamy, meble wyświechtane ze starości. Był to podrzędny motel w zrujnowanym sąsiedztwie.

Lecz Victor potrzebował tylko bezpiecznego schronienia na kilka godzin. Zapłacił za pokój.

Teraz, przy zasuniętych zasłonach, siedział samotnie przy stole. Materiały, które zakupił w sklepie wczoraj, leżały przed nim. Pracował pospiesznie z wprawą i zręcznością. Od czasu do czasu rzucał okiem na nieruchomą postać wyciągniętą na łóżku. Z rękami złożonymi na pierśsiach przypominała baśniową księżniczkę, leżącą na marach. Piękny widok...

Ale dziewczynka nie była martwa, tylko nieprzytomna. Będzie w takim stanie długie godziny, tak przynajmniej zapewniał go kumpel, którego poznał w Joliet. Ten sam, który udostępnił mu broń i samochód, zaparkowany teraz za motelem.

Znów zajął się swoją pracą. To będzie jego ostatnia w życiu marionetka, więc chciał, żeby się udała.

Wreszcie skończył. Usiadł wygodnie i przyglądał się



swojemu dziełu. Był usatysfakcjonowany. Spojrzał na zegarek. Pora wyjść i poszukać automatu telefonicznego z dala od motelu. Miał do załatwienia dwie rozmowy, jedną teraz i drugą nieco później.

Wstał od stołu i popatrzył na dziewczynkę. Nawet nie drgnęła, ale dla pewności związał ją i zakneblował. Rozwiąże ją po powrocie.

Wyślizgnąwszy się z pokoju, zamknął za sobą drzwi, schował klucz do kieszeni i wyszedł wykonać swój plan.

Cleve rozważał możliwości działania, kiedy znów zadzwonił telefon. To musi być to! Rozmowa, na którą tak długo czekali!

Podniósł pospiesznie słuchawkę.

- Mieszkanie Gillian Randolph.
- Czy mówię z prywatnym detektywem?

W głosie słychać było zdenerwowanie. Brzmiał znajomo, ale Cleve nie rozpoznał, kto mówi. Gillian podparła się na łokciu, oczekując, aż Cleve zidentyfikuje dzwoniącego. Potrząsnął głową na znak, że nie jest to ani porucznik Costello, ani Victor Lassiter.

- Tak, tu Cleve McBride. Kto mówi?
- Rudy Martinez z hotelu, „Hutton”.

Teraz rozpoznał głos. Widać adwokat Martineza załatwił zwolnienie. Po co, u diabła, on tutaj dzwoni?

- Pamiętam. Czego chcesz, Rudy?
- Chciałbym się uwolnić od tego, w co Victor mnie wpackował.
- Porucznik Costello obiecał ci, że jeśli będziesz współpracował...

- Nie mam gwarancji, że znów mnie nie wsadzą, a chciałbym mieć pewność, że nie wrócę do więzienia. I może mi się to uda, jeśli ci pomogę. Słyszałem, że nie możecie znaleźć Victora. Przypuszczam, że wiem, gdzie się schował i mógłbym was zaprowadzić do niego.

- Gdzie to jest?

- Nic nie powiem przez telefon. Zadzwoiłem, bo chciałem się upewnić, że jesteście tym zainteresowani. Jeśli tak, to zadzwonię, aby się upewnić, gdzie jest Victor. Nieważne, do kogo.

- Dlaczego nie zwróciłeś się z tym wprost do porucznika Costello?

- Żadnych gliniarzy - zażądał Rudy, w jego głosie słychać było panikę. - Gdyby Victor się dowiedział...

- Dobrze - przerwał mu Cleve niecierpliwie. - Rozumiem. Jesteś wystraszony i chcesz, żebym był twoim pośrednikiem.

- Zgadzasz się?

- Co mam robić?

- Spotkamy się, powiedzmy, za pół godziny - poinformował go Martinez.

- Gdzie? W hotelu?

- Nie, przy Grant Park po przeciwnej stronie ulicy na wprost hotelu. I wiesz co?

- Co?

- Lepiej przyjdź sam, bo nie będę rozmawiał.

Odłożywszy słuchawkę, Cleve pospiesznie streścił rozmowę Gillian.

- Wierzysz mu? - zapytała.

- A czy mam jakiś wybór?

- To prawda.
- Popatrzył na nią.
- Nie lubię zostawiać cię samej, ale ktoś musi czekać przy telefonie.
  - Nie martw się o mnie.
  - Zadzwoń do Moody'ego Jacksona, by został z tobą.
  - A co będzie, jeśli zadzwoni porucznik Costello i zapyta, gdzie jesteś?
  - Powiedz mu, że się z nim skontaktuję, jak tylko coś będę wiedział. Nie spodoba mu się to, ale trudno. A gdyby zadzwonił Lassiter...
  - Wiem - odparła. - Dam znać policji.
- Cleve zadzwonił do Jacksona. Ochroniarz obiecał zaraz przyjechać.
- Nie chciałbym cię zostawiać samej, zanim przyjedzie Moody - rzekł Cleve, wkładając buty - ale jeśli teraz nie wyjdę, nie zdążę na spotkanie z Martinezem.
  - Nie martw się, zamknę się na łańcuch. Cleve?
  - Tak?
  - Uważaj na siebie. Nie chciałabym, żebyś zniknął bez śladu jak Sara.
  - Wrócę - obiecał jej. -I to razem z małą.
- Ledwie Cleve zniknął, rozległ się domofon. Mike zaczął zapamiętane ujadać. Uciszyła psa i poszła otworzyć.
- Spodziewała się Jacksona, więc zdziwiła się, gdy młody głos przedstawił się jako pracownik poczty kurierskiej.
- Mam przesyłkę dla pani Randolph.
- Nie spodziewała się żadnej przesyłki. Czyżby to miało jakiś związek z Victorem? Nie mogła tego zignorować.

- Drugie piętro - poinformowała kuriera, otwierając przyciskiem drzwi.

Miała drzwi zamknięte na łańcuch, gotowa je zatrzaskać, gdyby dostrzegła coś podejrzanego, ale posłaniec miał na sobie pocztowy uniform i czarujący uśmiech. Budził zaufanie.

- Chwileczkę. - Gillian przymknęła drzwi, zdjęła łańcuch, a potem otworzyła je znowu, by przyjąć paczkę.

- Nie wie pan, skąd ona pochodzi? - zapytała, kwitując odbiór.

- Ja tylko dostarczam, proszę pani.

Podziękowała i zamknęła za nim drzwi. Mike stał, machając ogonem i zabawnie spoglądał na nią, podczas gdy Gillian przyglądała się paczce.

Nie było adresu nadawcy, ale teraz już miała pewność, kto nim jest. Kształt paczki i rozmiar były znajome. Coś większego od pudełka na buty, owiniętego w brązowy papier i przewiązanego sznurkiem. Gillian otrzymała taką przesyłkę tuż po wyjściu Lassitera z więzienia.

Drżała, obawiając się otworzyć paczkę, ale wiedziała, że musi to zrobić, by pomóc Sarze. Zniosła pakunek do kuchni. Mike szedł za nią. Wyjęła nóż z szuflady i przecięła sznurek. Potem trzęsącymi się rękami zdjęła brązowy papier i otworzyła wieko pudełka.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w marionetkę. Podobieństwo było uderzające. Lassiter miał Sarę.

Zaszokowało ją ubranie lalki. Miała na sobie niebiesko-biały kostium ulubionej drużyny baseballowej Gillian, czyli Szczeniaków.

Pomyślała, że ten ubiór to przejaw jego chorobliwego

poczucia humoru; dowód, że napawa się świadomością, iż ukradł jej coś cennego. Ale ten nikczemny żart miał pewien cel, który odkryła, gdy wyjęła marionetkę z pudełka.

Na dnie leżała kartka. Rozłożyła ją, lecz pismo było tak nieczytelne, że potrzebowała okularów. Wreszcie z bijącym sercem zaczęła czytać:

*Czy nadal kochasz swoich pupili? Będą dziś grali w fi nałowych rozgrywkach. Przyjdziemy tam ich podziwiać. Może i ty byś przyszła? Będę na ciebie czekał na polu środkowym, kiedy już cały tłum rozejdzie się do domu. Wymyśl jakiś sposób, by obsługa nie wyprosiła cię ze stadionu. Wtedy, gdy zapanuje spokój, zagramy w naszą własną grę. Tylko ty i ja, Gillian. Jeśli kogoś przyprowadzisz ze sobą, twój mały faworyt wypadnie z gry. Ale jeżeli będziesz przestrzegać reguł, to kto wie, może go nawet puszczę wolno.*

Rzucał jej wyzwanie, by ratowała Sarę. Jego instrukcje były oczywiste. Gillian ma przyjść na boisko Wrigley Field i zostać po meczu. Jeśli zjawi się sama - bez Cleve'a, bez policji - Lassiter zaproponuje jej wymianę. Sara będzie wolna, a ona...

Zadrzała na myśl, jaki będzie skutek takiej transakcji. Oczywiście, jeśli posłucha Victora, nie ma wcale pewności, że małej nic się nie stanie. Jeżeli jednak go przekona, że dziewczynka nie jest jej córką, być może nie skrzywdzi Sary.

Nie miała złudzeń, co się z nią stanie, gdy odda się w ręce Victora, lecz była gotowa na wszystko. Zawiadamiąjąc policję, narazi Sarę na śmierć. A Cleve... Nie może

dopuścić, by człowiek, którego kocha, stał się celem szaleńca.

Musi pójść sama. Wyjść teraz, zanim Cleve wróci.

Zadzwęczał domofon. Przestraszyła się. Moody Jackson! Zapomniała o nim.

Nowy problem. Jeśli zignoruje dzwonek, ochroniarz pomyśli, że ma kłopoty i włamie się. Musi go wpuścić. Ale jak wyjść z domu bez niego?

Domofon dzwonił niecierpliwie. Mike zaczął szczeakać. Spanikowana Gillian schowała list Lassitera do kieszeni spodni, a potem zamknęła pudełko i schowała je do kosza.

Mike obwąchiwał podejrzliwie ochroniarza, gdy w chwilę potem otworzyła mu drzwi, po czym polizała jego rękę.

- Hej, pamięta mnie - powiedział Moody z uśmiechem. Po czym zwrócił się do Gillian z marsmem na brodatej twarzy. - Długo nie otwierałaś. Czy wszystko w porządku?

- Tak - zapewniła go Gillian. - Byłam w łazience.

- Aha.

- Podać ci coś? - zaproponowała szybko, by ukryć zdenerwowanie. - Jest piwo w lodówce i precelki, które lubisz.

- Może być.

Już po chwili Moody, zadowolony, rozsiadł się na sofie w salonie, popijając piwo. Gillian wciąż rozważała możliwości ucieczki z domu. Mike dawał jej taką szansę. Labrador pchał nosem zamknięte drzwi kuchni.

- Czego chce? - spytał Moody.

- Musi wyjść na podwórko. Zostań tu, wyprowadzę go.

Ochroniarz kiwnął głową. Był zapatrzony w jakiś stary film, kiedy Gillian wychodziła. Zabierając torebkę z kuchennego stołu, otworzyła drzwi od zaplecza domu.

- Moody wpuści cię z powrotem - szepnęła do psa, który zaczął węszyć po podwórku.

Nie chciała oszukiwać ochroniarza, ale nie było innego wyjścia.

Wyszła boczną bramą.

Poczuła w sobie dziwny, chłodny spokój. Była gotowa na wszystko.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gillian nie potrafiła przestać myśleć o Clewie. Będzie wściekły, kiedy wróci i jej nie zastanie. Miała poczucie winy i żalu.

Lepiej pielęgnować w sobie miłe wspomnienia o człowieku, którego kochała. Jego brązowe włosy przetkane siwizną, skręcone na opalonym karku. Jego zmysłowy timbre głosu. Jego cudowne ręce pieszczące jej ciało. I ten jego wzrok posiadacza.

Zbierała te wszystkie wspomnienia, bo mogła już ich więcej nie doświadczyć. One dodawały jej odwagi.

Przeszła przez ruchliwą ulicę. Samochody jechały z włączonymi światłami. Zmierzchało. Słońce znajdowało się już za budynkami po drugiej stronie Clark Street.

Gdy przechodziła obok cmentarza Graceland, wiatr zmienił kierunek. Wiał teraz od strony jeziora Michigan na wschód. Wzmógł się, rozpraszając gęstą mgłę, która spowijała miasto od wielu dni.

Zmiana pogody była nagła i całkowita, jak to często bywa w Chicago. Ulga po męczących upałach byłaby pożądana, gdyby Gillian była odpowiednio ubrana. Drżąc w letnim ubraniu, przyspieszyła kroku.

Wreszcie dotarła na miejsce. Kompleks sportowy na Wrigley Field, jeden z najstarszych w kraju, dotąd koja-



rzył się jej z samymi miłymi przeżyciami, jednak teraz, w rzednącym świetle dnia, wyłaniał się przed nią niczym potężna i groźna forteca.

Gdzie on jest, do diabła?

Cleve przystanął na chodniku koło Grant Park, by spojrzeć na zegarek. Czas już dawno minął. Rudy Martinez nie przyszedł na spotkanie. Coś musiało się stać.

Obserwując wejście do „Huttona” po przeciwnej stronie ulicy, Cleve postanowił nie czekać dłużej. Czy to się Martinezowi spodoba, czy nie, ma zamiar pójść do niego do hotelu.

Przeszedł Michigan Avenue i wkroczył do holu. Nie musiał pytać o drogę. Pamiętał ją z poprzedniej wizyty.

Martineza nie było w biurze, natomiast za jego biurkiem siedziała młoda kobieta, która omawiała z mistrzem kucharskim szczegóły jakiegoś bankietu. Spojrzała na Cleve'a ze zdziwieniem.

- Czy mogę w czymś panu pomóc?
- Czy Rudy Martinez jest gdzieś w pobliżu?
- Już u nas nie pracuje.

Cleve wlepił w nią wzrok. Przez chwilę stał ogłuszony. I wtedy nagle zrozumiał. Lassiter! To on musiał dzwonić. Tak łatwo naśladował różne głosy, a Cleve dał się nabrać na to przedstawienie.

Jest kompletnym durniem! Lassiterowi udało się odizolować go od Gillian, która została bez opieki. Musi do niej wracać! I modlić się, żeby Lassiter nie trafił tam wcześniej.

Pędził jak szaleniiec, powodując masę zagrożeń drogo-

wych, ale nie dbał o to. Chciał jak najprędzej być przy Gillian. Uspokajała go jedynie myśl o Moodym Jacksonie. Dobrze, że miał tyle rozsądku, by go sprowadzić. Lecz ku swej rozpaczy zastał Moody'ego samego na ulicy. Coś się musiało stać. Moody zbudowany był jak zapaśnik, ale mazał się jak dziecko.

- Ona wyszła, Cleve. Nie widziałem tego. Przeszukałem całą okolicę. Poszła pieszo, bo samochód wciąż tu jest. Dlaczego ona wyszła i dokąd?

Moody utrzymywał, że nigdzie nie było śladu Lassitera ani żadnych oznak walki. Chyba że Lassiter czekał na nią na podwórku.

- Jej torebka - przypomniał sobie Cleve. - Leżała w kuchni, na stole. Jest tam?

Moody nie wiedział.

- Poczekaj tutaj. Pójdę jej poszukać. Bo jeśli nie ma torebki, to znaczy, że jej nie porwano. Wyszła sama.

Tak też pewnie było, pomyślał Cleve, biegnąc po schodach. Lassiter musiał użyć dziewczynki, żeby wywabić Gillian z mieszkania. Gillian poszła ratować małą. Ale dokąd?

To Mike pomógł mu znaleźć odpowiedź. Cleve, zaraz po wejściu do kuchni, upewnił się, że torebka znikła. Labrador obiegł wokół stół, by się przywitać. W pysku miał jakąś zabawkę.

Marionetka. Mała dziewczynka. Nie miał wątpliwości, kogo przedstawiała. Przewrócony kosz na podłodze w kuchni dopowiedział mu resztę historii.

Podczas jego nieobecności dostarczono przesyłkę, a najpewniej też instrukcje. Gillian schowała marionetkę przed Moodym, lecz Mike wygrzebał ją z kosza.

Opakowanie wciąż leżało na podłodze. Cleve przeszu-  
kał je, ale nic nie znalazł. Wreszcie zwrócił uwagę na ubiór  
marionetki. Wiedział już teraz, dokąd poszła Gillian.

Moody czekał na niego na schodach. Minał go i rzucił  
mu tylko przez ramię:

- Dzwon na policję, Moody! Wyślij ich do kompleksu  
sportowego.

Jednak zapomniał o czymś w pośpiechu. Dla Moody'e-  
go Jacksona liczył się tylko jeden kompleks sportowy. Ten,  
przy którym obaj wyrastali i gdzie grał zespół Białej Skar-  
pety. Był to Comiskey Park, a nie Wrigley Field.

Mężczyzna w kasie biletowej żuł gumę. Spojrzał na  
Gillian, jakby była niespełna rozumu.

- Mecz już się prawie kończy - poinformował ją. -  
Drugi i ostatni. Dlaczego pani chce...

- Proszę, to bardzo ważne. Mam się z kimś spotkać,  
obiecałam, że przyjdę.

Potrząsnął głową, ale ku jej uldze sprzedał bilet. Gillian  
pospiesznie weszła w bramę i szła krętym, wybrukowa-  
nym cegłą przejściem. W chwilę potem znalazła się na  
ogromnych trybunach, które otaczały boisko niczym  
gigantyczny bumerang.

Piękna pogoda i dwa mecze przyciągnęły olbrzymi  
tłum. Victor i Sara mogli skryć się w nim albo przebywać  
gdzieś w głębi parku. Gillian wiedziała, że sama ich nie  
znajdzie. Jedyne, co mogła zrobić, to czekać na Victora.

Jej miejsce znajdowało się nad boksem drużyny prze-  
ciwnika. Usiadła, po raz pierwszy w życiu obojętna na to,  
co dzieje się na boisku. Odwracając wzrok od trybun,

próbowała skupić się na grze. „Szczeniaki” prowadziły ze znaczną przewagą, a mecz zbliżał się do końca.

Odwróciła wzrok od tablicy wyników, po czym znów na nią spojrzała z namysłem. Wiedziała, że w środku jest puste pomieszczenie, tak by można było manewrować tablicą ręcznie. Nie sposób jednak dostać się tam nieopstrzeżenie. Zatem gdzie? Gdzie ma się ukryć, by po meczu, gdy widzowie opuszczą stadion, nie zauważyła jej obsługi?

Nagle spostrzegła, że w ścianie były jakieś drzwi. Gillian pamiętała, że wchodzi się przez nie do jednej z salek treningowych.

Tłum podniósł się, wiwatując na cześć Szczeniaków. Gillian podjęła już decyzję. Gdy kibice zaczęli przepychać się ku wyjściu, ona prześlizgnęła się do drzwi w murze i szybko weszła do środka. Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważył.

Gdy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, spostrzegła, że pomieszczenie obecnie wykorzystywane jest jako skład różnych urządzeń sportowych.

Mijały długie, pełne napięcia chwile, które spędziła na oczekiwaniu, modląc się, żeby nikt jej tu nie odkrył albo, co gorsza, nie zamknął drzwi od zewnątrz.

Sekundy wlokły się w nieskończoność. Gillian nie mogła już dłużej wytrzymać napięcia. Wstała. Ciemności pogłębiły się. Nie widziała już zegarka, ale oceniała, że minęło jakieś czterdzieści minut, może nawet więcej. Teraz mogłaby już bezpiecznie wyjść na boisko.

Ostrożnie uchyliwszy drzwi, nasłuchiwała. Nic. Otworzyła szerzej i wyszła na zewnątrz. Prócz niej, na stadionie

nie było żywego ducha. No poza tym, że gdzieś tam czaił się Lassiter...

Zmierzchało, było chłodno i wiał przenikliwy wiatr od jeziora Michigan. Gillian ruszyła w stronę boiska.

Po chwili zatrzymała się. Nerwy odmawiały jej posłuszeństwa. Trzęsła się ze zdenerwowania i z zimna. Jedyne, co mogła zrobić, to czekać. Samotna postać w półmroku. Nigdy jeszcze nie czuła się taka bezradna, taka słaba.

Nic nie poruszyło się w ciszy zalegającej park. Gdzie jest Victor? Czy obserwuje ją z ukrycia? Dlaczego nie przychodzi? Nie mogła już znieść tej tortury.

Po chwili ujrzała ich. Dwie małe postaci wysoko, na górnym tarasie. Zaczęli do niej schodzić w szarym świetle. Gillian nabrała głęboko tchu, przygotowując się do konfrontacji.

Za późno!

Cleve zaklął gniewnie, gdy doszedł do wejścia F. Solidna krata była już opuszczona. Nikogo ani śladu.

- Hej, jest tu kto?! - zawołał. - Otwórzcie! To pilna sprawa!

Żadnej odpowiedzi.

Domyślał się, że inne wejścia też są zamknięte, musiał jednak to sprawdzić. Truchtem obiegł cały stadion. Nic tylko zamknięte bramy i ślepy mur, zbyt wysoki, żeby się na niego wspiąć.

Jeśli Wrigley Field działa podobnie jak Comiskey Park, a tak jest z pewnością, to ma liczne siły porządkowe. W czasie meczu pilnują tłumu, ale potem rozchodzą się wraz z zawodnikami i personelem.

Na noc zostaje tylko dozorca, który, zamknięty w jakimś pomieszczeniu bez okien, patrzy na monitory. Pozostałe pomieszczenia są puste.

Lecz nie tego wieczoru. Gdzieś tu musi być Gillian oraz Sara z tym psychopata. Więc musi się tam dostać. Ale jak?

Był już u szczytu desperacji, kiedy znalazł się z boku stadionu. I wtedy ujrzał ciężarówkę, zaparkowaną przy wejściu służbowym. Brama była szeroko otwarta. Gdy do niej podszedł, ujrzał dwóch mężczyzn prowadzących wózek. Znajdowały się na nim kontenery, które załadowali na ciężarówkę. Czyżby to byli dostawcy żywności? - pomyślał Cleve.

- Jeszcze tylko jeden wózek - usłyszał - i zmywamy się stąd.

Kątem oka dostrzegł, jak wchodzi do środka. Cleve błyskawicznie wszedł za nimi do parku i pobiegł wąskim pasażem wzdłuż rampy, a potem przykucnął.

Wreszcie metalowe drzwi zatrzęsnęły się. Został sam.

Co teraz? Wspiął się na długą rampę. Na górze znajdowały się słabo oświetlone korytarze, rozchodzące się w różnych kierunkach. Prawdziwy labirynt.

Zatrzymał się, próbując znaleźć korytarz, który zaprowadzi go na otwartą przestrzeń. A gdzie, u diabła, są policjanci, po których miał posłać Moody? Powinni już tu być.

Wydobył colta z kabury pod marynarką i sprawdził, czy na pewno jest załadowany, a potem ruszył korytarzem po lewej stronie.

Victor miał w ręku broń, którą ponaglał Sarę do marszu. Dziewczynka szła, powłócząc nogami. Nawet z daleka,

w półmroku, Gillian dostrzegła, że jest wyczerpana i oszołomiona. A zawsze była taka żywa i rozbrykana...

Pewnie jest w szoku, pomyślała, lub Lassiter dał jej jakiś środek oszołamiający.

Victor nie spieszył się. Triumfował. Mruknął coś małej na ucho. Sara posłusznie zatrzymała się. Głowę miała spuszczoną, jakby brakowało jej sił.

- Wystarczy, już dalej nie trzeba - powiedział swym zimnym, martwym głosem. - Na razie - dodał.

Gillian wiedziała, że mówi do niej, nie do dziewczynki. Zatrzymała się.

- Victorze! - zawołała - pozwól jej odejść. Nie jest ci już potrzebna. Masz, czego chciałeś. Jestem tutaj.

Na dźwięk jej głosu Sara podniosła głowę, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z obecności Gillian. Dziewczynka była przerażona i zdezorientowana.

- Gillian? - spytała niepewnym głosem.

Victor mruknął coś do ucha dziewczynki, która natychmiast opuściła głowę i zamilkła.

- Widzisz - pochwalił się - robi, co jej każę. Jest jedną z moich marionetek. Wystarczy pociągnąć za sznurek, i zaraz tańczy, jak jej zagram.

To potwór, pomyślała z gniewem Gillian. Tylko potwór mógł się tym rozkoszować.

Chciała go zwymyślać, odsądzić od czci i wiary, ale przecież przyszła tu po to, by uratować dziecko.

- Victorze, posłuchaj mnie - błagała.

- Aha, ustawiasz się do gry. Dlaczego nie, skoro stoisz we właściwym miejscu?

- Musisz mnie wysłuchać.

To była najtrudniejsza sprawa w jej życiu. Wymagała umiejętności perswazji. Musi ją wygrać. Od tego zależy życie Sary.

- Jest coś, o czym nie wiesz - mówiła z przejęciem.

Lassiter roześmiał się chrapliwie.

- Myliłem się. Nie jesteśmy na boisku baseballowym, tylko na rozprawie w sądzie, prawda?

Gillian zignorowała jego sarkazm.

- Sara nie jest moją córką. To dziecko Molly. Molly była w ciąży, kiedy cię opuściła. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? To jej dziecko.

Zapadła cisza. Okropna cisza. Gillian wiedziała, że ryzykuje, wyjawiając tę pół prawdę i pół kłamstwo.

Odpowiedź Victora była ostra i gwałtowna.

- Kłamiesz!

- To prawda. Spójrz na nią. Otwórz oczy i spójrz na nią. Ma karnację Molly i jej oczy, ale twoją twarz. Nie możesz jej skrzywdzić. Nie możesz skrzywdzić własnego dziecka.

Znów zapadła długa cisza. Czy Victor uwierzył w jej kłamstwo? Oboje z Sarą mieli pociągłe twarze. Czy to dosyć, by go przekonać o podobieństwie? Kiedy wreszcie zapadnie wyrok? Gillian czuła, że przegrała.

- Zamknij się! - warknął ze złością. - Zamknij jadaczkę albo ja to zrobię!

I wycelował w nią broń. Gillian zeszywniała.

Będzie walczyła aż do końca, chociaż straciła już nadzieję. Rozejrzała się, szukając pomocy. I oto niespodziewanie znalazła ją.

Cleve! Przykucnął na trybunie z rewolwerem w rękę!



Victor nie dojrzał go w mroku, bo jego uwaga skupiona była na Gillian.

Widziała, jak Victor szczyrzy zęby w uśmiechu triumfu, niemal wyczuwała, jak naciska spust. Krzyknęła:

- Nie!

I wtedy szczęknęła broń.

Strzelał Cleve, a kula trafiła w cel. Nie w Lassitera, ale w broń w jego wyciągniętej ręce.

Widać było błysk, iskry posypały się z metalu, a potem Victor z rykiem rzucił się po swój pistolet, który potoczył się niczym piłka.

- Gillian! - krzyknął Cleve - bierz Sarę i uciekaj!

Zrobiła to bez chwili wahania. Biegąc, uświadomiła sobie, że Cleve wciąż strzela. Próbował dosięgnąć Victora, nie narażając Gillian i małej. Starał się uniemożliwić mu znalezienie broni. Victor to podskakiwał, to schylał się, rzucając przekleństwa.

Gillian dobiegła do Sary i schwyciła ją za rękę. Rzuciła okiem w stronę trybuny. Rewolwer Cleve'a milczał. Skończyły się naboje. Victor, cały i zdrowy, podniósł broń.

Musi znaleźć z Sarą jakieś schronienie. Dziewczynka, wciąż oszołomiona, opierała się przez chwilę, lecz Gillian pociągnęła ją za sobą i wpadły do jakiegoś korytarza.

- Dokąd idziemy? - spytała mała.

- Tam, gdzie nas nie znajdą. - Podeszły do stalowych drzwi.

Wąski korytarz prowadzący z boiska, wznosił się pod trybunami niczym antyczna piramida. Słabe lampy oświet-

łały drogę. Było mrocznie i cicho. Jedyny słyszalny dźwięk to odgłos ich kroków na cementowej podłodze.

Mała, nie mogąc znieść ciszy, zapytała z zapartym tchem:

- Czy to prawda, co mu powiedziałaś? To nie może być prawda!

- Kochanie, przysięgam ci, że to nieprawda, ale musiałam mu tak powiedzieć, żeby nie zrobił ci krzywdy.

Ucieszyło ją, że dziewczynka zaakceptowała jej zapewnienie. Znowu zamilkły, posuwając się tunelem. Gillian uważnie nasłuchiwała, ale wokół było cicho. Gdzie jest prześladowca?

Wreszcie dotarły do wielkiego pomieszczenia podzielonego ściankami działowymi.

- To szatnia Szczeniaków - szepnęła Gillian.

Wiedziała, że gdzieś w pobliżu znajduje się lokal klubowy, a także biura, siłownia i inne pomieszczenia. Jednak każde z nich mogło stać się dla nich pułapką.

Trzeba iść dalej. Muszą uciekać przed szaleńcem. Gdzie jest teraz Cleve? Modliła się o jego bezpieczeństwo. To jedyne, co mogła zrobić.

Victor z bronią w ręku, gotów iść śladem Gillian i dziewczynki, zawahał się. Lepiej pójść górą i odciąć im drogę.

Nie mogą mu uciec. Musi zniszczyć tę dziwkę. I małą także. Jego córka? Nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości.

Jedyny problem stanowił McBride. Detektyw musiał załadować swój rewolwer, dzięki czemu Lassiter mógł

dotrzeć do trybun, ale teraz usiłował odciąć mu drogę, lawirując wśród miejsc trzeciego sektora.

Victor wskoczył na cementowe schodki między rzędami miejsc. To było jak zdobywanie góry, stromo i niebezpiecznie. Kula świsnęła nad jednym z rzędów, który mijał, potem druga nisko, tuż koło jego nóg. McBride gonił go.

Rozwścieczony Victor odwrócił się, podnosząc broń. Nacisnął spust, ale bez rezultatu. Widać kula McBride'a uszkodziła mechanizm. Z dzikim przekleństwem odrzucił bezużyteczną broń w ciemność.

Cleve strzelił jeszcze dwa razy, gdy Lassiter odwrócił się i zaczął biec. Żaden z tych strzałów nie padł blisko niego. Może jest za ciemno. Ruchomy cel? Żadne z tych wyjaśnień nie było prawdziwe, jak stwierdził Victor, ogłędając się za siebie.

McBride chybił, ponieważ klęczał teraz na kolanach. Zdumiony Victor zatrzymał się. Gotów do natychmiastowej ucieczki, gdyby to był jakiś trick, obserwował, jak detektyw próbuje podnieść broń. Nie udało się. Ramię mu opadło, a on sam zwalił się na schody i znieruchomiał.

No tak. Victor przypomniał sobie teraz, jak McBride stracił równowagę na schodach przeciwpożarowych. Zwrócił uwagę na tę dziwną niedyspozycję, zamierzając to wykorzystać, gdy nadarzy się okazja. I oto okazja się nadarza.

Nie tracąc czasu, zbiegł po schodach i pochylił się nad detektywem. Był nieprzytomny. Victor wyjął broń z jego rąk i przystawił mu do głowy, zamierzając go zabić. Przypomniał sobie, że cztery kule zostały już wystrzelone. Sprawdzał magazynek. Tak, są jeszcze tylko dwie - dla

Gillian i małej. Nie ma czasu na szukanie w kieszeniach McBride'a zapasowej amunicji, bo ta cholerna dziwka i mała mogą uciec. Niezależnie od tego, jaka jest przyczyna omdlenia prywatnego detektywa, jest teraz nieszkodliwy. Aby mieć całkowitą pewność, kopnął go brutalnie w głowę.

Ściskając colta, zostawił McBride'a rozłożonego na stopniach i ruszył w pościg za swymi ofiarami.

- Czy nie możemy wyjść z parku? - zapytała Sara.
- Nie, wszystkie wyjścia są zamknięte.
- Więc co robimy?

Gillian milczała. Nie była pewna. Zmarnowały cenny czas, starając się znaleźć jakiegoś ochroniarza, ale nie powiodło się.

Najlepiej byłoby gdzieś dobrze ukryć Sarę, a potem poszukać Cleve'a. Martwiła się o niego. W tej silnie stresującej sytuacji mógł dostać ataku. Być może jej plan jest bez sensu, ale w desperacji nie potrafiła myśleć o niczym innym. Tak czy owak, musi ukryć małą. Ale gdzie?

- Ukrył się ze mną gdzieś tutaj i czekał, aż zamkną park - powiedziała dziewczynka. - To było jakieś ciemne pomieszczenie, chyba spiżarnia.

Zapewne jadalnia używana przez dziennikarzy, pomyślała Gillian. Znajdowała się wraz z kabiną telefoniczną na górnym pomoście.

Dostały się na samą górę stadionu, gdzie były oszklone łoże.

- Tędy - powiedziała Gillian, prowadząc dziewczynkę długim, krętym korytarzem.

Nacisnęła drzwi jednej z łóż. Zamknięte. Szły dalej, sprawdzając kolejne drzwi. Ten sam rezultat.

Jeśli pozostaną w tym korytarzu, znajdą się w ślepych zaułku.

- Nie mamy wyboru - rzekła Gillian. - Wracamy.
- Ale dokąd? - spytała Sara z niepokojem w głosie.
- Spróbujemy na górnym pomoście.

Wdrapały się po zygzakowatych schodach najszybciej, jak tylko mogły. Sara nie skarżyła się, ale Gillian wiedziała, że jest bardzo zmęczona.

Znalazły się na górnym pomoście. Były tam drzwi z oknem. Gillian z ulgą stwierdziła, że nie są zamknięte. Pociągnęła Sarę na otwartą przestrzeń.

Silny wiatr spowodował, że Gillian łzy napłynęły do oczu. Odgarniając włosy, rozejrzała się wokół. Znała to miejsce. Było to zewnętrzne patio, gdzie serwowano przekąski przed meczem i po nim.

- Spójrz! - Sara wskazała z zachwytem na dach.

Olbrzymie lampy w stalowych oprawach, służące do oświetlania boiska w czasie wieczornych rozgrywek, płonęły jak słońce. Cały park był oświetlony.

Szły obok stolików do stalowej kraty. Sześć pięter niżej znajdowała się ulica. Ujrzały przechodniów gromadzących się na chodnikach. Wszyscy patrzyli w górę, na oślepiające światła, które paliły się, mimo że nie było żadnego meczu.

- Słuchaj! - krzyknęła Gillian. - Słyszysz?

Ponad zawodzenie wiatru wznosił się ryk syren alarmowych. Widać nocny portier wezwał policję i oświetlił park.

- Sara, nadchodzi pomoc. Wszystko będzie dobrze.

- Ale za późno - rozległ się za nimi groźny głos.

Gillian odwróciła się od kraty i serce podskoczyło jej do gardła. W otwartych drzwiach prowadzących na patio stał Victor, jego twarz płonęła triumfem.

Przez moment Gillian była jak sparaliżowana, a potem schwyciła dziewczynkę i schowała ją za siebie.

Lassiter zaczął się zbliżać do nich, z bronią w rękę i twarzą wykrzywioną nienawiścią. Gillian czuła strach i gniew równocześnie. Z nadzieją patrzyła na otwarte drzwi.

Victor zrozumiał jej niemą modlitwę.

- Na twoim miejscu pozbyłbym się złudzeń, bo twój McBride leży nieprzytomny na schodach. Źle wybrałaś sobie obrońcę. Jest teraz bezużyteczny.

- Mylisz się, durniu! - usłyszeli głos dobiegający z mroku za drzwiami.

W otwartych drzwiach pojawił się Cleve i wkroczył na oświetlone patio.

Zaskoczony Lassiter odwrócił się. Cleve z całej siły wymierzył cios. Uderzył Victora w splot słoneczny, i zaraz potem stoły i krzesła zaczęły trzeszczeć i padać. Zwarci w uścisku mężczyźni tarzali się po podłodze.

Rozegrała się zacięta walka o broń. Rewolwer wystrzelił raz, potem drugi. Pierwszy strzał odbił się od ściany, drugi roztrzaskał szybę w oknie.

W końcu pięść Cleve'a wyładowała na szczęce Victora, który wypuścił broń z kurczowego uchwytu. Rewolwer potoczył się po podłodze. Gillian szybko go podniosła, nie wiedząc, że nie ma w nim już żadnego naboju, gdy usłyszała krzyki i tupot nóg.

Victor usłyszał je także i doskonale wiedział, co zna-  
czą. Gwałtownie odepchnął Cleve'a i poderwał się na  
nogi. Do ścian patio przymocowane były metalowe  
szczeble drabiny wiodące na pomost, skąd obsługiwano  
lampy. Victor wdrapał się na drabinę, by dostać się na  
dach i umknąć.

Cleve chwycił go za kostkę i zaczął ciągnąć w dół.  
Znow doszło do walki. Tym razem trwało to krótko. Po-  
moc nadeszła prawie natychmiast. Umundurowani poli-  
cjanci weszli łąką na patio. Jeden z nich dołączył do Cle-  
ve'a i razem ściągnęli Lassitera z drabiny.

Dalej wszystko potoczyło się wręcz błyskawicznie.  
Victor, którego twarz była teraz tak martwa jak twarze jego  
marionetek, został skuty i zabrany. Gillian uspokajała roz-  
trzęsioną Sarę, a potem oddała ją w ręce lekarza, który  
miał przebadać małą, ponieważ Victor nafaszerował ją  
jakimiś narkotykami.

Poszukała wzrokiem Cleve'a. Siedział na podłodze po  
drugiej stronie patia i odpowiadał na pytania oficera po-  
licji.

Podeszła do nich i usiadła obok Cleve'a. Martwiła się  
o niego. Wyglądał na wyczerpanego. Gdy wreszcie poli-  
cjant sobie poszedł, zapytała z powagą:

- Jak się czujesz?

Uśmiechnął się.

- Tak jak zawsze po ataku, biegu na szóste piętro i wal-  
ce z psychopatą. Słowem, jestem wykończony.

- Pozostała ci pamiątka po bójce. Masz niezłego guza  
na głowie.

- To nie od bójki, miałem go już wcześniej. Pewnie ten

Łajdak kopnął mnie w głowę, kiedy leżałem nieprzytomny na trybunie.

- Cleve, nie zgrywaj się na bohatera, ale zgłoś się szybko do lekarza, gdy skończy badać Sarę.

- Jeśli obiecasz, że cały czas będziesz mnie trzymała za rękę. - Spojrzał zdziwiony na patio, gdzie pojawiła się nowa postać. - Patrz, kto się zjawia na balu. Sam Costello. Gdzie byłeś ze swoimi ludźmi, kiedy my bawiliśmy się w berka z Lassiterem?

Inspektor spojrzał na nich.

- Łapaliśmy duchy w Comiskey Park.

- Ach tak?

- Tam nas wysłał dyspozytor po otrzymaniu zgłoszenia telefonicznego.

Cleve wydawał się zbity z tropu. Po czym palnął się w czoło.

- Moody!

- Nie sądzę - powiedziała Gillian sucho - żeby któryś z panów zechciał mi wyjaśnić, o czym tu mowa.

Cleve odwrócił się do niej, objął ją ramieniem i przyciągnął ku sobie. W jego oczach pojawił się figlarny błysk.

- Może później porozmawiamy - mruknął. - Teraz są ważniejsze sprawy.

Porucznik Costello udał się na poszukiwanie oficera z notesem.

Gillian słabiutko protestowała, gdy Cleve wziął ją na kolana, zamykając w mocnym uścisku.

- Nie miałam jeszcze okazji podziękować ci za ratunek.



- Właśnie to pani robi, pani mecenas.

W następnej chwili pozwolił jej wyrazić wdzięczność długim, namiętym pocałunkiem, który co najmniej trzech policjantów skwitowało pełnymi uznania gwizdami.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Piątkowa aura była jak z filmu Disneya. Niebo nad jeziorem cieszyło czystym błękitem, a rześki wiaterek cudownie chłodził, jednym słowem Chicago w pełnej krasie.

Pomyślna prognoza pogody. Pomyślna prognoza dla przyszłości Gillian. Bez widma Lassitera, który wrócił do więzienia i miał bliskie zeru szanse, by kiedykolwiek wyjść na wolność. Sarze nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Główny wspólnik z kancelarii Gillian zadzwonił do niej rano, chcąc ją znów powitać w pracy jako pełnego udziałowca. Aby dopełniła się disneyowska wizja, brakowało tylko niebieskiego ptaszka na ramieniu. Nic, tylko cieszyć się życiem.

Jednak życie to nie bajka. Nie jej życie. W każdym razie jeszcze nie teraz, a może nigdy. Wciąż były jakieś komplikacje, i to poważne. Gillian miała się nad czym zastanawiać w drodze do Lake Forest.

Próbowała nakłonić Sarę, by spędziła noc z nią i z Cleve'em. Po raz pierwszy mogła jej to spokojnie zaproponować. Dziewczynka jednak odmówiła, wolała wrócić do szkoły. Gillian rozumiała ją.

Mała była skonfundowana i nieszczęśliwa, myśląc o Victorze. Wprawdzie uwierzyła, że nie jest jej ojcem,

jednak miała żal do Gillian, która zataiła przed nią fakt, iż był mężem jej matki.

Gillian nie nalegała. Rozumiała, że w znajomym otoczeniu mała będzie czuła się pewniej. Jeden z policjantów odwiózł ją z powrotem do szkoły.

Teraz, jadąc do Lake Forest, chciała dziewczynkę przeprosić i wszystko jej wyjaśnić, nie była jednak pewna, czy Sara kiedykolwiek jej wybaczy.

Cleve także, pomyślała, wjeżdżając na drogę ekspresową wiodącą na północ. Tu sprawa wyglądała jeszcze poważniej.

Jak zwykle okazał jej dużo czułości ostatniej nocy. Był rozluźniony i pełen pożądania, namiętny i skory do żartów. Jednak rano, gdy wychodził do terapeutki, był ponury i milczący.

Gillian rozumiała jego wahania, podobnie jak nastrój Sary. Cleve chciał dotrzymać danej obietnicy, lecz robił to z wielką niechęcią. Bał się konfrontacji ze swoją podświadomością. Nie chciał, aby Gillian mu towarzyszyła, i skłonił ją, by sama odwiedziła Sarę.

Powtarzając sobie, że nie powinna tak się zamartwiać, Gillian przez całą drogę do Lake Forest właśnie to robiła.

Ponieważ telefonicznie uprzedziła dyrekcję szkoły o swojej wizycie, Sara czekała już na nią. Siedziała na schodkach przed szkołą z markotną miną skracając kosmyk włosów.

- Przejdziemy się? - zaproponowała Gillian.
  - Okay - bez entuzjazmu zgodziła się mała.
- Zaczęły spacerować między drzewami.

- Jesteś na mnie zła?

Sara lekko wzruszyła chudymi ramionami, lecz nie odpowiedziała.

- Postąpiłam źle. Nie powinnam była ukrywać przed tobą prawdy o twoim ojcu, ale miałam ku temu powody.

Dobierając starannie słowa, Gillian wyjaśniła swoje zobowiązania wobec Molly oraz wyjawiała przyczyny, dla których musiała chronić Sarę przed Victorem. Najtrudniej było jej wyjawić, że to Lassiter zabił jej matkę, gdy jednak już przez to przebrnęła, zrozumiała, że Cleve miał rację. Niepotrzebnie zataiła prawdę przed dziewczynką.

- Już nigdy więcej nie będę przed tobą niczego ukrywać - obiecała. - Od tej chwili możesz mnie pytać o wszystko.

Siedziały na nasłonecznionej ławce. Sara głęboko się zamyśliła. Gillian widziała, że dziewczynka była gotowa jej wszystko wybaczyć, ale coś jeszcze ją gryzło.

- O co chodzi?

- Wiem, że ten wariat nie jest moim ojcem, ale gdy pytałam, kto nim naprawdę jest, odpowiedziałś, że nie wiesz. A może jednak wiesz, tylko nie chcesz mi tego zdradzić?

- Mówiłam ci prawdę. Twoja matka nigdy mi niestety tego nie powiedziała. Wiem, że jest ci to trudno zaakceptować, przecież każdy chciałby wiedzieć, kim są jego rodzice, ale tym razem...

- W porządku.

- Powinnaś jednak wiedzieć jedno. Ktokolwiek to był, musiał być dobrym i czułym człowiekiem, bo twoja matka, nie zdradzając jego nazwiska, zawsze wspominała

o nim ciepło. Możesz być pewna, że gdyby nie był człowiekiem wartościowym, Molly na pewno nie miałaby z nim dziecka. A to chyba coś znaczy.

- Domyślam się.

Gillian ścisnęła jej rękę.

- Twoja mama bardzo cię kochała i przekazała tę miłość mnie. W jej i swoim imieniu chroniałam cię, jak tylko potrafiłam najlepiej, bo ten sam człowiek, który zamordował Molly, mógł również zabić ciebie. Nie powiedziałam ci o Victorze, nie dopuściłam też, by on, aż do ostatnich wydarzeń, dowiedział się o tobie. Natomiast o twoim prawdziwym ojcu nic ci nie mówiłam, bo Molly również milczała na jego temat. Być może kiedyś rozwikłasz tę tajemnicę, choć jest to mało prawdopodobne, a poza tym nie wiem, czy byłoby wskazane, bo twoja mama musiała mieć przecież naprawdę ważne powody, zatajając prawdę. Jedno co wiem, to że była z tym mężczyzną szczęśliwa. Saro, masz mnie, masz swoje myśli i uczucia, a przede wszystkim całą przyszłość przed sobą. Kocham cię i jestem pewna, że już nigdy więcej nie będzie między nami żadnych sekretów.

- To dobrze. - Dziewczynka uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

- Wiem, że musisz to wszystko dobrze przemyśleć, ułożyć w swojej głowie i sercu, bo nie są to łatwe sprawy. Jest jednak jeszcze jedna rzecz. Ponieważ nic ci już nie zagraża, możesz zamieszkać u mnie, czego pragnę, ale zrozumieć i w pełni zaakceptuję, jeśli zechcesz pozostać w Akademii. Zawsze będę tak samo cię kochać i opiekiwać się tobą.

Czule się pożegnały i Gillian ruszyła w drogę powrotną.

Jedną sprawę załatwiła więc pomyślnie, obawiała się jednak, że z Cleve'em nie pójdzie jej tak łatwo. No cóż, zmusiła go, by zrobił coś, na co absolutnie nie miał ochoty, a co dotyczyło jego najbardziej intymnej sfery. Nikt tego nie lubi, a cóż dopiero człowiek tak niezależny, jak on...

Gdy tylko znalazła się w mieszkaniu, wyczuła, że wydarzyło się coś złego. Było zbyt cicho i pusto. Nie było Mike'a!

Z rosnącym niepokojem przeszła przez wszystkie pokoje, zaglądając też na podwórko. Pies zniknął, znikły też wszystkie rzeczy Cleve'a.

Wreszcie w kuchni znalazła kartkę, przyklepioną do drzwi lodówki. Zdjęła ją drżącymi rękami i zaczęła czytać.

***Wracam na półwysep. Muszę coś zrobić. Nie martw się, zadzwonię i wszystko ci wyjaśnię.***

To tyle, jeśli chodzi o czułe pożegnanie. Kilka nabazgranych słów.

Ciężko usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach. Sesja u hipnotyzerki zakończyła się klęską. Najpewniej Cleve uznał, że nigdy już nie będzie zdrowy i dlatego postanowił ostatecznie usunąć się w cień. Wybrał samotne, jałowe życie, bez Gillian. Nie chciał, by u jej boku był ktoś tak bezużyteczny, jak on. Odszedł, bo nie wierzył w wspólną przyszłość. Straciła go.

Nie potrafiła nawet płakać. Po prostu zamarła w bezruchu, powalona bólem zbyt wielkim, by mogła go zrozumieć i zaakceptować.

Nagle jej rozpacz zmieniła się w furję.

- O nie, panie McBride, nie pozwolę się zbyć byle

czym! - krzyknęła do pustych ścian i z wściekłością zmiała papier. - Będziesz musiał powiedzieć mi wszystko prosto w oczy!

Już nie była zrozpaczoną, opuszczoną przez ukochanego mężczyznę kobietą. W okamgnieniu przemieniła się w wojowniczkę.

Z powodu późnej pory Gillian musiała po drodze zatrzymać się w motelu, lecz o wschodzie słońca znów była w drodze, tak więc jeszcze przed południem dotarła do domu Cleve'a.

Od razu go zobaczyła, właśnie szedł w kierunku swojego samochodu. Nacisnęła gaz do dechy i jak prawdziwy pirat drogowy, zajęchała mu drogę. Oszołomiony, odskokczył kilka kroków i wsunął prawą dłoń pod lewe ramię, gdzie zwykle nosił colta, a gdy zobaczył wyskakującą z wozu Gillian, jego zdumienie wprost nie miało granic.

Zanim zdążył się odezwać, ryknęła załamującym się dyszkantem:

- Tylko nie próbuj pytać, co tu robię!

- Gillian, pozwól mi...

- Uciekłeś ode mnie jak tchórz, jak ostatni sobek, zapatrzony we własny pępek! To tak załatwia sprawy dzielny detektyw?! Ale nie licz, że ci się to uda. Wyduszę z ciebie całą prawdę. Odejść tak bez słowa! - W tej chwili naprawdę go nienawdziła, a jej małe dłonie złożyły się w groźne pięści.

- Przecież zostawiłem ci kartkę...

- Tak, kartkę! Wielkie dzięki! Czternaście słów. Dokładnie policzyłam. Czternaście nędznych słów, które ab-

solutnie nic nie znaczą! Myślałeś, że to mi wystarczy? To się pomyliłeś!

- Dzwoniłem wieczorem, ale...

- No tak, oczywiście, moja wina, bo nie było mnie w domu! Przepraszam, wybacz, właśnie byłam w drodze do ciebie. Chociaż uważam, że to głupota z mojej strony. A gdzie jest Mike? Co zrobiłeś z biednym Mikiem?! Powiedz!

- Zamknąłem go w chacie, gdy sam...

- Od niego też uciekłeś! Lekceważysz mnie, dobrze, nie ujdzie ci to płazem, bo ja potrafię się obronić, ale dlaczego z takim okrucieństwem traktujesz psa, który bezgranicznie cię kocha?!

Oszołomienie Cleve'a powoli przeradzało się w zachwył. Gillian, z płonącym wzrokiem i lekko przechyloną głową, to uśmiechając się zjadliwie, to wykrzywiając usta w pogardliwy grymas, systematycznie go niszczyła, ujawniając całe tkwiące w nim zło. Okazało się, że jest tchórzem i egoistą, a ponadto w sadystyczny sposób dręczy zwierzęta... Uśmiechnął się wesoło. Gillian wyglądała tak pięknie!

- A ty się po prostu śmiejesz! - znów ryknęła dyszkantem. - Tak cię to wszystko bawi? Naigrawasz się z mojego cierpienia?!

Podniósł ręce w geście kapitulacji. Gdy spojrzała w jego oczy, nagle straciła cały animusz, a jej oczy zaszkliły się łzami.

- Dlaczego, Cleve? Dlaczego odszedłeś, nie dając nam żadnej szansy? Wiem, że musi być ci ciężko, bo sesja się nie powiodła...



- A kto ci powiedział, że się nie powiodła? Wręcz przeciwnie, to był sukces.

- Sukces? - Przez chwilę rozważała sens jego słów. - A więc jednak sukces! To cudownie. - Była naprawdę uradowana, lecz po chwili znów groźnie spojrzała na Cleve'a: - To dlaczego wyjechałeś?

- Musiałem. Gillian, jest we mnie demon, którego muszę przepędzić, a zrobić to mogę jedynie tu, gdzie wszystko się zaczęło. Tak, wiem, znów zachowuję się tajemniczo. Wsiadaj do samochodu, po drodze wszystko ci wytłumaczę. No już...

W jednej chwili przeszła jej cała złość. Znów bezgranicznie ufała Cleve'owi i było jej wstyd, że zrobiła z siebie taką idiotkę. Ale co tam! Wyglądał tak wspaniale i patrzył na nią z taką czułością...

Nagle pojęła, jak bardzo odmienił się przez tę noc. Promienny, wyluzowany, jakby zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. A więc hipnoza naprawdę zdziałała cuda. Z niecierpliwością czekała na wyjaśnienia.

- Ta terapeutka okazała się naprawdę rewelacyjna - zaczął wreszcie. - Oczywiście chodziło o traumatyczne wspomnienia, które ukryły się w mojej podświadomości. Ataki następowały, gdy wydarzenia sprzed lat usiłowały dotrzeć do mojej świadomości.

- A działo się to zawsze w krytycznych momentach... - szepnęła Gillian. - Czyżby... - urwała.

- Tak, chodziło o ogromne poczucie winy.

- I terapeutka odblokowała cię? Teraz już potrafisz nazwać to, co uniemożliwiało ci normalne życie. Dzięki temu wyzdrowiejesz, prawda?

- Mam nadzieję. Gillian, chodzi o straszne wydarzenia sprzed ponad trzydziestu lat.

- Możesz o tym mówić? Czy może lepiej...

- Chcę, abyś znała całą prawdę. Gdy miałem dziesięć lat, przyjechaliśmy tu na wakacje, do wujka. Wtedy ten dom należał do niego. Byli też z nami przyjaciele moich rodziców oraz ich pięcioletni syn, który domagał się, żebym go wszędzie ze sobą zabierał. Przyjaźniłem się wtedy z miejscowym chłopakiem, moim równolatkiem, i mały bardzo nas denerwował. Wiesz, jak to jest w tym wieku...

- Przypuszczam, że dorośli mieli na to inny pogląd.

- Właśnie. Nalegali, bym brał ze sobą tego dzieciaka na długie spacerunki po okolicy. Siłą rzeczy byłem za niego odpowiedzialny.

Cleve mówił z dużym trudem, co Gillian świetnie rozumiała, ale nie zamierzał przerywać opowieści.

- Któregoś dnia wybraliśmy się do starej, nieczynnej kopalni. Przez głęboki szyb przerzucono kładkę, a mały, korzystając z mojej nieuwagi, wszedł na nią. Gdy znalazł się nad największą głębią, zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. Wpadł w panikę, przestał panować nad swoimi ruchami. Nim dobiegłem do niego, spadł i zabił się. To była moja wina.

- Miałeś tylko dziesięć lat.

- Byłem winny i zupełnie nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Wreszcie, ratując się przed wyrzutami sumienia, całe to wydarzenie wyparłem z pamięci i ukryłem je głęboko w podświadomości.

- Cleve, przecież ataki zaczęły się dopiero w zeszłym roku. Dlaczego nie miałeś ich wcześniej?

- Wygląda na to, że miało to związek ze śmiercią Harry'ego Rosińskiego, mojego szefa, mistrza i przyjaciela. Harry bardzo cierpiał podczas swojej choroby, a ja w żaden sposób nie mogłem mu pomóc. Być może świadomość, że ktoś, komu powinienem pomóc...

- Przecież w żaden sposób nie mogłeś, jeśli medycyna była bezradna...

- Wiem, ale miałem irracjonalne poczucie, że nie robię nic, by go uratować. W ten sposób w mojej psychice uruchomiony został jakiś mechanizm i niedługo po śmierci Harry'ego miałem pierwszy atak.

- Zagadki ludzkiej psychiki... - Gillian pokiwała głową. - A co będzie teraz? Czy jesteś już wolny od swej dolegliwości?

- To właśnie muszę sprawdzić.

Nagle zrozumiała, dokąd ją wiezie.

- Jedziemy do tej starej kopalni, gdzie zginął chłopiec, tak?

- Już tu jesteśmy.

- Co zamierzasz zrobić? - Spojrzała na niego z niepokojem.

- Zmierzyć się z przeszłością.

Bała się domyślać, co przez to rozumiał. Zatrzymała go, gdy wysiadł z auta.

- A gdy zdołasz pokonać już swego demona, co będzie potem?

- Pytasz, co będzie z nami? Ustalimy to później - odpowiedział z ogromną powagą.

W milczeniu ruszyli wąską ścieżką wiodącą przez bujaną łąkę pełną chabrów i innego kwiecica. Sierpniowe słońce ostro świeciło na błękitnym niebie.

Przeszli przez strefę drzew, potem dotarli do wąwozu. Kładka była spróchniała ze starości, jej szczeble zniszczone.

Cleve stanął nad brzegiem przepaści. Twarz miał skupioną, pełną cierpienia. Gillian zrozumiała, że wspomina tragedię, a także pojęła, co rozumiał przez słowa: „Zmierzyć się z przeszłością”.

- Nie możesz tam wejść - powiedziała błagalnie. - Tam nie jest bezpiecznie, słupki mogą być spróchniałe.

- Muszę, inaczej nie przepędzę demona.

- Ale ty ryzykujesz życiem! Terapeutka na pewno by ci tego nie poleciła.

- Ona nic o tym nie wie, to mój pomysł.

- Więc pozwól mi iść ze sobą.

Domyślił się, o co chodziło Gillian. Gdyby dostał ataku, mógłby spaść i rozbić się na skałach, więc ona chciała go asekurować.

- Zrozumiem, Gillian, muszę to zrobić sam. Tylko tak mogę przezwyciężyć swoją niemoc.

Drżała o jego życie, lecz zarazem świetnie go rozumiała. I ona w głębi duszy przeżywała podobny dramat, obwiniając się, że nie zrobiła wszystkiego, by zapobiec śmierci Molly.

Cleve uściśnął uspokajająco jej rękę, a potem ruszył wąską kładką, pozbawioną ochronnych poręczy. Gdy doszedł do środka konstrukcji, zatrzymał się. Gillian, żarliwie modląc się w duchu, w napięciu obserwowała, jak spojrzął w dół. Był niczym linoskoczek, który zawisł nad przepaścią.

Nagle wydało się jej, że Cleve lekko się zachwiał. Już

ruszyła w kierunku kładki, by go ratować, lecz ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się. Wiedziała, że od tej próby zależy cała przyszłość Cleve'a.

Nie, wszystko w porządku! On się nie zachwiał, tylko powoli i ostrożnie odwracał się!

Wreszcie powiedział:

- Mam to już za sobą. Wszystko będzie dobrze. - Mimo powagi rysującej się na jego twarzy, uśmiechnął się. A gdy spojrział uważniej na Gillian, zawołał: - Hej, maleńka, widzę, że nie ja, tylko ty potrzebujesz wsparcia! I to z całą pewnością mojego.

- Tak, proszę.

Cleve błyskawicznie wrócił znad przepaści i chwycił Gillian w ramiona. Przez chwilę tak trwali, a ona, czując jego silne ciało i słysząc spokojny oddech, natychmiast zapomniała o strachu. Była szczęśliwa.

- Wygląda na to, że masz już to wszystko za sobą - szepnęła.

- Absolutnie - zapewnił ją.

- Czy możliwe, by stało się to tak szybko i prosto?

Potrząsnął głową.

- Na własną odpowiedzialność zrobiłem pierwszy, ale najważniejszy, jak myślę, krok. Będę jeszcze przez długi czas chodził na sesje do terapeutki, musimy omówić wiele spraw, wiele jeszcze powinienem zrozumieć. Przestrzegająca mnie przed zbytnim pośpiechem, a przede wszystkim, bym pochopnie nie przerywał rozpoczętej kuracji. Czuję się, jakbym ciężko chorując, wziął pierwszą porcję znakomitego leku, ale jeszcze sporo pastylek przede mną.

- By brać udział w tych sesjach, musisz mieszkać w Chicago.
- Nie planowałem niczego innego.
- To dobrze, bo kiedy wyjechałeś, to pomyślałam...
- Że nie wrócę? - Zerknął na nią z czułą kpina. - Gillian, ja nie robię tego dla siebie, ja robię to dla nas.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Musiałem wyzwolić się od swoich demonów, musiałem pokonać przeszłość... by móc powiedzieć ci o swoich uczuciach.
- No, to słucham. Teraz już mi się nie wywiniesz - powiedziała groźnie, tłumiąc śmiech.
- Zaraz, chwileczkę... - Zastanowił się przez chwilę.
- Znowu otworzę moją agencję detektywistyczną w Chicago. Porucznik Costello będzie zachwycony.
- A ma inne wyjście? Przecież to twoje miasto.
- A ty, zaraz po naszym ślubie, wrócisz do swojej pracy.
- Aha, to znaczy, że weźmiemy ślub. Cieszę się, że mnie o tym poinformowałaś. - Zachichotała.
- Nie przerywaj, to poważne sprawy. Dom... musimy mieć duży dom. Najlepiej gdzieś na przedmieściu. Nie masz nic przeciwko przeprowadzce, prawda?
- Kupimy dom?
- Musimy. Twoje mieszkanie jest za małe dla nas czworga.
- Czworga? Czyżbym kogoś przeoczyła?
- Ty, ja, Mike i Sara, to razem daje cztery. Myślisz, że małej spodoba się ten pomysł?
- Zapytamy ją. Czy to już wszystkie sprawy, jakie mieliśmy do omówienia, panie prezesie?

Popatrzył na nią z figlarnym uśmiechem.

- Chyba nie, pani mecenas. Zapomniałem dodać, że kocham panią ponad życie. Z drugiej strony...

- A jest jakaś druga strona tego zagadnienia? - fuknęła jak kotka.

- Tak, praktyczna.

Zamknął jej usta długim, czułym pocałunkiem, który wystarczył za wszystkie najbardziej poetyckie wyznania. A gdy odsunęli się trochę od siebie, powiedziała:

- No dobrze, przekonałeś mnie. Też mogłabym ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham, ale to może poczekać. Teraz chciałabym usłyszeć coś więcej o tym domu.

- Nie - zaprotestował. - To nie może poczekać. Czekaliśmy na tę chwilę czternaście lat.

Zaczął ją znowu całować, ale Gillian nie zapomniała o domu na przedmieściu. Miała nadzieję, że będzie wystarczająco duży, by pomieścić dzieci, o których marzyła. Na razie jednak przemilczała ten temat, bo mieli coś innego do roboty...

Koniec.